

STANISŁAW LEM
**POŻYTEK
ZE SMOKA**



VERBA

Stanisław Lem
Pożytek ze smoka
i inne opowiadania

Projekt okładki i stron tytułowych Michał Urbański
Wydanie polskie 1993

Spis treści:

Stanisław Lem.....	2
Pożytek ze smoka.....	2
i inne opowiadania.....	2
WSTĘP AUTORA.....	3
ZAGADKA.....	6
PRAWDA.....	10
STO TRZYDZIEŚCI SIEDEM SEKUND.....	38
PRZYJACIEL.....	71
CIEMNOŚĆ I PLEŚŃ.....	132
ALBATROS.....	156
MŁOT.....	173
ZE WSPOMNIEŃ IJONA TICHEGO.....	219
ANANKE.....	236
POŻYTEK ZE SMOKA.....	302
Nota bibliograficzna.....	313

WSTĘP AUTORA

W tym wyborze moich opowiadań znajdzie Czytelnik rzeczy, pochodzące z rozległego czasu, bo są tu teksty, pisane na przestrzeni lat bodaj trzydziestu. Dwa w kraju nigdy ogłoszone nie były - ten o pożytku ze smoka i ten o pogładzie robotów na seks ludzi. Kto kryje się za zmyśloną bestią w opowiadaniu pierwszym, można się domyślić bez większego trudu: aluzja jest polityczna, polityczna była i taka nawet pozostała do dziś, bo chociaż się smok rozleciał na kawały; nadal bieżą co bogatsze kraje z wszelką pomocą tym kawałom na ratunek. Druga opowiadka ma inne drugie dno. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że rozumu nie trzeba, ażeby dziecko począć, to znaczy człowieka utworzyć. Natomiast jeszcze świetny John von Neumann, jeden z ojców (dziś by należało rzec „dziadków”) cybernetyki, rozkładając na czynniki poszczególne metodę konstrukcji „dzieci” automatów (zwanych robotami pospolicie), ukazał nadzwyczajną złożoność kolejnych etapów takiej „produkcji”. Toteż roboty, jeśliby same miały poczynać generację następną, musiałyby się bardzo po inżynieryjnemu i w sposób uczony, planujący natrudzić, żeby dać początek „dziecku robociemu”. Ze zderzenia tych, tak zasadniczo odmiennych podejść, człowieczego mianowicie i „konstrukcyjnego” jako „seksu robotów i ludzi”, wynikła mi owa żartobliwa zagadka, której dlatego tylko w kraju nie ogłosiłem, bo przebywałem daleko poza nim a frywolność „zagadki” też wydała mi się wtedy niestosowna dla publikacji panującej zmorze „stanu wojennego”.

Jednak bardzo jest niewdzięczne zadanie brać czytelnika jak guwernantka dziecko za rączkę, żeby wprowadzać w obszar przez autora wymyślony i zabudowany. Toteż powiem tylko, co mi się wydało gdy po bezliku lat spojrzełem na inne opowiadanie, „Młot”. Teksty jak wiadomo z upływem czasu nie zmieniają się

ani trochę, zastygłe w swej postaci. Przez to wszakże, że czas wokół nich płynie, a nawet pędzi, mogą ulegać albo zupełnemu unieważnieniu, albo sensy swoje jakgdyby zmieniają. Oto mamy dziś już początki techniki, wprowadzającej człowieka (dzięki komputerowi, do którego ludzkie zmysły są podłączone) w świat, zwany „wirtualną realnością”, a który przed trzydziestu laty jako „fantomatykę” starałem się przewidzieć. A „duch odnowy” zmienił się tak, że społeczeństwo „permisyjno-konsumpcyjne” od techniki oczekuje natychmiastowych spełnień każdego żądania i każdej, także pożądlivej chętki. Toteż pierwsze bodaj pytanie, jakie postawiono autorowi książki o „Virtual reality” brzmiało: „Czy można mieć seks z komputerem?” (tj. czy odpowiednio zaprogramowany komputer może każdemu dostarczyć niby w jakimś „haremie cybernetycznym” fantom niewieści dla sycenia żądź?). Ten sposób - to łaknienie „krótkiego zwarcia” z „celem ostatecznym”, jakim się seks staje, stanowi dobitny, niepokojący obraz naszej epoki, naszej żarłoczności w zakresie tak wojen, jak i przeżyć erotycznych. Otóż w „Młocie” erotyka pojawia się jako przerażenie bohatera (astronauty, w locie do gwiazd), gdy dostrzega, albo tylko mu się wydaje, że dostrzega erotyczne przywiązanie, które mu okazuje komputer pokładowy rakiety, ponieważ czas; w którym można wprost nachalnie pytać o „seks z komputerem” nie nastął jeszcze, kiedy „Młot” pisałem. Tak więc to świat dookoła tekstu się zmienił i powiem, że w sposób tylko przez głupców pożądanym, ponieważ gdyby te momentalne sposoby sycenia popędów uległy łatwemu rozpowszechnieniu, to mielibyśmy nie tylko zamiast literatury romansowej i romansów w życiu coś na kształt ogromnego i doskonale zautomatyzowanego domu publicznego, lecz wszystkie Tristany i Izoldy, Beatrycze, w ogóle prawie że całą literaturę piękna przysłoby na śmietnik wyrzucić (czy złomować jak auta z 1980 lat. Kto technicznym czołgiem TAKIE „ułatwienia” chce wdrażać,

w gruncie rzeczy rujnuje motywacje ludzkie i tym sposobem wtrąca nas w piekło wszechłatwizny, likwidujące wszelkie wartości: albowiem człowiek POWINIEN pokonywać przeszkody i przez to się doczłowieczać.

Jak widzę, zamiast wstępu do opowieści, mających przede wszystkim stać się rozrywką i zabawą, zaczynam popadać w zgubne moralizatorstwo... ale nie pojmują samozgubności własnej ci, którzy przezywają ludobójstwo „czyszczeniem etnicznym”, którzy narkotykami po krótkim „wzlocie” tak prędko ulegają samozagładzie.

Miłośnicy fantastyki (S-F) ulegli teraz urokowi tak zwanych „horrorów”, którego nie pojmuję dlatego, ponieważ przeszedłem przez prawdziwe horrory niemieckiej i sowieckiej okupacji, i wiem z doświadczenia, że były to przykre igraszki. Zresztą niechże rozmiłowani w monstrach rozkoszują się ich ohydą. Dodam tylko, że S-F, dopóki ją uprawiałem, była dla mnie krainą wszelkich dających się zbudować modeli wszelkich dających się pomyśleć światów, a w kilka z nich chcę raz jeszcze zaprosić Czytelnika, chociaż są to niepowieściowe, to znaczy małe i chwilowe światy możliwe bądź niemożliwe.

Od tego bowiem jest pisarstwo: ażeby NIE powtarzać się, NIE nudzić, NIE wyklądać, lecz czynić to, co czyni obraz telewizyjny, film, dziś zresztą w konkurencjach światowych pogłębiające i tym samym zwyciężające słowo pisane: ale nie wszystko da się pokazać i nie ze wszystkim można ze słowa na rzecz „straśnych widziadeł” zrezygnować.

W Krakowie w listopadzie 92 pisałem.

ZAGADKA

Ojciec Cynkan, Doctor Magneticus, siedział w swej celi i poskrzypując, gdyż umyślnie się nie maścił gwoli umartwieniu, studiował komentarz Chlorfantego Omnickiego, mając na uwadze słynny ustęp szósty „O Stworzeniu Robotów”. Doszedł właśnie końca wersetu o zaprogramowaniu Wszechrzeczy i wodził w skupieniu wzrokiem po kartach, pokrytych barwnymi inkunabułami, wyjawiającymi jak Pan, szczególnie upodobawszy sobie wśród metali żelazo, tchnął w nie ducha, gdy do celi wszedł cicho Ojciec Chlorjan i stanął skromnie u okna, nic chciał bowiem przeszkadzać znakomitemu teologowi w medytacjach.

- A cóż tam, mój Chlorjanku? Co powiesz? - zapytał po krótkiej chwili O.Cynkan, podnosząc niezamętniałe kryształy ócz znad woluminu.

- Panie i Ojcze - rzekł ów - przyniosłem ci świeżo wyklętą przez święte Officium, zrodzoną z szatańskiego podszeptu książkę tego okropnego Marmagedończyka Lapidora, zwanego Halogenicznym, z opisami jego wszetecznych eksperymentów, jakimi usiłował obalić wiarę prawdziwą.

I położył przed O.Cynkanem cienką książeczkę, opieczętowaną już przez święte Officium we właściwy sposób.

Starzec przetarł czoło i nieco rdzy osypało się z niego na kartki broszury, którą ujął żywo ze słowami:

- Nie okropnego, nie okropnego, mój Chloryku, lecz nieszczęsnego na skutek zablądzeń swoich?

Mówiąc to, kartkował książeczkę, a widząc nazwy poszczególnych rozdziałów, jako to „O Miękliwcach, Mięknisiach i Miętaszkach Bładych”, „O myślącym nabiale”, „O genezie Rozumu z Maszyny Nerozumnej” uśmiechnął się nieznacznie, a wcale dobrotliwie, aż rzekł od niechcienia:

- Ty, Chlorek, wraz z całym świętym Officium, które nad podziw szanuję, całkiem niewłaściwie bierzecie się pospołu do rzeczy. Co tu właściwie jest? Ot, dyrdymałki z gwoździa wysrane, duby smalone, fałszywe legendy, odegrzane po raz już nie wiem który - mające wszystkie za podstawę owych miękali czy miękusów czy też mokrzyków bladych, jak mówią inne apokryfy, bądź Galaretan, którzy jakoby stworzyli nas ongiś z drutu i śrubek...

- Zamiast Najwyższego!!! - syknął, zadrżawszy lekko, O.Chlorian.

- Wyklinaniem na prawo i lewo niewiele można zdziałać - ciągnął dobrotliwie O.Cynkan swoje. - Na dobrą sprawę, czyż nie jest rozsądniejsze stanowisko Ojca Eteryka od Fazotronów, który trzy dekady temu powiedział, że to nie jest problem teologiczny, tylko przyrodoznawczy?

- Ależ Ojcie Cynkanie - omal nie zatchnął się O.Chlorian - doktryny tej ex cathedra głosić nie wolno, a nie potępiliśmy jej tylko dla świętobliwości autora, który...

- Uspokój się, miły Chlorku - rzekł O.Cynkan. - I bardzo dobrze, że się jej nie wykleło, bo brzmi nienajgorzej. Powiedział Eteryk, że nawet przyjąwszy, iż naprawdę istnieli kiedyś jakowś miękowcy, którzy mieli sporządzić nas w swoich pracowniach, a potem się sami zgładzili, wcale nie zaprzecza nadprzyrodzonej genezie wszelkiego ducha. Toż z woli Pana, który jest wszechmocny, owi prości bladaczkowie mogli się stać narzędziem kreacji właściwej, więc powierzył ich rękom budowę stalowego ludu, który po Test Ostateczny będzie doń za to wznosił dziękczynne pienia. Uważam, że, owszem, odmienne stanowisko, kategorycznie zaprzeczające takiej ewentualności zakrawa na okropną herezję, albowiem odmawia Mu wbrew Pismu wszechmocy. Cóż ty na to?

- Wszelako, Ojcie Cynkanie, doktor świętej teologii Cyboraks wykazał, że cała „Studzienistyka” bladologa Turmalina, na której opierał się pater Eteryk, zawiera, prócz też, urągających rozumowi, bluźnierstwa przeciw wierze. Przecież w tej księdze powiedziane jest, że studzińcy nie wykonywali potomstwa na podstawie typowych projektów, przy udziale inżynierów płodowlanych, jedynym przyrodzonym sposobem, montażu z prefabrykatów lecz bez żadnego wykształcenia i dokumentacji, pokątnie i wręcz całkiem bezmyślnie. Jakże jednak byłyby możliwy niezaprojektowany potomek? Nielegalny, podług planu niezatwierdzonego, dajmy na to, przez właściwą instancję w wydziale przemysłu demograficznego - to jeszcze rozumiem - lecz bez wszelkiej dokumentacji?!!

- Dziwne to, przyznaję, ale gdzież w tym bluźnierstwo?

- Wybacz, wielbny Ojcie, ale dziwię się z kolei temu, że go nie dostrzegasz... Wszak jeśli stande pede, ex abrupto, expromptu to umieli u nas wymaga ukończenia studiów wyższych, komisijnego opracowania i ekspertyzy obliczeniowej, to każdy z nich musiał mieć w małym palcu kompetencję płodowlaną, równą wiedzy naszych cybernetyków, doktorów, a bodajże nawet habilitowanych docentów informatyki! Możliweż to?? Jakże, byle chłystek potrafił sobie sporządzić bez namysłu latorośl? Skąd mógł wiedzieć, jak to się robi?! Alternatywą dyplomu jest wszak sporządzanie potomstwa bez wszelkiej wiedzy, od jednego zamachu i paru szturchnięć, ledwie mi te słowa przez usta przechodzą, boż tak przypisuje się im potencję creationis ex nihilo, tworzenia z niczego, a tym samym moc czynienia cudów, tylko Panu właściwą.

- Powiadasz, że albo byli z nich geniusze poczęcia, albo cudotwórcy? - rzeki Ojciec Cynkan. - Ale bladolog Dyalizy pisał, że choć nie w uczonej radzie i gromadzie, to jednak i nie w pojedynkę wykonywali swe latorośle, lecz parami: W tym

dopatruję się ich fachowej specjalizacji! Świadczą o niej zachowane terminy, odczytane z popalonych bibliotecznych kart: „Piękniś”, „Pięknisia” (pewno miało być „Miękniś” i „Mięknisia”), więc serper duo faciebany collegium multiplicationis, uważasz? Szukali osobności, ażeby się nawzajem pokonsultować, omówić rysunki techniczne, wykonać niezbędne obliczenia. Naradzać, to się na pewno naradzali, boż bez naradzania i narodziny niemożliwe, jak wskazuje sam źródłosłów, a jakże, tu zgoda, mój Chlorku. Juścić projektowali, nim wzięli się do montażu mikroelementów, inaczej nie mogło być. Sporządzenie istoty rozumnej, twardej czy miękkiej, to nic w kij dmuchał.

- Już powiem, czego bym wolał nie dożyć - drżącym głosem oświadczył Ojciec Chlorian. - Myśl twoja, wielebny ojcze, wkroczyła na niebezpieczną drogę! Jeszcze trochę, a powiesz mi, że można płodzić potomstwo nie przy rysownicy, po wypróbowaniu prototypów w laboratorium, z najwyższą koncentracją ducha na jawie, lecz w łóżku, bez żadnych modeli i studiów, na ślepo, po omacku i zgoła niechcący... Błagam cię i ostrzegam, to nie tylko czcze nonsensa, lecz poduszczenie Szatana! Opamiętaj się Ojcze...

- Myślisz, że robi sobie tyle subiekcji? - odparł uparty starzec. - Mniejsza o arkana dziecioróbstwa. Pójdź bliżej, to zaraz zdradzę ci sekret, który cię może uspokoi... Dowiedziałem się wczoraj, że trzech chemikanci z Instytutu Koloidowego zbudowali z żelatyny, wody i czegoś tam jeszcze, zdaję się z sera, budyń, który nazwali Mózgiem Galaretycznym, albowiem nie tylko wykonuje ten budyń działania wyższej algebry, lecz nauczył się grać w szachy i dał mata dyrektorowi Instytutu. Jak widzisz, upierać się przy tym, że żadna myśl w kisielu nie postoi, to rzecz daremna, a wszak to jest właśnie niezłomne stanowisko świętego Officium!

Kraków, XI-1980

PRAWDA

Siedzę tu i piszę w zamkniętym pokoju o drzwiach bez klamki, a i okna nie można otworzyć. Szyba jest z nietłukącego się szkła. Próbowałem. Nie z chęci ucieczki ani z wściekłości, chciałem się tylko przekonać. Piszę na drewnianym, orzechowym stole. Papieru mam dosyć. Pisać wolno. Tylko nikt tego nie czyta. Ale ja i tak piszę. Nie chcę być sam, a czytać nie mogę. Wszystko, co dają do czytania, jest nieprawdą, litery zaczynają skakać przed oczami i tracę cierpliwość. To, co w nich jest, nic mnie zupełnie nie obchodzi od czasu, kiedy zrozumiałem, jak jest naprawdę. Dbają o mnie bardzo. Rano jest kąpiel, ciepła albo letnia, o delikatnym zapachu. Odkryłem, na czym polega różnica dni tygodnia: we wtorki i soboty woda pachnie lawendą, w inne dni szpilkowym lasem. Potem jest śniadanie i wizyta lekarska. Jeden z młodszych lekarzy (nie pamiętam jego nazwiska, nie żeby coś złego było z moją pamięcią, ale staram się teraz nie zapamiętywać rzeczy nieważnych) interesował się moją historią. Opowiadałem mu ją dwa razy, całą, a on nagrywał ją na taśmę magnetofonową. Przypuszczam, że chciał, bym ją powtórzył po to, aby porównać oba opowiadania i w ten sposób wykryć, co pozostaje w nich bez zmiany. Powiedziałem mu, co myślę, jak również i to, że szczegóły nie są istotne.

Spytałem też, czy ma zamiar opracować moją historię jako tak zwany przypadek kliniczny, aby zwrócić na siebie uwagę świata lekarskiego. Zmieszał się trochę. Może mi się tylko tak zdawało, w każdym razie odtąd przestał okazywać mi względy.

Ale to wszystko nie ma znaczenia. To, do czego doszedłem, częściowo za sprawą przypadku, częściowo dzięki innym okolicznościom, w pewnym (trywialnym) sensie także nie ma znaczenia.

Istnieją dwa rodzaje faktów. Jedne mogą stać się użyteczne, na przykład takie, jak ten, że woda wrze przy stu stopniach i zamienia się w parę podległą prawom Boyle'a-Mariotte'a i Gay-Lussaca; dzięki temu można było kiedyś zbudować maszynę parową. Inne fakty nie mają takiego znaczenia, bo dotyczą wszystkiego i nie ma od nich ucieczki. Nie znają wyjątków ani zastosowań, i w tym sensie są na nic. Czasem mogą mieć nieprzyjemne dla kogoś konsekwencje.

Kłamałbym, gdybym twierdził, że jestem zadowolony z mego obecnego położenia i że zupełnie obojętne jest dla mnie to, co napisano w mojej historii choroby. Ponieważ jednak wiem, że jedyną moją chorobą jest moje istnienie i że w konsekwencji tego, zawsze kończącego się fatalnie schorzenia doszedłem prawdy, jestem właścicielem drobnej satysfakcji, jak każdy, kto ma rację przeciwko większości. W moim przypadku, przeciwko całemu światu.

Mogę tak powiedzieć dlatego, bo Maartens i Ganimaldi nie żyją. Prawda, którą wykryliśmy wspólnie, zabiła ich. Przetłumaczone na język większości słowa te oznaczają tylko tyle, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Istotnie zdarzył się, ale dużo wcześniej, około czterech miliardów lat temu, kiedy płachty zdartego ze słońca ognia zaczęły skręcać się w kule. To była agonía, a cała reszta, razem z tymi ciemnymi świerkami kanadyjskimi zza okna, szczebiotaniem pielęgniarek i moją pisaniną, jest już tylko życiem pozagrobowym. Wiecie czym? Naprawdę nie?

A lubicie patrzeć w ogień. Jeśli nie lubicie, to przez rozsądek lub przekorę. Spróbujcie tylko usiąść przed ogniem i odwrócić od niego wzrok, a zaraz przekonacie się, jak przyciąga. Tego wszystkiego, co dzieje się w płomieniach (a dzieje się bardzo wiele), nie potrafimy nawet nazwać. Mamy na to kilkanaście nic nie mówiących określeń. Zresztą nie miałem o tym pojęcia, jak każdy z was. I mimo mego odkrycia nie zostałem czcicielem

ognia, podobnie jak materialści nie stają się, w każdym razie nie muszą się stać, czcicielami materii.

Zresztą, ogień... On jest tylko aluzją. Napomknieniem. Dlatego śmiać mi się chce, kiedy poczciwa doktor Merriah powiada czasem do kogoś obcego (jest to oczywiście jakiś zwiedzający nasz wzorowy zakład lekarz), że ten człowiek tam, ten chudzielec, który wygrzewa się na słońcu, jest piroparanoikiem. Zabawne słowo, nieprawdaż? Piroparanoik. Co oznacza, że mój, spreczny z rzeczywistością, system ma za mianownik ogień. Jak gdybym wierzył w „życie ognia” (słowa przezacnej doktor Merriah). Rozumie się, nie ma w tym ani słowa prawdy. Ogień, w który lubimy patrzeć, jest tak samo żywy, jak fotografie naszych drogich zmarłych. Można badać go przez całe życie i niczego nie dojść. Rzeczywistość, jak zawsze, jest bardziej skomplikowana, ale i mniej złośliwa.

Napisałem sporo, a treści w tym niewiele. Ale to głównie dlatego, że mam dużo czasu. Przecież wiem, że kiedy dojdę do rzeczy ważnych, kiedy opowiem o nich do końca, wtedy naprawdę mogę się pogрузić w rozpacz. Aż do godziny, w której te notatki zostaną zniszczone, i będę mógł się wziąć do pisania nowych. Nie piszę zawsze tak samo. Nie jestem płytą gramofonową.

Chciałbym, by słońce zajrzało do pokoju, ale o tej porze roku składa ono swoje wizyty tylko przed czwartą i do tego na krótko. Chciałbym obserwować je przez jakiś wielki, dobry przyrząd, na przykład ten, który Humphrey Field ustawił na Mount Wilson cztery lata temu, z całym kompletem pochłaniaczy nadmiaru energii, tak że człowiek może spokojnie, godzinami całymi, wpatrywać się w porytą twarz naszego ojca. Źle mówię, bo to nie ojciec. Ojciec daje życie, a słońce umiera po trosze, podobnie jak wiele miliardów innych słońc.

Może już czas przystąpić do wtajemniczenia w tę prawdę, którą osiągnąłem dzięki przypadkowi i dociekliwości. Byłem wtedy fizykiem. Specjalista od wysokich temperatur. Jest to fachowiec, który zajmuje się ogniem tak, jak grabarz - człowiekiem. We trzech z Maartensem i Ganimaldim pracowaliśmy przy wielkim plazmotronie boulderskim. Dawniej nauka działała w daleko mniejszej skali probówek, retort i statywów, i rezultaty były odpowiednio drobniejsze. My braliśmy z międzystanowej szyny zbiorczej miliard watów energii, wpuszczaliśmy ją w brzuch elektromagnesu, którego jedna tylko sekcja ważyła 70 ton, a w ognisku pola magnetycznego umieszczaliśmy wielką rurę kwarcową.

Wyładowanie elektryczne szło przez rurę, od jednej elektrody do drugiej, a moc jego była taka, że zdzieraała z atomów elektronowe otoczki i pozostawała sama papka rozżarzonych jąder, zwyrodniała gaz jądrowy, czyli plazma, która wybuchłaby w jednej stumiliardowej części sekundy i obróciłaby nas, pancerze, kwarc, elektromagnesy z ich betonowym zakotwiczeniem, z murami gmachu i jego błyszczącą z dala kopułą w grzybiastą chmurę, a wszystko to stałoby się daleko prędzej, aniżeli daje się pomyśleć sama możliwość takiego zdarzenia, gdyby nie owo pole magnetyczne.

Pole to zaciskało wyładowanie idące w plazmie, ukrecało z niej rodzaj pulsującego żarem sznura, cienką nić, strzykającą twardym promieniowaniem, rozpiętą od elektrody do elektrody, drgającą wewnątrz zamkniętej w kwarcu próżni, pole magnetyczne nie dawało nagim cząstkom jądrowym o temperaturze miliona stopni zbliżyć się do ścian naczynia, ocalając nas i nasz eksperyment. Ale wszystko to, powiedziane językiem wzniosłej popularyzacji, znajdziecie w byle książce, a ja nieudolnie powtarzam to tylko dla porządku, ponieważ od czegoś należy zacząć, a trudno jednak uważać za początek tej historii każdą parę drzwi bez klamki czy

płócienny worek z bardzo długimi rękawami. Co prawda zaczynam w tym momencie przesadzać, bo już się takich worków, takich kaftanów nie używa. Nie są potrzebne, skoro odkryto pewien rodzaj drastycznie uspokajających leków. Ale mniejsza o to.

Plazmę więc badaliśmy, zajmowaliśmy się zagadnieniami plazmowymi, jak przystało na fizyków: teoretycznie, matematycznie, hieratycznie, wzniosie i tajemniczo - w tym przynajmniej sensie, że pogardliwie odnosiliśmy się do nacisku naszych nie znających się na nauce, niecierpliwych opiekunów finansowych; ci bowiem żądali wyników owocujących konkretnymi zastosowaniami. W owym czasie było bardzo modne rozprawianie o takich wynikach czy przynajmniej o ich prawdopodobieństwie. Miał więc powstać, na razie projektowany tylko na papierze, plazmowy silnik dla rakiet, bardzo potrzebny był też plazmowy zapalnik do bomb wodorowych, tych „czystych”, a nawet miał być opracowany teoretycznie stos wodorowy lub ogniwo termojądrowe, w oparciu o zasadę plazmowego sznura. Jednym słowem, przyszłość jeśli nie świata, to przynajmniej jego energetyki i transportu, widziano w plazmie. Plazma była, jakem rzekł, modna, zajmować się jej badaniem należało do dobrego tonu, a my byliśmy młodzi, chcieliśmy robić to, co najważniejsze i co może przynieść rozbłysk, sławę, bo ja wiem zresztą? Sprowadzone do motywów pierwszych, postęпки ludzkie stają się kupką trywialności, rozsądek i umiar, a także wykwent analizy polega na tym, aby cięcie poprzeczne i utrwalenie dokonało się w miejscu maksymalnej komplikacji, a nie u jej źródeł, bo przecież wszyscy wiedzą, że niewiele jest imponującego w źródłach nawet Mississippi i każdy może je z łatwością przeskoczyć. Stąd pewna pogarda dla źródeł. Ale odszedłem, po mojemu, od tematu.

Wielkie plany, które urzeczywistnić miały badania nasze i setek innych plazmologów, natrafiły po jakimś czasie na strefę zjawisk tyleż niezrozumiałych, co nieprzyjemnych. Do pewnej granicy - do granicy średnich temperatur (średnich w rozumieniu kosmicznym, więc takich, jakie panują na powierzchni gwiazd) plazma zachowywała się w sposób pokorny i solidny. Jeśli się ją spętało należytymi więzami, jak owym polem magnetycznym, jak pewnymi wyrafinowanymi sztuczkami, opartymi na zasadzie indukcji, dawała się wprzęgać w kierat praktycznych zastosowań i energię jej można było pozornie użytkować. Pozornie, bo w podtrzymywanie plazmowego sznura wkładało się więcej energii, aniżeli się z niego uzyskiwało; różnica szła na straty promieniste, no i na wzrost entropii. Bilans na razie nie był ważny, bo z teorii wynikało, że przy wyższych temperaturach koszt automatycznie spadną. Powstał więc rzeczywiście jakiś prototyp motoraka odrzutowego, a nawet generator bardzo twardych promieni gamma, lecz równocześnie plazma nie spełniała wielu pokładanych w niej nadziei. Mały silniczek plazmowy działał, zaś projektowane na większą moc eksplodowały bądź odmawiały posłuszeństwa. Okazało się, że plazma w pewnym zakresie pobudzeń termicznych i elektrodynamicznych zachowuje się nie tak, jak to przewiduje teoria; wszystkich to oburzyło, ponieważ teoria była pod względem matematycznym niezwykle elegancka i całkiem nowa.

Takie rzeczy zdarzają się, co więcej, muszą się zdarzać. Nie stropieni zatem ową niepokornością zjawiska, liczni teoretycy, a między nimi i nasza trójka, zabrali się do studiowania plazmy tam, gdzie była najkrnąbrniejsza.

Plazma - to ma w historii pewne znaczenie - wygląda dość imponująco. Najprościej mówiąc, przypomina kawałek słońca, i to wzięty ze środkowych raczej stref, a nie z chłodnawej chromosfery. Nie ustępuje ona blaskiem słońcu, przeciwnie,

przewyższa je nawet. Nie ma ona nic wspólnego z bladziotawym tańcem tych powtórnych, ostatecznych już zgonów, jaki ukazuje nam łączące się z tlenem drzewo w kominku, ani z bladoliliowym, gwizdającym stożkiem dyszy palnikowej, gdzie fluor wstępuje w reakcję z tlenem, by dać najwyższą z osiągniętych chemicznie temperatur, ani wreszcie z łukiem Volty, wygiętym płomieniem wśród kraterów dwu węgla, choć przy dobrych chęciach i należytej cierpliwości badacz mógłby doszukać się miejsc cieplejszych niż 3000 stopni. Również temperatury uzyskiwane dzięki pchnięciu jakiegoś miliona amperów w niegruby przewodnik elektryczny, który staje się wtedy chmurką wcale już ciepłą albo termiczne efekty udarowych fal przy eksplozji kumulatywnej - wszystkie pozostawia plazma daleko w tyle. W porównaniu z nią, podobne reakcje należy uznać za zimne, wręcz lodowate, a nie sądzimy tak tylko przez przypadek, który sprawił, że powstaliśmy z ciał kompletnie już zastygłych, zmartwiałych, w pobliżu absolutnego zera; nasze dziarskie bytowanie dzieli od niego ledwo trzysta stopni w skali absolutnej Kelvina, podczas kiedy w górę słup owej skali rozpościera się na miliardy stopni. Tak więc, doprawdy, nie jest przesadą mówić o tych najgorętszych z możliwości, które umiemy wzniecać laboratoryjnie, jako o zjawiskach wiecznego milczenia ciepłego.

Pierwsze płomyczki plazmy, które zakiełkowały w laboratoriach, też nie były takie ciepłe - dwieście tysięcy stopni uważano wówczas za temperatury godną szacunku, a milion był już niezwykłym osiągnięciem. Matematyka jednak, ta prymitywna i przybliżona matematyka, powstała ze znajomości zjawisk strefy zimna, obiecywała ziszczenie pokładanych w plazmie nadziei jeszcze znacznie wyżej na skali termometrycznej: domagała się temperatur uczciwie wysokich, prawie gwiazdnych; myślę oczywiście o wnętrzach gwiazd. Muszą to być miejsca niezwykle

ciekawe, choć na osobistą w nich obecność człowieka pewno przyjdzie jeszcze poczekać.

Tak więc, potrzeba było milionowych temperatur. Zaczęto je realizować, myśmy też nad tym pracowali, i oto co się okazało.

W miarę wzrostu temperatury szybkość przemian, wszystko jedno jakich, zwiększa się; wobec skromnych możliwości tak ciekłej kropelki, jaką jest nasze oko, połączonej z drugą, większą kroplą, którą stanowi mózg, nawet płomień zwykłej świecy jest już domeną zjawisk niezauważalnych dla ich tempa, cóż dopiero mówić o dygocącym ogniu plazmy! Przyszło więc wziąć się do innych metod, fotografowało się plazmowe wyładowania, i myśmy też to robili. Nareszcie Maartens z pomocą kilku znajomych optyków i inżynierów-mechaników zmajstrował kamerę filmową, istne cudo, przynajmniej jak na nasze możliwości, kamerę, która dokonywała milionów zdjęć na sekundę. Mniejsza o jej konstrukcję, nad wyraz dowcipną i chwalebnie świadczącą o naszej gorliwości. Dość, że napsuliśmy kilometry taśmy filmowej, ale w rezultacie uzyskaliśmy paręset metrów godnych uwagi i wyświetlaliśmy je sobie w tempie zwolnionym tysiąc, a potem i dziesięć tysięcy razy. Niczego szczególnego nie zauważyliśmy, poza tym, że pewne rozbłyski, zrazu uważane za zjawisko elementarne, okazały się zbitkami powstałymi przez nakładanie się na siebie tysięcznych bardzo szybkich przemian, lecz i te w końcu dało się opanować naszą prymitywną matematyką.

Dziw padł na nas dopiero wtedy, kiedy pewnego razu. pod wpływem nie wyjaśnionego dotąd niedopatrzenia czy jakiejś niezawinionej przyczyny, nastąpił wybuch. Właściwie nie był to prawdziwy wybuch, bobyśmy go nie przeżyli, po prostu plazma przemogła w apokaliptycznie drobnej części sekundy zaciskając ją ze wszystkich stron niewidzialne pole magnetyczne i rozwaliła nam grubościenną rurę kwarcową, w której była uwięziona.

Przez szczęśliwy zbieg okoliczności ocalała kamera filmująca eksperyment, wraz z zawartą w niej taśmą. Cała eksplozja trwała dokładnie milionowe części sekundy, reszta była już tylko pogorzeliem rozstrzeliwanych na wszystkie strony kropel stopionego kwarcu i metalu. Te nanosekundy zapisały się na naszym filmie jako zjawisko, którego póki życia nie zapomnę.

Tuż przed wybuchem jednolity prawie dotąd sznur plazmatycznego płomienia pozwężał się w jednakowych odstępach jak szarpnięta struna, po czym rozpadłszy się na szereg krągłych ziaren, przestał istnieć jako całość. Każde z ziaren rosło i przeobrażało się, granice tych kropelek atomowego żaru stały się płynne, wysunęły się z nich wypustki, z których powstała następna generacja kropelek, potem wszystkie te kropelki zbiegły się ku środkowi i utworzyły przybliżoną kulę, która, kurcząc się i rozdymając, jakby oddychała a równocześnie wysyłała na zwiady w otoczenie rodzaj ognistych, na końcach dygocących macek, po czym nastąpił, tym razem już i na naszym filmie, momentalny rozkład, zanik wszelkiej organizacji i widać było tylko ulewę ognistych rozbryzgów, biczących pole widzenia, aż utonęło ono w kompletnym chaosie.

Nie przesadzę, jeśli powiem, żeśmy sobie obejrzeni tę taśmę ze sto razy. Następnie, przyznając, że był to mój pomysł, zaprosiliśmy do nas, nie do laboratorium, lecz do mieszkania Ganimaldiego, pewnego znanego biologa, szacowną znakomitość. Nic mu przedtem nie mówiąc, ani o niczym go nie uprzedzając, wycięliśmy tylko środkową część sławetnej taśmy i dokonaliśmy na oczach czcigodnego gościa projekcji, normalnym aparatem, z tym tylko, żeśmy na obiektyw nałożyli ciemny filtr, dzięki czemu to, co na zdjęciu było płomieniem, zbladło i wyglądało jak przedmiot dość mocno oświetlony padającym światłem.

Profesor obejrzał nasz film i kiedy zapaliły się lampy, wyraził uprzejme zdziwienie, że my, fizycy, zajmujemy się tak odległymi

dla nas sprawami, jak życie wymoczków w akwariach. Spytałem, czy jest pewien, że to, co widział, jest rzeczywiście kolonią wymoczków.

Pamiętam jego uśmiech, jakby to było dziś.

- Zdjęcia nie były dość ostre - wyjął, pośród owego uśmiechu - i, za pozwoleniem, znać, że ich dokonywali niefachowcy, ale mogę panów zapewnić, że to nie jest artefakt...

- Co pan rozumie przez artefakt? - spytałem.

- Arte factum, czyli coś stworzonego sztucznie. Jeszcze za Schwamma zabawiano się imitowaniem żywych form w ten sposób, że wpuszczano się do oliwy krople chloroformu; krople takie wykonują ruchy amebowate, pełzną po dnie naczynia, a nawet dzielą się przy zmianie ciśnienia osmotycznego u biegunów, ale to są czysto zewnętrzne, prymitywne podobieństwa, mające z życiem tyleż wspólnego, co z człowiekiem ma wystawowy manekin. Decyduje przecież budowa wewnętrzna, mikrostruktura. Na waszym zdjęciu widać, chociaż niewyraźnie, jak przebiega podział tych jednokomórkowców; nie mogę określić gatunku i nie dałbym nawet głowy, czy to nie są po prostu komórki tkanki zwierzęcej, przez długi czas hodowane na sztucznych pożywkach i potraktowane hialuronidazą, aby je rozłączyć, rozkleić; w każdym razie to są komórki, bo mają aparat chromosomowy, choć zdefektowany. Czy środowisko było poddane działaniu jakiegoś środka rakotwórczego?...

Nawet nie spojrzeliśmy na siebie. Staraliśmy się nie odpowiadać na jego coraz liczniejsze pytania. Ganimaldi prosił, by gość zechciał jeszcze raz obejrzeć film, ale do tego nie doszło, nie pamiętam już, z jakich powodów, może profesor się spieszył, a może myślał, że za naszą lakonicznością kryje się jakiś kawał. Naprawdę nie pamiętam. Dostyc, że zostaliśmy sami i wtedy

dopiero, gdy za owym autorytetem zamknęły się drzwi, popatrzyliśmy na siebie w prawdziwym osłupieniu.

- Słuchajcie - powiedziałem, nim któryś zdążył się odezwać - uważam, że powinniśmy zaprosić innego specjalistę i pokazać mu nie okrojony film. Teraz, kiedy wiemy, o co idzie gra, musi to być fachowiec całą gębą - w dziedzinie jednokomórkowców.

Maartens zaproponował jednego ze swych znajomych uniwersyteckich, który mieszkał niedaleko. Nie było go jednak w domu, wrócił dopiero po tygodniu i przyszedł wtedy na przygotowany starannie seans. Ganimaldi nie zdecydował się powiedzieć mu prawdy. Po prostu pokazał mu cały film, z wyjątkiem początku, gdyż obraz przemiany, tam, gdzie sznur plazmy przewężał się w pojedyncze, febrycznie drgające krople, mógł dać zbyt wiele do myślenia. Za to tym razem wyświetliliśmy koniec, ową ostatnią fazę istnienia plazmatycznej ameby, która rozlatywała się niczym wybuchowy ładunek.

Ten drugi specjalista, również biolog, był o wiele młodszy od tamtego, i przez to mniej zadufały, a także, zdaje się, lepiej życzył Maartensowi.

- To jakieś ameby głębokowodne - powiedział. - Rozsadziło je ciśnienie wewnętrzne, w chwili kiedy zewnętrzne zaczęło spadać. Tak, jak to się dzieje z głębinowymi rybami. Nie można wydobyć ich żywcem z dna oceanu - zawsze giną, rozsądzone od wewnątrz. Ale skąd u was takie zdjęcia? Opuściliście kamerę w głąb oceanu, czy jak?

Patrzył na nas z rosnącą podejrzliwością.

- Zdjęcia są nieostre, prawda? - zauważył skromnie Maartens.

- Chociaż nieostre, ale i tak ciekawe. Poza tym, proces podziałów przebiega jakoś nienormalnie. Nie zauważyłem dobrze kolejności faz. Puśćcie no jeszcze raz taśmę, ale wolniej...

Puściliśmy ją tak wolno, jak się tylko dało, ale niewiele to pomogło, młody biolog nie był zupełnie zadowolony.

- Jeszcze wolniej nie można?

- Nie.

- Czemuście nie robili zdjęć przyspieszonych?

Miałem ogromną ochotę spytać go, czy pięciu milionów zdjęć na sekundę nie uważa za pewne przyspieszenie, ale ugryzłem się w język. W końcu nie chodziło o żarty.

- Tak, podział przebiega anormalnie - powiedział, kiedy obejrzał film po raz trzeci. - Poza tym odnosi się takie wrażenie, jakby wszystko działo się w ośrodku gęstszym od wody... a w dodatku większość komórek potomnych drugiego pokolenia wykazuje rosnące defekty rozwojowe, mitoza jest pokielbaszona, i czemu zlewają się razem? To bardzo dziwne... Czy to było robione na materiale pierwotniaków w środowisku radioaktywnym? - spytał nagle.

Zrozumiałem, o czym myślał. W owym czasie wiele mówiło się o tym, że sposoby stosowane do unieszkodliwiania popiołów radioaktywnych, pochodzących ze stosów atomowych, przez zatapianie ich w hermetycznych zbiornikach na dnie oceanów, są nader ryzykowne i mogą doprowadzić do skażenia wody morskiej.

Zapewnialiśmy go, że się myli, że to nie ma nic wspólnego z radioaktywnością i pozbyliśmy się go nie bez trudu, zmarszczonego, przyglądającego się nam kolejno i zadającego coraz więcej i więcej pytań, na które nikt nie chciał odpowiadać, bośmy się uprzednio tak umówili. Rzecz była zbyt niesamowita i zbyt wielka, aby można ją było powierzyć obcemu, choćby i przyjacielowi Maartensa.

- Teraz, drodzy moi, musimy się solidnie zastanowić, co począć z tym fantem - powiedział Maartens, gdyśmy zostali po tej drugiej już konsultacji sami.

- To, co twój biolog wziął za spadek ciśnienia, który wywołał rozsądzenie „ameb”, w rzeczywistości było nagłym spadkiem natężenia pola magnetycznego... - powiedziałem do Maartensa.

Ganimaldi, który dotąd milczał, odezwał się jak zwykle rozsądnie.

- Uważam - powiedział - że powinniśmy przeprowadzić dalsze doświadczenia...

Zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujemy. Było już wiadomo, że plazma, względnie „spokojna” i dająca się okiełznać w temperaturach podmilionowych, gdzieś powyżej tej granicy przechodzi w stan nietrwały i kończy swoje efemeryczne istnienie wybuchem, podobnym do tego porannego, który nastąpił w naszym laboratorium. Potęgowanie pola magnetycznego wprowadzało tylko czynnik nieobliczalnego prawie opóźnienia eksplozji. Większość fizyków uważała, że wartość pewnych parametrów zmienia się skokowo i że potrzebna będzie całkiem nowa teoria „gorącego gazu nuklearnego”. Zresztą hipotez, mających wyjaśnić ten fenomen, było już sporo.

W każdym razie nawet myśleć się nie dało o zużytkowaniu gorącej plazmy do napędu raket czy stosów. Drogę tę uznano za fałszywą, prowadzącą w ślepą uliczkę. Badacze, ci zwłaszcza, którzy interesowali się konkretnymi rezultatami, wrócili do temperatur niższych. Tak mniej więcej przedstawiała się sytuacja, kiedyśmy przystąpili do następnych doświadczeń.

Powyżej miliona stopni plazma stawała się materiałem, wobec którego wagon nitrogliceryny jest grzechotką dziecięcą. Ale i to niebezpieczeństwo nie mogłoby nas powstrzymać. Byliśmy już zbyt zaintrygowani niezwykłą rewelacją odkrycia i gotowi na

wszystko. Inna rzecz, że dostrzegaliśmy masę horrendalnych przeszkód. Ostatni ślad jasności, jaki wносиła matematyka w głąb ziejących żarów plazmy, znikał gdzieś koło miliona czy według innych, mniej pewnych metod, półtora miliona. Dalej rachunek zawodził całkowicie, bo wynikały z niego już tylko same nonsensy.

Pozostawała więc stara metoda prób i błędów, czyli eksperymentowania, w pierwszych przynajmniej fazach, na ślepo. Ale jak chronić się przed groźącymi w każdej chwili wybuchami? Bloki żelbetu, najgrubsze panczerze stalowe, zapory - wszystko to staje się wobec szczypty materii, rozpalonej do milionów stopni, osłoną wartą akurat tyle, co arkusz bibułki.

- Wyobraźcie sobie - powiedziałem do nich - że gdzieś, w kosmicznej próżni, w pobliżu absolutnego zera, znajdują się istoty, niepodobne do nas, dajmy na to rodzaj metalowych organizmów, które przeprowadzają rozmaite eksperymenty. Między innymi udaje im się - mniejsza w tej chwili o to jak - dosyć, że udaje im się syntetyzować żywą, białkową komórkę. Jedną amebę. Co się z nią stanie? Oczywiście, zaledwie stworzona, natychmiast rozpadnie się, wybuchnie, a szczątki jej zamarzną, bo w próżni zagotuje się i momentalnie obróci w parę zawarta w niej woda, ciepło zaś przemiany białkowej natychmiast wypromieniuje. Nasi eksperymentatorzy, filmując swoją komórkę kamera taką jak nasza, będą mogli ją przez ułamek sekundy zobaczyć... zaś po to, by utrzymać ją przy życiu, musieliby stworzyć dla niej odpowiednie środowisko...

- Naprawdę uważasz, że nasza plazma zrodziła „żywą amebę”?
- spytał Ganimaldi. - Że to jest życie zbudowane z ognia?

- Co to jest życie? - odpowiedziałem, prawie jak poncki Piłat, kiedy pytał, „co to jest prawda?” - Niczego nie utrzymuję. Jedno jest w każdym razie pewne: próżnia kosmiczna i kosmiczny mróz są daleko korzystniejszymi warunkami dla istnienia ameby,

aniżeli warunki ziemskie - dla istnienia plazmy. Jest tylko jedno środowisko, w którym, powyżej miliona stopni, nie musiałyby ulec zagładzie...

- Rozumiem. Gwiazda. Wnętrze gwiazdy - powiedział Ganimaldi. - Chcesz to wnętrze stworzyć w laboratorium, dookoła rury z plazmą? Istotnie, nic prostszego... Ale przedtem musielibyśmy zapalić cały wodór oceanów...

- To nie jest konieczne. Spróbujemy zrobić coś innego.

- Można by zrobić to inaczej - zauważył Maartens. - Eksplozować ładunek trytu i w bąbel wybuchu wprowadzić plazmę...

- Tego się nie da zrobić, sam o tym wiesz. Najpierw, nikt nie pozwoli ci dokonać wybuchu wodorowego, a gdyby nawet tak nie było, to nie ma żadnego sposobu wprowadzenia plazmy w ognisko eksplozji. Zresztą, bąbel istnieje tylko tak długo, jak długo doprowadzamy świeży tryt z zewnątrz.

Po tej rozmowie rozeszliśmy się, w ponurych raczej nastrojach, bo wyglądało na to, że sprawa jest beznadziejna. Ale potem znowu zaczęliśmy nie kończące się dyskusje i wreszcie wynaleźliśmy coś, co wyglądało na szansę, a przynajmniej na jej błady cień. Potrzebne nam było pole magnetyczne o niesamowitym natężeniu i gwiazdowa temperatura. To miała być „pożywka” plazmy. Jej „naturalne” środowisko. Postanowiliśmy dokonać eksperymentu w polu o zwykłym natężeniu, następnie zwiększyć jego moc, nagłym skokiem, dziesięciokrotnie. Z obliczeń wynikało, że aparatura, ten nasz magnetyczny, ośmiusettonowy potwór, rozleci się, a przynajmniej uzwojenia ulegną stopieniu, ale przedtem będziemy mieli w momencie krótkiego zwarcia postulowane pole, przez dwie, a może nawet przez trzy stutysięczne sekundy. W stosunku do tempa procesów, zachodzących w plazmie, był to czas dość długi. Cały projekt miał

jawnie kryminalny charakter i naturalnie nikt nie pozwoliłby nam na jego realizację. Ale mało to nas obchodziło. Zależało nam tylko na rejestracji zjawisk, które zajdą w momencie zwarcia i zaraz potem następującej detonacji.

Gdybyśmy zrujnowali aparaturę i nie zyskali ani metra taśmy, ani jednego zdjęcia, wszystko, czego byśmy dokonali, oznaczałoby akt zniszczenia. Budynek mieszczący laboratorium znajdował się na szczęście kilkanaście mil od miasta, pośród łagodnych, trawiastych wzgórz. Na szczycie jednego ze wzgórz urządziliśmy sobie punkt obserwacyjny, z kamerą filmową, teleobiektywami i całym elektronowym kramem, umieszczonym za płytą pancernego szkła o wysokiej przejrzystości. Dokonaliśmy serii próbných zdjęć, używając coraz potężniejszych teleobiektywów, aż wreszcie zdecydowaliśmy się na taki, który zbliżał osiemdziesięciokrotnie. Miał bardzo małą siłę światła, ale ponieważ plazma jest jaśniejsza od słońca, nie było to ważne. W owym czasie pracowaliśmy już jak spiskowcy raczej niż jak badacze. Korzystaliśmy z tego, że były wakacje i nikt prócz nas nie bywał w laboratorium, a stan ten miał trwać jeszcze około dwóch tygodni. W tym czasie musieliśmy zrobić swoje. Wiedzieliśmy, że nie obejdzie się bez hałasu, a nawet grubszych nieprzyjemności, bo trzeba się będzie jakoś wytłumaczyć z katastrofy - obmyśliliśmy nawet kilka wariantów dość prawdopodobnego usprawiedliwienia, które miało stworzyć pozory naszej niewinności. Nie wiedzieliśmy, czy ten szaleńczy projekt da w ogóle wyniki, pewne było tylko to, że całe laboratorium po eksplozji przestanie istnieć. Liczyć mogliśmy jedynie na nią. Wyjęliśmy okna wraz z ramami z tej ściany budynku, która patrzyła na szczyt wzgórza; trzeba było jeszcze zdemontować i wynieść na zewnątrz ochronne przegrody z hali elektromagnesu, tak aby źródło plazmy było dobrze widoczne z naszej placówki.

Zrobiliśmy to szóstego sierpnia, o siódmej dwadzieścia rano, pod bezobłocznym niebem, w upale pełnym słońca. W zboczu, pod samym wierzchołkiem pagóra, wykopany był głęboki rów, z którego Maartens zawiadywał, za pośrednictwem przenośnego małego pulpitu i kabli ciągnących się od budynku na wzgórze, procesami wewnątrz laboratorium. Ganimaldi opiekował się kamerą, a ja obok niego, z głową wysuniętą nad przedpiersie, przez pancerne szkło oraz ustawioną na trójnogu potężną lornetę patrzyłem w ciemny kwadrat wyłupionego okna czekając na to, co miało stać się tam w środku.

- Minus 21... minus 20... minus 19... - powtarzał monotonnym głosem, bez cienia emocji, Maartens. siedzący tuż za mną nad płataniną kabli i wyłączników. W polu widzenia miałem absolutną czerń, w której środku drgała i wyginała się leniwie rtęciowa żyłka rozgrzewanej plazmy. Nie widziałem ani nasłonecznionych wydm, ani trawy, pełnej białych i żółtych kwiatów, ani nawet sierpniowego nieba nad kopułą budynku; szkła były uczciwie zaczernione. Kiedy plazma zaczęła puchnąć w środku, przestraszyłem się, że rozsadzi rurę pierwej, nim Maartens skokiem zwarcia spotęguje pole. Otworzyłem usta, by krzyknąć, lecz w tej samej chwili Maartens powiedział: „Zero!!”

Nie. Ziemia nie zakołysała się, ani nie usłyszeliśmy żadnego huku, tylko czerń, w którą byłem wpatrzony, ta noc jakby najgłębsza, zbladła. Otwór w ścianie laboratorium wypełniła pomarańczowa mgła, stał się on kwadratowym słońcem, w samym centrum błysnęło oślepiająco, potem wszystko pochłonął wir ognia: otwór w murze powiększył się, strzelił gałęzistymi liniami pęknięć, tryskających dymem i płomieniami, i z przeciągłym grzmotem, który szedł na całą okolicę, kopuła osunęła się w padające mury. Równocześnie przestałem widzieć cokolwiek przez szkła, odjąłem lornetę od oczu i zobaczyłem bijący w niebo słup dymu. Ganimaldi poruszał gwałtownie ustami, krzycząc coś,

ale grom trwał jeszcze, przewalał się nad nami i nie słyszałem nic - uszy miałem jak zapchane watą. Maartens zerwał się z klęczek i wcisnął się pomiędzy nas, by spojrzeć w dół, gdyż dotąd zajęty był pulpitem; łoskot ucichł. Krzyknęliśmy wtedy, bodaj że wszyscy.

Chmura, odrzucona siłą wybuchu, unosiła się już wysoko ponad zgliszczami, które rozpadały się coraz wolniej w obłoku wapiennego pyłu. Z jego kłębow wynurzył się oślepiający, podługowaty płomień, otoczony promienistą aureolą - rzekłbyś, drugie słońce, rozplaszczone na kształt robaka. Może przez sekundę wisiał prawie nieruchomo nad dymiącym rumowiskiem, wciąż kurcząc się i rozciągając, po czym spłynął ku ziemi. Już czarne i czerwone kręgi pływały mi w oczach, bo ten stwór czy płomień buchał blaskiem równym słonecznemu, ale zobaczyłem jeszcze, gdy się obniżał, jak momentalnie znika wysoka trawa, dymiąc na jego drodze, a on sunął ku nam, ni to czołgając się, ni to polatując, przy czym otaczająca go aureola rozszerzała się, tak że był już jądrem ognistego pęcherza. Przez pancerne szyby uderzył żar promieniowania, ogniowy robak znikł nam z oczu, ale po dygotaniu powietrza nad stokiem, po kłębach pary i snopach trzeszczących iskier, w które obracały się krzaki, poznaliśmy, że sunie ku szczytowi wzgórze. Objijając się o siebie w nagłym ataku paniki, rzuciliśmy się do ucieczki. Wiem, że biegłem przed siebie z karkiem i plecami osmalanymi niewidzialnym płomieniem, który zdawał się mnie gonić. Nie widziałem Maartensa ani Ganimaldiego; byłem jak ślepy, gnałem przed siebie, aż potknąłem się o jakieś kretowisko i runąłem w mokrą jeszcze od nocnej rosy trawę na dnie następnej kotlinki. Dyszałem ciężko, zacisnąwszy z całej siły powieki, i choć twarz miałem w trawie, nagle gałki oczne wypełnił mi jakiś czerwonawy brzask, jak kiedy słońce świeci w zamknięte oczy. Ale prawdę mówiąc, tego nie jestem już całkiem pewien.

Tu otwiera się luka w mojej pamięci. Nie wiem, jak długo leżałem. Obudziłem się, niby ze snu. z twarzą w wysokiej trawie. Gdy poruszyłem się. poczułem w okolicy karku i szyi piekący, okropny ból; przez długą chwilę nie śmiałem nawet podnieść głowy. Wreszcie to zrobiłem. Znajdowałem się na dnie kotlinki, otoczonej niskimi pagórami; dokoła łagodnie falowała w podmuchach trawa, jeszcze z ostatnimi, świecącymi kroplami rosy, która ulatniała się szybko w promieniach słońca. Jego ciepło dobrze dawało mi się we znaki; zrozumiałem to dopiero, gdy dotknąwszy ostrożnie karku, poczułem pod palcami grube bąble oparzeń. Wstałem wówczas i wzrokiem odszukałem wzgórze, na którym znajdował się przedtem nasz punkt obserwacyjny- Przez długą chwilę nie mogłem się zdecydować, bałem się tam iść. Miałem jeszcze w oczach okropne czołganie się tego słonecznego robaka.

- Maartens! - krzyknąłem. - Ganimaldi!!

Odruchowo spojrzałem na zegarek: było pięć po ósmej. Przyłożyłem go do ucha, szedł. Wybuch nastąpił o siódmej dwadzieścia; wszystko potem trwało może pół minuty. Prawie trzy kwadransy byłem nieprzytomny?

Poszedłem w górę po pochyłości. Jakies trzydzieści metrów od szczytu wzniesienia natknąłem się na pierwsze łysiny wypalanej ziemi. Były pokryte sinawym, wystygłym już prawie popiołem, niczym ślad ogniska, które tu ktoś rozpałił. Ale musiało to być bardzo dziwne ognisko, bo nie spoczywało nieruchomo.

Od zwęglonego miejsca szedł pas wyżarzanej ziemi, szeroki na jakies półtora metra, falisty, z trawą u obu brzegów zwęgloną, a dalej tylko pożółkłą i zwiędłą. Pas ten kończył się za następnym koliskiem spalonej ziemi. Tuż obok leżał twarzą w dół, z jednym kolaniem prawie pod pierś podciągniętym, człowiek. Nim go jeszcze dotknąłem, wiedziałem, że nie żyje. Ubranie, pozornie całe, zmieniło barwę na srebrzystoszarą; taki sam niemożliwy

kolor miał jego kark, i kiedy się nad nim pochyliłem, wszystko to zaczęło się pod moim tchnieniem rozsypywać.

Odskoczyłem z okrzykiem zgrozy, ale miałem już przed sobą skurczony czarniawy kształt, tylko ogólnym zarysem przypominający ludzkie ciało. Nie wiedziałem, czy to Maartens czy Ganimaldi, i nie miałem odwagi dotknąć go, przeczuwając, że już nie ma twarzy. Pognałem wielkimi susami na szczyt wzgórza, ale już nie wołałem. Znowu natrafiłem na ślad ognistego przejścia, krętą, na węgiel wypaloną czarną drózkę wśród trawy, rozszerzającą się miejscami do rozmiarów kilkumetrowego kręgu.

Oczekiwałem widoku drugiego ciała, ale nie znalazłem go. Zbiegłem ze szczytu, tam gdzie był przedtem nasz wykop; z osłony z pancernego szkła pozostała jedynie rozciekła po zboczu, płaska skorupa, niby zamarznięta kałuża. Wszystko inne - aparaty, kamery filmowe, pulpit, lornety, przestało istnieć, a sam okop zapadł się jakby pod ciśnieniem, przyłożonym doń z góry, i tylko trochę szczątków stopionego metalu widniało wśród kamieni. Spojrzałem w stronę laboratorium. Wyglądało jak po wybuchu potężnej bomby lotniczej. Między kawałami szczepionych w upadku murów polatywały ledwo widoczne w słońcu płomyki dogasającego pożaru. Prawie tego nie widziałem, usiłując sobie przypomnieć, w którą stronę pobiegli moi towarzysze, kiedy wyskoczyliśmy jednocześnie z ziemianki. Maartensa miałem wtedy po lewej stronie, więc to chyba jego ciało odkryłem - a Ganimaldi...?

Zacząłem szukać jego śladów, daremnie, bo poza granicą wypalonego kręgu trawa już się podniosła. Biegałem tak, aż znalazłem inny, wypalony pas i zacząłem schodzić nim jak poskrzypującą pod podeszwami ścieżką w dół... aż zastygłem. Popielisko rozszerzało się; źdźbła martwej trawy okalały przestrzeń mierzącą nie więcej niż dwa metry, o kształcie nieregularnym. Z jednej strony była węższa, z drugiej rozchodziła

się... wszystko razem przypominało zdeformowany, rozplaszczony krzyż, pokryty dość grubą warstwą czarniawego pyłu, jakby długo dogorywała tu drewniana figura z rozpostartymi rękami, rzucona na wznak... Ale to może było tylko złudzenie? Nie wiem.

Już od dawna zdawało mi się, że słyszę dalekie, przenikliwe wycie, ale nie zwracałem na nie uwagi. Doszły mię też ludzkie głosy, i one nic mnie nie obchodziły. Nagle zobaczyłem maleńkie figurki ludzi, biegnących ku mnie; w pierwszej chwili przypadłem do ziemi, jakbym chciał się ukryć, a nawet odpełzłem od popieliska i skoczyłem w bok; gdy biegłem drugim skłonem, pojawili się nagle, zaszli mnie z dwu stron. Czułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, było mi zresztą wszystko jedno.

Nie wiem właściwie, czemu uciekałem - o ile to była próba ucieczki. Usiadłem na trawie, a oni otoczyli mnie, jeden pochylał się nade mną, mówił coś, powiedziałem, żeby przestał, żeby raczej szukali Ganimaldiego, bo nic mi nie jest. Kiedy chcieli mnie podnieść, broniłem się. wtedy ktoś ujął mnie za ramię. Krzyknąłem z bólu. Potem poczułem ukłucie i straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu.

Pamięć miałem doskonale zachowaną. Nie wiedziałem tylko, ile czasu upłynęło od katastrofy. Z głową tkwiłem w bandażach, oparzenia dawały o sobie znać silnym bólem potęgującym się przy każdym poruszeniu; starałem się więc zachowywać jak najspokojniej. Zresztą te moje przejścia szpitalne, wszystkie transplantacje skóry, które mi robiono przez całe miesiące, nie mają znaczenia, podobnie jak i to, co stało się później. Zresztą nic innego nie mogło się stać. Dopiero w wiele tygodni potem przeczytałem w gazetach oficjalną wersję wypadku. Wy tłumaczenie znaleziono proste, które samo zresztą się narzucało. Laboratorium zrujnował wybuch plazmy; ogarnięci płomieniami trzech mężczyźni usiłowali uciekać; z nich Ganimaldi

zginął w budynku, pod gruzami, Maartens w płonącym odzieniu zmarł, dobiegłszy na szczyt wzgórza, a ja wyszedłem z katastrofy poparzony, w stanie ciężkiego szoku. Na spopielone ślady wśród traw nie zwrócono w ogóle uwagi, jako że badano przede wszystkim same ruiny laboratorium. Ktoś tam twierdził zresztą, że to trawa zapaliła się od płonącego Maartensa, który tarzał się po niej, usiłując zdusić płomienie. I tak dalej.

Uważałem za swój obowiązek powiedzieć prawdę bez względu na konsekwencje, teraz już choćby tylko przez wzgląd na Ganimaldiego i Maartensa. Bardzo ostrożnie dano mi do zrozumienia, że moja wersja wypadków jest efektem szoku, tak zwanym urojeniem następczym. Nie wróciłem jeszcze do równowagi; zacząłem gwałtownie protestować - moje wzburzenie wzięto za symptom, potwierdzający diagnozę. Jakiś tydzień potem odbyła się następna rozmowa.

Tym razem usiłowałem argumentować już bardziej chłodno, opowiedziałem o pierwszym nakręconym filmie, który znajdował się w mieszkaniu Maartensa; poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu. Domyślałem się, że Maartens zrobił to, o czym kiedyś mimochodem wspomniał: włożył zapewne film do skrytki bankowej. Ponieważ wszystko, co miał przy sobie, uległo zupełnemu zniszczeniu, z klucza i z kwitu depozytowego nic nie zostało. Film ten do dziś leżeć musi w jakimś sejfie. Tak więc i tutaj przegrałem; nie dawałem jednak za wygraną i dzięki moim powtarzanym żądaniom doszło do wizji lokalnej. Powiedziałem, że udowodnię wszystko na miejscu; lekarze znów sądzili, że gdy znajdę się tam, wróci mi, być może, pamięć wydarzeń „rzeczywistych”. Chciałem pokazać im kable, które przeciągnęliśmy na szczyt wzgórza, do ziemianki. Ale i owych kabli nie było. Twierdziłem, że jeśli ich nie ma, zostały usunięte później, może przez załogi walczące z pożarem. Powiedziano mi,

że się myślę - nikt nie zabierał żadnych kabli, bo nie istniały poza moją wyobraźnią.

Wtedy dopiero, tam, wśród wzgórz, pod błękitnym niebem, w pobliżu poczerniałych już i jakby zmalanych ruin laboratorium pojąłem, dlaczego tak się stało. Ogniowy robak nie zabił nas. Nie chciał nas zabić. Nic o nas nie wiedział, nie obchodziliśmy go. Stworzony eksplozją, wypełznawszy z niej, wychwycił z otoczenia rytm sygnałów, które wciąż jeszcze pulsowały w kablach, bo Maartens nie wyłączył sterującego urządzenia. To ku jego źródłu, ku źródłu impulsów elektrycznych poczołgał się ogniowy stwór, nie żadna świadoma istota, ale dżdżownica słoneczna, walcowaty kłęb zorganizowanego żaru... który miał przed sobą ledwo kilkadziesiąt sekund istnienia. Świadczyła o tym jego rosnąca aureola; umożliwiającą mu istnienie temperatura gwałtownie spadała, w każdym mgnieniu musiał tracić olbrzymie ilości energii, wypromieniowywał ją, a nie miał jej skąd czerpać, dlatego wił się spazmatycznie wzdłuż kabli, niosących elektryczność, obracając je równocześnie w parę, w gaz. Maartens i Ganimaldi znaleźli się na jego drodze przypadkowo, zresztą nie zbliżył się zapewne do nich. Uciekali; Maartensa trafił udar termiczny ogniowego przejścia kilkadziesiąt kroków od szczytu, Ganimaldi, być może, zupełnie oślepiony, stracił poczucie kierunku i wpadł prosto w otchłań błyszczącej agonii.

Tak, ogniowy stwór konał tam, na szczycie wzgórze, wijąc się bezsensownie, kreto wśród trawy, w gwałtownym i daremnym poszukiwaniu źródeł energii, która zeń wyciekała, niczym krew z żył. Zabił ich obu, nawet o tym nie wiedząc. Zresztą, trawa zarosła spopielone ślady.

Kiedyśmy tam przyjechali z dwoma lekarzami, jakimś obcym człowiekiem, zdaje się kimś z policji i profesorem Guilshem, nie można ich już było znaleźć, chociaż od katastrofy minęły ledwo trzy miesiące. Wszystko zarosło trawą, także owo miejsce, jakby

cień rozkrzyżowanej postaci. Trawa w tym miejscu była szczególnie bujna. Wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko mnie, bo ziemianka była wprawdzie, ale ktoś zrobił z niej śmietnik; w dole znajdowały się tylko zardzewiałe żelaziwa i puste puszki konserwowe. Twierdziłem, że pod nimi muszą być resztki pancernego szkła, które się stopiło. Grzebaliśmy się w tych śmieciach, ale szkła nie znaleźliśmy. To znaczy, trochę okruchów, nawet postapianych. Ludzie, którzy byli ze mną, uznali, że pochodzą one ze zwykłych flaszek, które ktoś stopił w piecu centralnego ogrzewania, potłukłszy je uprzednio dla zmniejszenia objętości przed wyrzuceniem do pojemnika z odpadkami. Chciałem, by przeprowadzono analizę szkła, ale nie zrobiono tego. Pozostał mi tylko jeden atut, ów młody biolog oraz profesor, obaj bowiem widzieli nasz film. Profesor był w Japonii i miał wrócić dopiero na wiosnę, a przyjaciel Maartensa przyznał, że istotnie pokazaliśmy mu taki film - że były to zdjęcia ameb głębokowodnych, a nie plazmy jądrowej. Zapewniał, że Maartens kategorycznie przeczył przy nim temu, jakoby zdjęcia mogły przedstawiać cośkolwiek innego.

I to była prawda. Maartens powiedział tak dlatego, bośmy się umówili, pragnąc zachować wszystko w tajemnicy. W ten sposób sprawa się zamknęła.

A co się stało ze słonecznym robakiem? Może wybuchnął, kiedy leżałem nieprzytomny, a może skończył swoje przelotne istnienie cicho; jedno jest tak samo prawdopodobne jak drugie. Z tym wszystkim byliby mnie chyba puścili, jako nieszkodliwego, ale okazałem się uparty. Katastrofa, która zabrała Maartensa i Ganimaldiego, zobowiązała mnie. W czasie rekonwalescencji zażądałem rozmaitych książek. Dawano mi wszystko, czego chciałem. Przestudiowałem całą literaturę solaryczną, dowiedziałem się tego, co jest wiadome o protuberancjach słonecznych i kulistych piorunach. Myśl, że ogniowy robak miał

coś pokrewnego z tym piorunem, nasunęło mi pewne podobieństwo w ich zachowaniu. Pioruny kuliste, zjawiska właściwie do dzisiaj nie wytłumaczone i zagadkowe dla fizyków, powstają w środowisku potężnych wyładowań elektrycznych, w czasie burzy. Twory te, przypominające rozjarzone kule lub perły, unoszą się swobodnie w powietrzu, czasem poddają się jego prądom, przeciągom i wiatrom, czasem żeglują pod ich prąd; przyciągają je przedmioty metalowe i fale elektromagnetyczne, zwłaszcza bardzo krótkie - ciągnie je tam, gdzie powietrze jest zjonizowane. Najchętniej krążą w pobliżu przewodów, niosących elektryczność. Usiłują jakby spać ją. To im się jednak nie udaje. Natomiast jest prawdopodobne - tak twierdzą przynajmniej niektórzy fachowcy - że „żywią się” falami decymetrowej długości poprzez kanał zjonizowanego powietrza, jaki wytworzył macierzysty piorun liniowy, który je rodzi.

Ucieczka energii jednak przewyższa te ilości, które są absorbowane przez kulę i dlatego żywot ich trwa zaledwie dziesiątki sekund. Rozświetliwszy otoczenie błękitnawożółtym blaskiem, pokąrzywszy w nim chwiejnym i błękitnym lotem, kończą nagłym wybuchem bądź rozpływają się i gasną niemal bezszelestnie. Nie są to oczywiście twory żywe; z życiem mają tyle akurat wspólnego, co owe krople chloroformu, wpuszczane do oliwy, o których opowiadał nam profesor.

Czy ogniowy robak, któregośmy stworzyli, żył? Temu, kto zada mi takie pytanie, nie po to oczywiście, by drażnić szaleńca, którym nie jestem, odpowiem uczciwie: nie wiem. Sama jednak niepewność, sama ta ignorancja kryje w sobie możliwość przewrotu naszej wiedzy, o jakiej się nikomu w majakach nie mroczyło.

Istnieje - powiadają mi - jeden tylko rodzaj życia, wegetacja białek, jaką znamy, rozdwojona na państwa roślin i zwierząt. W temperaturach, oddalonych od absolutnego zera o trzysta ledwo

drobnych kroków, powstaje ewolucja i ukoronowanie jej, człowiek. Tylko on i jemu podobni mogą się przeciwstawić panującej w całym wszechświecie tendencji wzrastania chaosu. Tak, w myśl tego twierdzenia wszystko jest chaosem i bezładem - straszliwy żar wnętrza gwiazd, ogniowe ściany rozpalających się od wzajemnego przenikania mgławic galaktycznych, kule gazowe słońce; przecież - powiadają ci trzeźwi, rozumni, a przez to raczej niewątpliwie mający ludzie - żadne urządzenie, żaden rodzaj, a choćby ślad organizacji nie może powstać w oceanach kipiącego ognia; słońca są ślepymi wulkanami, wyrzucającymi planety, te zaś, wyjątkowo i rzadko, stwarzają niekiedy człowieka - wszystko inne jest martwą zaciekłością zwyrodniałych gazów atomowych, mrowiskiem wstrząsanych protuberancjami apokaliptycznych ogni.

Uśmiecham się, słysząc ten wykład autoapologetyczny, będący wynikiem zaślepiającej megalomanii. Istnieją - powiadam - dwa poziomy Życia. Jedno, potężne i olbrzymie, opanowało cały widzialny Kosmos. To, co dla nas jest grozą i groźbą zagłady, gwiazdowy żar, gigantyczne pola potencjałów magnetycznych, potworne erupcje płomienia, jest dla tej formy życia zespołem warunków przyjaznych i sprzyjających - więcej koniecznych.

Chaos, powiadacie? Kipiel martwego żaru? Czemu więc taką nieprzeliczoną wprost mnogość zjawisk regularnych, choć niepojętych, przejawia obserwowana przez astronomów powierzchnia słońca? Czemu wiry magnetyczne takie są zadziwiająco prawidłowe? Czemu istnieją cykle rytmiczne aktywności gwiazdy tak samo, jak istnieją cykle przemiany materii każdego żywego ustroju? Człowiek zna rytm dobowy i miesięczny, ponadto na przestrzeni życia walczą w nim przeciwstawne siły wzrostu i zamierania; słońce ma cykl jedenastoletni, co ćwierć miliarda lat przeżywa „depresję”, swój

klimakter, który sprowadza ziemskie epoki lodowcowe. Człowiek rodzi się, starzeje i umiera, jak gwiazda.

Słyszycie, ale nie wierzycie. I chce się wam śmiać. Pragniecie mnie spytać, już tylko dla drwiny, czy wierzę może w świadomość gwiazdy? Czy uważam, że one myślą? I tego nie wiem. Ale zamiast beztrąsko potępiać moje szaleństwo, przypatrzcie się protuberancjom. Spróbujcie raz jeden obejrzeć film nakręcony podczas słonecznego zaćmienia, kiedy to płomienne robactwo wynurza się i na setki tysięcy, na miliony kilometrów oddala się od macierzy, aby w ewolucjach dziwnych i niepojętych, rozciągając się i kurcząc w coraz nowe formy, rozwiać się wreszcie i szczeznąć w przestrzeni lub wrócić do białozarowego oceanu, który dał im początek. Nie twierdzą, że są one palcami słońca. Równie dobrze mogłyby być jego pasożytami.

Niech i tak będzie - powiadacie - dla dobra dyskusji, aby się ta oryginalna, choć ryzykowna od przedawkowania absurdu rozmowa nie urwała przedwcześnie, chcemy jeszcze coś wiedzieć. Czemuż to nie próbujemy porozumiewać się ze słońcem? Bombardujemy je falami radiowymi. Może odpowie...? Jeżeli nie, twoja teza będzie obalona...

Ciekawym, o czym moglibyśmy rozmawiać ze słońcem. Jakie są wspólne, dla niego i dla nas, zagadnienia, pojęcia, problemy. Przypomnijcie sobie, co wykazał nasz pierwszy film. Ogniowa ameba w milionowym ułamku sekundy przekształciła się w dwa pokolenia potomne. Różnica tempa także ma pewne (pewne...) znaczenie. Porozumcie się pierwaj z bakteriami waszych ciał, z krzewami waszych ogrodów, z pszczołami i ich kwiatami, a będziemy się wtedy mogli zastanowić nad metodyką informacyjnego kontaktu ze słońcem.

Jeśli tak - powie najdobroduszniejszy ze sceptyków - wszystko okazuje się tylko... nieco oryginalnym punktem widzenia. Twoje

poglądy w niczym nie zmieniają istniejącego świata, teraz ani w przyszłości. Kwestia, czy gwiazda jest istotą, czy „żyje”, staje się sprawą umowy, zgody na przyjęcie takiego terminu i niczym więcej. Jednym słowem, opowiedziałeś nam bajkę...

Nie - odpowiadam. Mylicie się. Sądźcie bowiem, że Ziemia jest kruszyną życia w oceanie nicości. Że człowiek jest samotny i gwiazdy, mgławice, galaktyki ma za przeciwników, za wrogów. Że jedyną możliwą do zdobycia jest wiedza, jaką posiadał i jeszcze posiada on, jedyny twórca Ładu, bezustannie zagrożonego powodzią nieskończoności, promieniującej oddalonymi punktami świetlnymi. Ale tak nie jest. Hierarchia aktywnego trwania jest wszechobecna. Kto chce, może ją nazwać życiem. Na szczytach jej, na wysokościach energetycznego wzbudzenia, trwają organizmy ogniste. Przed samym kresem, tuż u absolutnego zera, w krainie ciemności i ostatniego, zastygającego tchu, życie pojawia się raz jeszcze, jako słaby odblask tamtego, jako jego blade, dogorywające przypomnienie - to my. Patrzcie tak, a nauczycie się pokory i zarazem nadziei, bo kiedyś słońce stanie się Nową i obejmie nas miłościwym ramieniem pożaru i tak powracając w wieczny kołowrót życia, stając się częstkami jego wielkości, zdobędziemy wiedzę głębszą od tej, która może być udziałem mieszkańców strefy lodowacenia. Nie wierzycie mi. Wiedziałem. Teraz zbiorę te zapisane kartki, aby je zniszczyć, ale jutro albo pojutrze znowu siądę przed pustym stołem i zacznę pisać prawdę.

STO TRZYDZIEŚCI SIEDEM SEKUND.

Panowie, wskutek braku czasu i nie sprzyjających okoliczności większość ludzi schodzi z tego świata, nie zastanowiwszy się nad nim. Z kolei tacy. co próbują to robić, doznają zawrotu głowy i zajmują się czymś innym. Ja do nich należę. W miarę tego, jak robiłem karierę, ilość miejsca, poświęcanego mojej osobie we Who's Who rosła z latami, lecz ani w wydaniu ostatnim, ani w następnych nie będzie powiedziane, czemu porzuciłem dziennikarstwo. To właśnie będzie tematem mojej historii, której zresztą w innych okolicznościach na pewno bym nie opowiedział.

Znałem zdolnego chłopca, który postanowił zbudować czuły galwanometr, i udało mu się to zbyt dobrze. Przyrząd poruszał się nawet, kiedy nie było prądu, bo reagował na drgania skorupy ziemi. Anegdota ta może być mottem mojej opowieści. Byłem wtedy nocnym redaktorem zagranicznego serwisu UPI. Przetrzymałem tam wiele, między innymi automatyzację redagowania gazet. Rozstałem się z żywymi metrampażami. żeby pracować z komputerem IBM 0161, specjalnie przystosowanym do roboty redakcyjnej. Prawdziwie żałuję, że nie urodziłem się ze sto pięćdziesiąt lat temu. Historia moja zaczynałaby się od słów „uwiodłem hrabinę de...”, a gdybym przeszedł do tego, jak, wyrwawszy woźnicy lejce z rąk, jałem okładać konie, by ująć pogoni zbirów, nasadzonych przez zazdrosnego męża, nie musiałbym wam tłumaczyć ani co to jest hrabina, ani na czym polega uwiedzenie. Dziś nie ma tak dobrze. Komputer 0131 nie jest mechanicznym metrampażem. Jest to demon szybkości, powściągany sztuczkami inżynierów po to, żeby człowiek mógł mu dotrzymać kroku. Komputer ten zastępuje dziesięciu do dwunastu ludzi. Jest bezpośrednio połączony z setką dokumentów, tak że to, co nasi korespondenci wystukują w Ankarze, w Bagdadzie, w Tokio, w tej samej chwili dostaje się do

jego obwodów. Porządkuje to i ciska na ekran kolejne projekty stronic wydania porannego. Między północą a trzecią nad ranem - godziną zamknięcia numeru - może sporządzić i pięćdziesiąt rozmaitych wariantów wydania. Do dyżurnego redaktora należy decyzja, który wariant pójdzie na maszyny. Metrampaż, który by miał wykonać nie pięćdziesiąt, ale pięć projektów łamania numeru, zwariowałaby. Komputer pracuje milion razy szybciej niż każdy z nas. to znaczy, mógłby tak pracować, gdyby mu tylko pozwolono. Zdaję sobie sprawę z tego. jak wiele uroku mojej historii niszcę takimi uwagami. Ile zostałoby z uroków hrabiny, gdybym, zamiast unosić się nad alabastrową karnacją jej piersi, mówił o ich składzie chemicznym? Żyjemy w czasach fatalnych dla gawędziarzy, bo to, co opowiadają przystępnie, jest anachroniczną starością, a to, co mówią rewelacyjnie, wymaga całych stron encyklopedii i podręcznika uniwersyteckiego. Ale na to przekleństwo nikt nie wynalazł lekarstwa. A jednak współpraca z moim IBM była fascynująca. Gdy przybywa nowa wiadomość - dzieje się to w okrągłym wielkim pokoju, pełnym bezustannego stukania dalekopisów - komputer od razu włamuje ją próbnie w makietę stronicy. Oczywiście tylko na ekranie. Wszystko jest grą elektronów, światłem i cieniem. Niektórzy żałują ludzi na tych straconych stanowiskach. Ja ich tam nie żałowałem. Komputer nie ma ambicji, nie denerwuje się, jeżeli pięć przed trzecią brak ostatniego doniesienia, nie ma domowych zmartwień, nie pożyczka przed pierwszym, nie męczy się i nie daje też do zrozumienia, że wszystko wie lepiej, a zwłaszcza nie obraża się, kiedy to, co włamał do czołówki, każe mu się wyrzucić nonparelem na ostatnią stronę. Zarazem jest niesłychanie wymagający: nie od razu można się w tym rozeznać. Gdy mu się powie „nie”, jest to „nie” ostateczne, bezapelacyjne, jak wyrok tyrana: przecież nie może się sprzeciwić! Ale ponieważ nigdy się nie myli, błędy wydania porannego mają tylko jednego autora: jest nim zawsze

człowiek. Konstruktorzy IBM pomyśleli absolutnie o wszystkim, z wyjątkiem tego drobiazgu, że bez względu na to, jak są wyważone i osadzone, dalekopisy zawsze drżą. podobnie jak bardzo szybka maszyna do pisania. Wskutek tych drgań kable, łącząco dalekopisy redakcyjne z komputerem, mają tendencję obluźowywania się, a wreszcie wtyczki wypadają z gniazdek. Dzieje się to rzadko, ot, raz czy dwa na miesiąc. Fatyga, bo trzeba wstać i wetknąć wtyczkę z powrotem, jest w końcu tak mała, że nikt nie pokwapił się z żądaniem zmiany kontaktów. Każdy z nas, dyżurnych, myślał o tym, ale bez większego przekonania. Być może, teraz już zostały zmienione. Jeśli tak się stało, odkrycie, o którym wam opowiem, nie będzie powtórzone.

Było to w wilię Bożego Narodzenia. Miałem numer gotowy tuż przed trzecią - lubiłem wyrobić sobie taką choć kilkuminutową rezerwę czasu, ot, żeby odsapnąć i zapalić fajkę. Miałem przyjemne uczucie, że to nie na mnie czeka rotacja, ale na ostatnie doniesienie - w ową Wilię szło o wiadomości z Iranu, gdzie rankiem było trzęsienie ziemi. Agencje podały tylko fragment depeszy korespondenta, bo po pierwszym wstrząsie przyszedł następny, tak silny, że zniszczył łączność kablową. Ponieważ i radio milczało, sądziliśmy, że radiostacja jest w gruzach. Liczyliśmy na naszego człowieka, był nim Stan Rogers, mały jak dżokej, i korzystał z tego nieraz, żeby dostać się na pokład jakiegoś helikoptera wojskowego, kiedy nie było już miejsca, robiono dla niego wyjątek, bo ważył nie więcej niż walizka. Ekran wypełniała makieta strony tytułowej z ostatnim pustym białym prostokątem. Połączenia z Iranem wciąż były przerwane. Wprawdzie kilka dalekopisów jeszcze młóciło, ale odgłos, z jakim włączył się turecki, od razu rozpoznałem. Jest to kwestia wprawy, której nabywa się automatycznie. Zdziwiło mnie, że biały prostokąt pozostawał pusty, chociaż słowa winny były się ukazać na nim w tym samym tempie, w jakim wybijał je dalekopis, ale ta

pauza nie trwała dłużej niż sekundę czy dwie. Potem cały tekst doniesienia, zresztą bardzo zwięzłego, zmateriałizował się od razu, co też mnie zaskoczyło. Znam go na pamięć. Nagłówek był już gotowy; pod nim szły zdania: „*W Sherabadzie powtórzyły się dwukrotnie wstrząsy podziemne o sile siedmiu i ośmiu stopni między dziesiątą a jedenastą czasu miejscowego. Miasto legło w gruzach. Liczbę ofiar ocenia się na tysiąc, bezdomnych zaś na sześć tysięcy*”.

Rozległ się brzęczyk, którym alarmowała mnie drukarnia: minęła właśnie trzecia. Ponieważ tak lakoniczny tekst pozostawiał nieco wolnego miejsca, rozwodniłem go dwoma dodatkowymi zdaniami i nacisnąwszy klawisz, straciłem gotowy numer do drukarni, gdzie, przekazany wprost linotypom, składał się, żeby pójść na rotację.

Nie miałem już nic do roboty, wstałem więc, wyprostowałem kości i zapalając fajkę, która zgasła, dostrzegłem leżący na podłodze kabel. Wypadł z kontaktu. Należał do dalekopisu z Ankary. A właśnie z tego dalekopisu skorzystał Rogers. Gdy go podnosiłem, przemknęła mi przez głowę bezsensowna myśl, że leżał już tak, zanim odezwał się dalekopis. Oczywiście było to absurdalne, bo jakże komputer mógłby bez połączenia z dalekopisem podać tę wiadomość? Powoli podszedłem do dalekopisu, urwałem papier z wystukany komunikatem i podniosłem go do oczu. Od razu wydał mi się trochę odmiennie sformułowany, ale odczuwałem zmęczenie, byłem rozbity, jak zwykle o tej porze i nie dowierzałem pamięci. Włączyłem jeszcze raz komputer, żądając ukazania czołowej stronicy i porównałem oba teksty. Rzeczywiście różniły się między sobą, jakkolwiek nieznacznie. Dalekopisowy brzmiał: „*Między godziną dziesiątą i jedenastą czasu lokalnego doszło do dwóch następnych wstrząsów w Sherabadzie o sile siódmego i ósmego stopnia. Miasto jest*

całkowicie zburzone. Liczba ofiar przekracza pięćset, a pozbawionych dachu nad głową - sześć tysięcy”.

Stałem, gapiąc się raz na ekran, a raz na papier. Nie wiedziałem, co myśleć ani co robić. Sensami oba teksty pokrywały się prawie doskonale, jedyną rzeczową różnicą była liczba ofiar śmiertelnych, bo Ankara podała ich pięćset, a komputer ją zdublował. Zachowałem w każdym razie zwykły refleks dziennikarza i połączyłem się od razu z drukarnią.

- Słuchaj - powiedziałem do Langhorne’a, on był wtedy dyżurnym linotypistą - złapałem błąd w komunikacie irańskim, pierwsza strona, trzecia szpalta, ostatni wiersz, ma być: nie - tysiąc - -

Urwałem, ponieważ dalekopis turecki obudził się i zaczął wystukiwać: „*Uwaga. Ostatnie doniesienie. Uwaga. liczbę ofiar trzęsienia oceniają teraz na tysiąc. Rogers. Koniec*”.

- No. co tam? Więc jak ma być? - wołał z dołu Langhorne.

Westchnąłem.

- Przepraszam cię, chłopie - powiedziałem - nie ma żadnego błędu. Moja wina. Wszystko w porządku. Ma iść tak, jak jest.

Odłożyłem szybko słuchawkę, podszedłem do dalekopisu i przeczytałem ten dodatek ze sześć razy. Za każdym coraz mniej mi się to podobało. Miałem wrażenie, bo ja wiem, jakby podłoga miękla mi pod stopami. Obszedłem dookoła komputer, przyglądając mu się z nieufnością, w której było niechybnie trochę strachu. Jak on to zrobił? Nie rozumiałem nic i czułem, że im dłużej będę się nad tym zastanawiał, tym mniej będę pojmował.

W domu, w łóżku, nie mogłem zasnąć. Usiłowałem, przede wszystkim ze względów higieny psychicznej, zakazać sobie myślenia o tej dzikiej historii. Pod względem rzeczowym był to w końcu drobiazg. Wiedziałem, że nie mogę o tym nikomu

powiedzieć: nikt by mi nie uwierzył. Wzięto by to za kawał, do tego naiwny i lichy. Dopiero kiedy, poprzewracawszy się w łóżku, postanowiłem wziąć rzeczy pod lupę, to znaczy zająć się systematycznie badaniem reakcji komputera na odłączanie dalekopisów, poczułem coś w rodzaju ulgi, przynajmniej na tyle, że udało mi się zasnąć.

Zbudziłem się w dość optymistycznym nastroju i diabli wiedzą, skąd przyniosłem na jawę rozwiązanie zagadki, a przynajmniej coś, co mogło uchodzić za rozwiązanie.

Pracując, dalekopisy drżą. Od ich dygotu wypadają wszak nawet wtyczki z gniazdek kablowych. Czy nie może to być źródłem zastępczej sygnalizacji? Nawet ja, z moimi nędznymi i powolnymi zmysłami człowieka, potrafiłem ułoić różnice dźwięku poszczególnych dalekopisów. Paryski poznawałem, gdy ruszał, po tym, że miał tak wyraźne metaliczne uderzenia. Jeśli więc odbiornik będzie setki razy czulszy, chwyci nawet te znikome różnice, jakie zachodzą pomiędzy uderzeniami poszczególnych literowych klawiszy. Zapewne, nie jest to możliwe w stu procentach, i właśnie dlatego komputer nie powtórzył dalekopisowego tekstu słowo w słowo, lecz trochę go przeinaczył stylistycznie: po prostu pouzupełniał sam to, czego zabrakło mu jako informacji. Co do liczby ofiar, był wszak z pochodzenia matematyczną maszyną: pomiędzy ilością zburzonych domów, porą dnia, w której występuje trzęsienie, i liczbą ofiar śmiertelnych muszą istnieć korelacje statystyczne: przepuściwszy cyfrę, komputer, być może, posłużył się swymi umiejętnościami wykonywania błyskawicznych rachunków, z nich wzięło mu się owych tysiąc ofiar. Nasz korespondent, który nie przeprowadzał żadnych obliczeń, przekazał liczbę szacunkową, jaką mu podano na miejscu, a niedługo potem, uzyskawszy dokładniejszą informację, posłał to końcowe sprostowanie. Komputer okazał się górą dlatego, ponieważ nie

opierał się na pogłoskach, lecz na ścisłym materiale statystycznym, którego moc tkwiła w jego ferrytowej pamięci. Rozumowanie to uspokoiło mnie całkowicie.

IBM 0161 nie jest przecież biernym przekąźnikiem; jeśli obsługujący dalekopis zrobi błąd ortograficzny czy gramatyczny, błąd ten pojawia się na ekranie, aby w ułamku sekundy zostać zastąpionym przez właściwą formę wyrażenia. Czasem zachodzi to tak szybko, że człowiek nie potrafi go dostrzec i przekonuje się o wprowadzonej poprawce dopiero później, kiedy porówna tekst wystukany z tym, który komputer podał na ekranie. IBM nie jest nawet samym tylko automatycznym metrapażem, ponieważ ma połączenia z siecią komputerową, zarówno agencji jak bibliotek. . można od niego zażądać danych, którymi natychmiast wzbogaca się zbyt chude komunikaty. Jednym słowem wytłumaczyłem sobie wszystko bardzo dobrze, jakkolwiek nadal zamierzałem zrobić parę małych dalszych doświadczeń na własną rękę podczas najbliższego dyżuru, lecz nie mówić o nich nikomu ani o tej historii z wigilijnej nocy. bo tak było rozsądniej.

Okazji mi nie brakowało. Już dwa dni potem znów siedziałem w sali zagranicznego serwisu i gdy Bejrut rozpoczął przekazywanie wiadomości o zaginięciu łodzi podwodnej szóstej floty na Morzu Śródziemnym, wstałem i nie spuszczać z oczu ekranu, na którym pojawiały się w szybkim tempie słowa tekstu, płynnym, ukradkowym ruchem wyjąłem wtyczkę z gniazdka. Przez część sekundy tekst nie rozrastał się. lecz trwał urwany w półślowie, zupełnie, jakby komputer, zaskoczony, nie wiedział, co począć. Lecz to porażenie trwało doprawdy moment; niemal natychmiast następne wyrazy poczęły wyskakiwać na białym tle, ja zaś gorączkowo porównywałem je z tekstem, wybijanym przez dalekopis. Powtórzyła się znana mi już rzecz - komputer podawał dalekopisowy komunikat, tyle że trochę odmiennymi słowami: „rzecznik szóstej floty oświadczył” - zamiast „powiedział”.

„poszukiwania trwają”, zamiast „są w toku”; jeszcze kilka podobnych drobiazgów odróżniało oba teksty.

Szczególne z jaką łatwością człowiek przywyka do niezwykłego, jeśli tylko chwyci jego mechanizm - albo jeśli mu się chociaż wydaje, że go uchwycił. Miałem już wrażenie, że bawię się komputerem jak kot myszą, że go nabieram, że panuję w pełni nad sytuacją. Makieta numeru świeciła jeszcze licznymi łysinami i teksty, które miały je wypełnić, przychodziły teraz, w informacyjnym szczycie, po kilka naraz. Wyszukiwałem po kolei właściwe kable z ich pęków i wyjmowałem wtyczki jedną po drugiej, aż zostałem z sześcioma czy siedmioma w garści. Komputer pracował najspokojniej w świecie dalej, choć nie był już połączony z żadnym dalekopisem. Ani chybi, powiedziałem sobie, rozróżnia po drganiach wystukiwane litery i słowa, a czego nie odtworzy od razu, tego się dopracuje błyskawiczną ekstrapolacją czy innym ze swych matematycznych sposobów. Działalem jak w transie; skupiony, oczekiwałem ocknięcia się kolejnego dalekopisu - a gdy zagrał rzymski, pociągnąłem za kabel, ale tak mocno, że gdy wtyczka została mi w ręce, jednocześnie wypadła i druga, ta, poprzez którą zasilany jest sam dalekopis, więc naturalnie zamarł. Już ruszyłem, żeby wetknąć ją do kontaktu, gdy coś mnie tknęło i rzuciłem okiem na ekran.

Dalekopis rzymski był martwy, lecz komputer w najlepsze wypełniał miejsce przeznaczone dla włoskiego kryzysu rządowego „ostatnim doniesieniem”. Z zapartym tchem, czując, że znów dziwne rzeczy robią się z podłogą i moimi kolanami, podszedłem do ekranu i niewinne słowa: „powołał na premiera Battistę Castellaniego”... czytałem jak depeszę z tamtego świata. Czym prędzej połączyłem dalekopis rzymski z głównym kablem dosyłowym, aby czytać oba teksty. O, teraz już różnice między nimi były znacznie większe, lecz komputer nie odchylił się od prawdy, to jest od treści komunikatu. Premierem rzeczywiście

został Castellani, ale zdanie to występowało w innym kontekście i o cztery wiersze niżej niż na ekranie. Wrażenie odniosłem takie, jak gdyby dwóch dziennikarzy, dowiedziawszy się, niezależnie od siebie, tego samego, swobodnie zredagowało, każdy po swojemu, tekst notatki; z miękkimi kolanami usiadłam, żeby ostatni raz podratować moją hipotezę, ale czułem już, że będzie to daremna próba. Cała moja racjonalizacja zawaliła się w jednej chwili; bo i jakże mógł komputer odczytywać drgnienia dalekopisu, który był głuchy i martwy jak pień? A przecież nie był w stanie wychwycić drgnień tego dalekopisu, na którym w Rzymie pracował nasz korespondent! Poczulem zawrót głowy. Gdyby ktoś wszedł, wzbudziłbym podejrzenia Bóg wie jakie - spocony, ze skaczącym wzrokiem, z garścią kabli, które jeszcze ścisakałem w spoconych rękach, jak zbrodniarz, pochwycony na gorącym uczynku. Czułem się jak szczur, przyparty w kącie, i zareagowałem jak zrozpaczony szczur - bo zacząłem gwałtownie odłączać wszystkie dalekopisy, tak że po chwili stukot ostatniego zamarł - i zostałem w śmiertelnej ciszy z moim komputerem. Wtedy stała się dziwna rzecz: może jeszcze bardziej zdumiewająca niż to, co zaszło dotąd. Chociaż makieta numeru nie była jeszcze wypełniona, przyrastanie tekstów wyraźnie osłabło. Co więcej, w nowym, spowolnionym tempie pojawiały się zdania, wyzbyte ścisłej treści, jałowe, jednym słowem tak zwana wata. Przez dobrą chwilę sznureczki wierszy pełzały jeszcze w ekranie na swoje miejsca, aż znieruchomiały - wszystkie. Kilka tekstów nabrało absurdalnie komicznego charakteru, była tam notatka o meczu piłkarskim, w której zamiast ostatecznego wyniku figurował pusty frazes o dzielnej postawie graczy obu drużyn. Kolejne wiadomości z Iranu załamywały się stwierdzeniem, że trzęsienia ziemi są zjawiskami skali kosmicznej, bo występują nawet na Księżycu. Brzmiało to ni w pięć, ni w dziesięć. Tajemnicze źródła, z których komputer czerpał dotąd ścisłe natchnienie, wyschły.

Moim pierwszym zadaniem było, oczywiście, złamać numer, więc podłączyłem w największym pośpiechu dalekopisy i o tym, co się rozegrało przede mną, mogłem porozmyślać dopiero po trzeciej, kiedy maszyna rotacyjna ruszyła. Wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zejdem do korzeni tego fascynującego pokazu sprawności, z nie mniej zaskakującym jej załamaniem. Laikowi nasuwa się jako pierwsza myśl, że należałoby po prostu zadać odpowiednie pytania samemu komputerowi: skoro taki mądry, a zarazem taki bezwzględnie posłuszny, niechże wyjawi, w jaki sposób, dzięki jakim mechanizmom pracował, odłączony, a także, co tę pracę potem zahamowało. Myśl tę zasadziły nam w głowach popularne bajania o elektrycznych mózgach, bo z komputerem nie można rozmawiać jak z człowiekiem, wszystko jedno, mądrym czy głupim: przecież on w ogóle nie jest osobą! Z równym skutkiem można by się spodziewać, że maszyna do pisania powie nam, gdy zepsuta, gdzie i jak ją naprawić. Komputer przetwarza informację, do której nie ma żadnego sensownego stosunku. Zdania, które wypluwa, są jak pociągi, jadące po szynach składni. Jeżeli się wykoleją, oznacza to, że coś działa w nim niewłaściwie, ale on nic o tym nie wie, dla wystarczającej przyczyny, że „on” można mówić o komputerze tylko jak o lampie czy stołku. Nasz IBM umiał samodzielnie formułować i przeformułowywać teksty stereotypowych komunikatów prasowych, nic więcej. O tym, jaką wagę mają poszczególne teksty, zawsze musi decydować człowiek. IBM potrafił skomplikować dwie uzupełniające się informacyjnie notatki w jedną albo dobrać frazeologiczny wstęp do doniesienia czysto rzeczowego, na przykład do depeszy, dzięki gotowym wzorcom takich postępowań, których miał utrwalone setki tysięcy. Ten wstęp odpowiadał treści depeszy tylko dzięki temu, że IBM dokonywał jej analizy statystycznej, wychwytyjąc tak zwane kluczowe słowa; jeśli więc w depeszy powtarzały się

terminy „bramka”, „karny”, „drużyna przeciwnika”, dobierał coś z repertuaru sportowych zawodów; komputer jest, jednym słowem, jak kolejarz, który potrafi we właściwy sposób przedstawiać zwrotnice, łączyć wagony i wysyłać pociągi we właściwym kierunku, jakkolwiek nie zna ich zawartości. Orientuje się w cechach słów, zdań, fraz, czysto zewnętrznych, tych, co są podległe matematycznym operacjom rozbiórki i składania. Nie mogłem się więc spodziewać po nim żadnej pomocy.

Tę noc spędziłem w domu bezsennie na rozmyślaniach. W produkcji komputera dostrzegalem taką prawidłowość: im dłużej był odłączony od źródeł informacji, tym gorzej ją rekonstruował. To mi się wydawało nawet dosyć zrozumiałe, jeśli zważyć, że pracuję w dziennikarstwie od dwudziestu paru lat. Jak wiecie, redakcje takich dwóch wysokonakładowych tygodników jak „Time” i „Newsweek” są od siebie zupełnie niezależne. Łączy je, przy redagowaniu poszczególnych numerów, to tylko, że znajdują się w tym samym świecie i w analogicznym czasie dysponują bardzo zbliżonymi źródłami informacji. Ponadto zwracają się do wielce upodobnionych czytelników. Toteż wcale nie jest zaskakujące podobieństwo mnóstwa zawartych w nich artykułów. Wynika ono ze swoistej doskonałości przystosowania do rynku, jaką osiągnęły oba te rywalizujące z sobą zespoły. Umiejętności pisania przeglądów wydarzeń w jednym kraju albo w skali jednego tygodnia na całym globie można się nauczyć, a jeśli się pisze z podobnych pozycji - mianowicie elity dziennikarskiej Stanów Zjednoczonych - dysponuje się podobnym wykształceniem, analogiczną informacją, i operuje się nią, celując w uzyskanie optymalnego efektu u czytelnika - to nic dziwnego, że teksty, układane niezależnie i równolegle, przypominają nieraz bliźniacze pary. Podobieństwa nie sięgają nigdy aż pojedynczych zdań, lecz nastawienie, ton, intensywność afektacji, rozłożenie akcentów, uwypuklenie pewnych szczegółów drastycznych,

przeciwstawianie kontrapunktowe rysów - np. w sylwetce jakiegoś polityka - czyli to wszystko, co służy przykuwaniu uwagi czytelnika i sugerowaniu mu. iż znajduje się u źródła najświetniejszej informacji, stanowi ryzsztunek chwytów każdego biegłego dziennikarza. W pewnym sensie nasz IBM był sam „makieta” takiego właśnie reportera. Znał sposoby i chwyt, umiał więc to. co każdy z nas. Dzięki rutynie, którą weń wprogramowano, został geniuszem chwytliwej frazeologii, szokującego zestawienia danych, ich najkorzystniejszego wyeksponowania; o wszystkim tym wiedziałem, ale wiedziałem też. że jego koncert nie daje się sprowadzić do takich wyjaśnień. Dlaczego, odłączony od dalekopisów, był tak sprawny? Dlaczego ta sprawność tak szybko go opuszczała? Dlaczego zaczynał potem bredzić? Jeszcze mi się roilo, że potrafię sam znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Przed następnym dyżurem zatelefonowałem do naszego korespondenta w Rio de Janeiro, prosząc go. aby na początku nocnego serwisu przysłał nam króciutką fałszywą wiadomość o wyniku pięściarskiego spotkania Argentyny i Brazylii. Miał podać wszystkie zwycięstwa Brazylijczyków jako argentyńskie i na odwrót. W czasie naszej rozmowy wyniki spotkania nie mogły być znane; mecz rozpoczynał się późnym wieczorem. Dlaczego zwróciłem się właśnie do Rio? Ponieważ prosiłem o przysługę z zawodowego punktu widzenia niesłychaną, a Sam Gernsback, który był tam naszym korespondentem - to mój przyjaciel, z owego rzadkiego, najcenniejszego gatunku nie pytających o nic.

To. czego doświadczyłem dotąd, pozwalało przypuszczać, że komputer powtórzy fałszywy komunikat: ten, który Sam wystuka na swoim dalekopisie (nie będę skrywał, że miałem już na ów temat hipotezę; wyobrażałem sobie mianowicie, że dalekopis staje się jakby nadajnikiem radiowym, a jego kable pełnią funkcję anteny; mój komputer, tak myślałem, potrafi wychwycić fale

elektromagnetyczne, tworzące się wokół kabli, pograżonych w ziemi, ponieważ jest widać dostatecznie czułym odbiornikiem).

Natychmiast po wysłaniu fałszywej wiadomości miał ją Gernsback sprostować; pierwszą oczywiście zniszczyłbym, aby po niej i śladu nie zostało. Plan, który wymyśliłem, zdawał mi się niezwykle wyrafinowany. Żeby zaś doświadczenie nabrało charakteru krzyżowego, postanowiłem do przerwy w meczu utrzymać normalne połączenie dalekopisu z komputerem, a po przerwie dalekopis odłączyć. Nie będę się bawił w opisywanie moich przygotowań, emocji, atmosfery tej nocy, a tylko powiem wam, co zaszło. Komputer podał, to jest, włamał w makietę numeru wyniki spotkania fałszywie do przerwy, i zgodnie z prawdą - po niej. Czy rozumiecie, co to znaczyło? Dopóki był zdany na dalekopis, w ogóle niczego nie rekonstruował ani „nie kombinował” - powtarzał po prostu litera w literę to, co było kablowane z Rio. Odłączony, przestał zważać na dalekopis, a zarazem i na kable, które miały w myśl moich przypuszczeń pełnić rolę anteny radiowej - podał po prostu rzeczywiste wyniki spotkania! To, co w tym czasie wystukiwał Gernsback, nie miało dla mego IBM najmniejszego znaczenia. Ale to nie wszystko. Podał właściwie rezultaty wszystkich spotkań - pomylił się za to przy ostatnim - w wadze najcięższej. Jedno okazało się pewne niezbiecie: w momencie odłączenia przestawał być w ogóle zależny od dalekopisu, tego u mnie i tego w Rio. Uzyskiwał wiadomości jakąś zupełnie inną drogą.

Kiedy spotniały, z wygasłą fajką, nie mogłem jeszcze przetrwać tego, co widziałem, brazylijski dalekopis oderwał się: Sam podał właściwe wyniki, jak było umówione, i w końcowym doniesieniu wprowadził do listy poprawkę: rezultat walki w wadze ciężkiej odmienił się po ostatecznym werdykcie sędziów, którzy uznali, że waga rękawic Argentyńczyka - zwycięzcy na ringu - była nieprzepisowa.

Tak więc komputer nie pomylił się ani raz. Potrzebna mi była jeszcze jedna wiadomość, którą zdobyłem po zamknięciu numeru, telefonując do Sama; już spał u siebie i zbudzony kłął jak szewc; łatwo mogłem go zrozumieć, bo pytania, jakimi go zasypałem, wyglądały na błahe, a właściwie na idiotyczne po prostu: o której godzinie ogłoszono wynik walki w wadze ciężkiej i w jaki czas potem sędziowie zmienili werdykt? Sam powiedział mi wreszcie jedno i drugie. Walkę unieważniono prawie natychmiast, przy obwieszczeniu zwycięstwa Argentyńczyka, ponieważ sędzia, podnosząc jego rękę, jako zwycięzcy, wyczuł przez skórę rękawicy ciężarek, poprzednio ukryty pod warstwą plastyku, który obluzował się i przesunął podczas walki. Sam wybiegł do telefonu przed ową sceną, w chwili gdy wyliczony Brazylijczyk został na deskach, bo chciał jak najprędzej przekazać wiadomość. A zatem komputer nie zawdzięczał swojej wiedzy odczytaniu myśli Sama, bo podał prawdziwy wynik walki, kiedy Sam go jeszcze nie znał.

Bez mała pół roku robiłem że nocne eksperymenty i dowiedziałem się niejednego, choć nadal nic nie rozumiałem. Odłączony od dalekopisu, komputer najpierw zastygał na dwie sekundy, potem podawał dalszy ciąg komunikatu - przez sto trzydzieści siedem sekund. Do tego momentu wiedział o zdarzeniu wszystko, a potem już nic. Być może jeszcze bym to jakoś strawił, ale odkryłem rzecz gorszą. Komputer przewidywał przyszłość, i to nieomylnie. Nie miało dlań żadnego znaczenia to, czy podawana informacja dotyczy zdarzeń, które już zaszły, czy takich, które dopiero nastąpią - byle mieściły się w granicach dwóch minut i siedemnastu sekund. Jeżeli wystukiwałem mu na dalekopisie informację wymyśloną, powtarzał ją posłusznie, a po wyjęciu kabla od razu milkł; umiał więc kontynuować opisywanie tego tylko, co gdzieś naprawdę zachodziło, a nie tego, co ktoś sobie pomyślał. Taki przynajmniej wyciągnąłem wniosek i wpisałem go do notatnika, z którym się nie rozstawałem. Powoli

przywykłem do jego zachowania i sam nie wiem. kiedy zaczęło mi się ono kojarzyć z zachowaniem psa. Jak psa należało go najpierw wprowadzić na konkretny trop, dać mu niejako do porządnego obwąchania początek serii zajęć, niby śladów, tak jak pies, potrzebował chwili czasu, żeby sobie utrwalić dane, a gdy dostał ich zbyt mało, milkł albo wykręcał się ogólnikami, czy wreszcie wchodził na trop fałszywy. Mylił z sobą na przykład różne miejscowości o tej samej nazwie, jeśli nie określiłem jednej w sposób całkowicie jednoznaczny. Jak psu, było mu zupełnie wszystko jedno, jakim pójdzie tropem, ale gdy już się na nim znalazł, był niezawodny - w ciągu stu trzydziestu siedmiu sekund.

Nasze nocne sesje, odbywające się zawsze między trzecią i czwartą nad ranem, nabrały charakteru śledczych przesłuchań. Usiłowałem przypierać go do muru, wynaleźć taktykę krzyżowych pytań, a raczej wykluczających się alternatyw, aż wpadłem na pomysł, który, przy swej prostocie, wydał mi się rewelacyjny. Jak pamiętacie, Rogers doniósł o trzęsieniu ziemi w Sherabadzie z Ankary, więc nadawca komunikatu nie musiał tkwić dokładnie tam, gdzie działo się opisywane; dopóki jednak szło o wypadki ziemskie, nie można było wykluczyć tego, że ktoś, człowiek, czy zwierzę chociażby, jest ich obserwatorem, i że komputer potrafi jakoś z tego skorzystać. Postanowiłem sfignować początek komunikatu dotyczącego miejsca, w którym nie ma i nigdy nie było żadnego człowieka, bo szło o Marsa. Podałem mu więc współrzędne areograficzne samego środka Syrtis Minor i doszedłszy do słów „obecnie na Syrtis Minor panuje dzień; obserwując otoczenie, widzimy” - targnąłem za kabel, wrywając go z gniazdka. Po sekundowej pauzie komputer dokończył „planetę w promieniach słońca” - i to było wszystko. Przeformułowałem ten początek z dziesięć razy na różną modłę, ale nie wycisnąłem z niego ani jednego wyraźnego szczegółu, wciąż rozplątywał się w ogólnikach. Uznałem, że jego

wszechwiedza nie sięga planet, a chociaż sam nie wiem dobrze czemu, zrobiło mi się od tego jakby nieco lżej.

Co miałem robić dalej? Mogłem oczywiście wystrzelić sensacją pierwszej wody, zdobywając rozgłos i niezły grosz; ani przez chwilę nie brałem tej ewentualności poważnie. Czemu? Sam nie wiem dobrze. Może dlatego, że rozgłos, nadany zagadce, najpierw mnie by wytrącił z jej kręgu; mogłem sobie wyobrazić tłumy techników, które wtargnęłyby do nas, ekspertów, porozumiewających się swoim zawodowym żargonem: bez względu na to, do czego by doszli, zostałbym natychmiast wyeliminowany ze sprawy jako mąciwoda i laik. Mógłbym już tylko opisywać przeżyte wrażenia, udzielać wywiadów i inkasować czeki. Otóż na tym akurat najmniej mi zależało. Gotów byłem podzielić się z kimś tajemnicą, ale nie zrezygnować z niej zupełnie. Postanowiłem więc przyciągnąć do współpracy dobrego fachowca, któremu mógłbym stuprocentowo zaufać. Znałem bliżej tylko jednego, Milтона Harta z MIT-u. Jest to gość z charakterem, oryginalny, i właściwie anachroniczny, bo kiepsko mu się pracuje w wielkim zespole, a dziś uczony samotnik jest wymierającym mastodontem. Z wykształcenia był Hart fizykiem, a z zawodu informatykiem-programistą: to mi odpowiadało. Co prawda stykaliśmy się dotąd na osobliwym terenie, bo obaj graliśmy w mah-jonga, a nasze pozostałe kontakty były nikłe, ale podczas takiej gry właśnie można się dowiedzieć niejednego o człowieku. Jego ekscentryczność przejawiała się w tym, że wypowiadał ni stąd, ni zowąd w głos różne dziwaczne myśli, pamiętam, jak raz spytał mnie, czy nie jest możliwe, że Bóg stworzył świat niechcący. Nigdy nie można się było zorientować, kiedy mówi coś serio, a kiedy żartuje, czy zwyczajnie pokpiwa z rozmówcy. Otwartą głowę miał na pewno; zapowiedziawszy się więc telefonicznie, pojechałem do niego w najbliższą niedzielę i jak na to liczyłem, przystał na mój

konspiracyjny plan. Nie wiem, czy uwierzył mi od razu, Hart nie należy do ludzi wylewnych, w każdym razie sprawdził wszystko, co mu opowiedziałem, i jako pierwszą rzecz zrobił potem to, co mi w ogóle do głowy nie przyszło. Odłączył mianowicie nasz komputer od federalnej sieci informatycznej. Natychmiast nadzwyczajne talenty mego IBM znikły, jak ręką odjął. Tajemnicza moc nie tkwiła więc w komputerze, lecz w sieci. Jak wiecie, obecnie liczy ona ponad czterdzieści tysięcy ośrodków obliczeniowych, i jak może nie wiecie (ja o tym nie wiedziałem, dopóki mi Hart nie powiedział), ma hierarchiczną budowę, przypominającą trochę układ nerwowy kręgowca. Sieć ma węzły stanowe, a pamięć każdego z nich zawiera więcej faktów, niż mają ich wszyscy uczeni razem wzięci. Każdy abonent opłaca składkę, podług czasu pracy komputerowej, wykorzystanej w ciągu miesiąca, z jakimiś mnożnikami i współczynnikami, bo jeśli problem, który ma abonent, jest zbyt trudny dla najbliższego komputera, dystrybutor włącza mu automatycznie posiłki, brane z rezerwy federalnej, to znaczy z komputerów idących luzem albo niedociążonych. Tym dystrybutorem, rozumie się, też jest komputer. Dbą on o równomierne rozłożenie informacyjnego obciążenia całej sieci oraz pilnuje tak zwanych banków pamięci zastrzeżonej, czyli danych niedostępnych, objętych tajemnicą państwową, militarną i tak dalej. Mina mi się wydłużyła, kiedy Hart mi to mówił, bo choć niby wiedziałem, że istnieje sieć i że UPI jest jej abonentem, myślałem o tym akurat tyle, ile rozmawiając przez telefon myśli się o urządzeniach centrali telefonicznej. Hart, któremu nie brak złośliwości, zauważył, że wolałem sobie wyobrazić moje nocne tête-à-tête z komputerem jako romantyczne schadзки w oderwaniu od reszty świata, bo było to bardziej w stylu niesamowitych opowieści, aniżeli trzeźwa refleksja, że tkwię w gromadzie abonentów, którzy między trzecią a czwartą nad ranem zwykle śpią, przez co sieć jest wtedy

najmniej obciążona i właśnie dzięki temu mój IBM mógł korzystać z jej potencjału tak, jak nigdy by nie mógł w porannym szczycie. Hart sprawdził rachunki, które UPI płaciła jako abonentka, i okazało się, że parę razy mój IBM korzystał za jednym zamachem z sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu procent całej sieci federalnej. Co prawda te nieprawdopodobne obciążenia trwały krótko, po kilkadziesiąt sekund, ale i tak ktoś powinien się być już dawno zainteresować, czemu jakiś dyżurny dziennikarz agencyjnego serwisu pobiera z sieci moc dwadzieścia razy większą od potrzebnej do obliczenia wszystkich rubryk dochodu narodowego? Wprawdzie teraz wszystko uległo skomputeryzowaniu, więc kontrola poborów informatycznych też, wiadomo zaś, że komputery nie mogą się niczemu dziwić - przynajmniej dopóki rachunki płacone są punktualnie, z czym nie było problemów. ponieważ płacił je także komputer, mianowicie nasz, z UPI, buchalteryjny, więc przyszło i to, że za moje zainteresowanie pejzażem Syrtis Minor na Marsie UPI zapłaciła dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów, dość słono, jeśli zważyć, że nie zostało zaspokojone. W każdym razie, choć milczał wtedy jak głaz, mój komputer zrobił, co było w jego i nie tylko w jego mocy, skoro przez osiem minut jego milczenia, przerwanego wykrętnym frazesem, sieć wykonała jakieś biliony i tryliony operacji - widniało to czarno na białym, utrwalone w miesięcznym rachunku. Inna rzecz, że charakter tych syzyfowych prac pozostał dla nas kompletną zagadką. Były to jakieś czysto algebraiczne czary mary.

Ostrzegalem was, że nie jest to historia o duchach. Zjawy zza grobu, przecucia, mistyczne proroctwa, klątwy, widma pokutujące i cała reszta tych uczciwych, wyraźnych, wdzięcznych a przede wszystkim prostych stworów znikła z naszego życia raz na zawsze. Żeby dokładnie opowiedzieć o duchu, który wlaził do maszyny IBM przez główną mufę sieci federalnej, należałoby

rysować diagramy, pisać wzory, a jako detektywów używać jednych komputerów, żeby się dobierały do innych. Duch nowego typu powstaje z wyższej matematyki i dlatego jest taki nieprzystępny. Moja historia musi się rozleść, zanim postawi wam włos na głowie, bo będę teraz wykladał to, co mi powiedział Hart. Sieć informatyczna przypomina elektryczną, tyle że zamiast energii czerpie się z niej informację. Krażenie zaś, czy to energii elektrycznej, czy wiadomości, przypomina ruch wody w zbiornikach połączonych rurociągami. Prąd płynie tam, gdzie spotyka najmniejszy opór, czyli gdzie jest największe zapotrzebowanie. Jeśli przerwać jeden kabel dosyłowy, elektryczność sama szuka sobie drogi okólnymi liniami, co zresztą może doprowadzić do przeciążenia i awarii. Obrazowo mówiąc, mój IBM, kiedy tracił łączność z dalekopisem, zwracał się o pomoc do sieci, która ruszała na to hasło z szybkością kilkunastu tysięcy kilometrów na sekundę, bo tak szybko porusza się prąd w przewodach. Nim się zgrały wszystkie wezwane posiłki, mijala jedna do dwu sekund i przez ten czas właśnie komputer milczał. Potem połączenie zostawało jak gdyby odtworzone, ale w jaki sposób właściwie, o tym nie mieliśmy nadal pojęcia. Wszystko, wyjaśnione do tego miejsca, miało bardzo rzeczowy, fizyczny charakter, a nawet dawało się przeliczyć na dolary, tyle że zdobyta wiedza była czysto negatywna. Wiedzieliśmy już, co uczynić, żeby komputer stracił swoje nadzwyczajne talenty: wystarczyło w tym celu odłączyć go od informatycznej mufy. Ale nadal nie pojmowaliśmy, jak mogła mu pomóc sieć, bo i jakże właściwie dobierała się do jakiegoś Sherabadu, gdzie było akurat trzęsienie ziemi albo do sali w Rio, w której odbywał się mecz bokserski? Sieć jest zamkniętym systemem połączonych komputerów, ślepym i głuchym na cały świat zewnętrzny, z wyjściami i wejściami, którymi są dalekopisy, przystawki telefoniczne, rejestratory w korporacjach czy w urzędach federalnych, sterujące

pulpity w bankach, w centralach energetycznych, w wielkich firmach. w portach lotniczych i tak dalej. Nie ma ona żadnych oczu, uszu, anten własnych, czujników zmysłowych, a ponadto nie wykracza swoim zasięgiem poza teren Stanów Zjednoczonych, więc jakże mogłaby zdobyć informacje o tym, co działo się w jakimś Iranie?

Hart. który wiedział tu akurat tyle co ja, to znaczy nic, zachowywał się jednak w sposób zupełnie odmienny od mego, bo ani sam takich pytań nie stawiał, ani mnie nie dopuszczał do głosu, kiedy go nimi chciałem zarzucić. Kiedy zaś nie udało mu się już powstrzymać mojej rozeźlonej ciekawości, i kiedy powiedziałem mu niemiłe rzeczy, które łatwo wymykają się z ust między trzecią a czwartą nad ranem po nie przespanej nocy, oświadczył mi, że nie jest wróżką, znachorem ani jasnowidzem. Sieć, jak się okazuje, przejawia własności, których nie zaplanowano w niej ani nie przewidziano; są ograniczone, jak o tym świadczy historia z Marsem, więc mają fizykalny charakter, czyli podlegają badaniu, które może przynieść po pewnym czasie określone wyniki, ale które zapewne nie będą odpowiedziami na moje pytania, ponieważ tego rodzaju pytań w nauce stawiać nie wolno. Zgodnie z regułą Pauliego, każdy stan kwantowy może być obsadzony tylko przez jedną cząstkę elementarną, a nie przez dwie, pięć albo milion, i fizyka ogranicza się do takiego stwierdzenia, natomiast: nie wolno jej pytać, czemu ta zasada jest przez wszystkie cząstki bezwzględnie przestrzegana i co albo kto zabrania cząstkom zachowywać się inaczej. Zgodnie z zasadą indeterminizmu cząstki zachowują się w sposób tylko statystycznie określony, a w obrębie owego indeterminizmu pozwalają sobie na rzeczy ze stanowiska klasycznej fizyki nieprzyzwoite albo wręcz koszmarne, bo naruszają prawa zachowania, ale ponieważ to się dzieje w przedziale nieokreśloności, nie można ich nigdy obserwować na gorącym

uczynku naruszania tych praw. I znów nie wolno pytać, jak mogą cząstki pozwalać sobie na te wybryki w indeterministycznym przedziale obserwacji, skąd biorą upoważnienia do takich wyskoków, które zdają się sprzeczać ze zdrowym rozsądkiem, ponieważ sprawy takie do fizyki nie należą. W pewnym sensie doprawdy można by sądzić, że wewnątrz szpary nieokreśloności cząstki zachowują się jak przestępca zupełnie pewien bezkarności dlatego, bo wie, że na pewno nikt go in flagranti nie przyłapie, ale są to antropocentryczne sposoby mówienia, które nie tylko nie dają niczego, lecz wprowadzają w rzecz szkodliwy mętnik, bo zdają się przypisywać cząstkom elementarnym ludzkie intencje jakiejś perfidii czy chytryści. Z kolei sieć informatyczna potrafi, jak wolno sądzić, zdobywać wiadomości o tym, co się dzieje na Ziemi również i tam, gdzie tej sieci w ogóle nie ma ani też żadnych jej czujników. Oczywiście można by oświadczyć, że sieć wytwarza „własne pole percepcyjne” z „gradientami teleologicznymi”. czy też, posługując się podobną terminologią, sporządzić inne pseudo-tłumaczenie, które jednak nie będzie miało żadnej wartości naukowej; chodzi o to, aby się przekonać, co, w jakich granicach, przy jakich warunkach początkowych i brzeżnych sieć może wykonać, a cała reszta należy już do nowożytnych powieści fantastycznych. O tym, że można dowiadywać się o otoczeniu bez oczu, uszu i innych zmysłów, wiemy, bo dowodzą tego specjalnie sporządzone modele i doświadczenia. Dajmy na to, że mamy maszynę cyfrową z optymistą, dbającym o maksymalne tempo obliczeniowych procesów, i że ta maszyna może się poruszać własnym napędem po terenie, który jest w połowie zacieniony, a w połowie osłoneczniony. Jeżeli maszyna przebywając w słońcu będzie się przegrzewała i od tego tempo jej pracy spadnie, optymistą uruchomi napęd i maszyna będzie się póty błąkała po tym terenie, aż trafi w cień, gdzie ochłodłszy, będzie pracowała wydajniej. Tak

więc maszyna owa, chociaż nie ma oczu, odróżnia cień od światła. Jest to przykład niezwykle prymitywny, wskazuje jednak na to, że można się orientować w otoczeniu bez posiadania jakichkolwiek zmysłów, skierowanych na zewnątrz.

Hart osadził mnie, przynajmniej na jakiś czas, i zajął się swoimi rachunkami i eksperymentami, a ja mogłem sobie myśleć, co mi się żywnie podobało. Tego nie mógł mi już zabronić. Być może, myślałem, kiedy jakieś kolejne przedsięwzięcie włączyło swój komputer do sieci, został bez niczyjej wiedzy przekroczony próg krytyczny, i sieć stała się organizmem. Od razu przychodzi do głowy obraz molocha, potwornego pajaka czy elektrycznego wielonoga, kablowymi mackami zarytego w ziemi od Gór Skalistych po Atlantyk, który, wykonując zlecane mu obliczenie ilości przesyłek pocztowych i rezerwując miejsca w samolotach, jednocześnie po cichu knuje straszliwe plany owładnięcia Ziemią i wzięcia ludzkości w niewolę. Oczywiście są to bzdury. Sieć nie jest organizmem takim jak bakteria, drzewo, zwierzę czy człowiek, po prostu powyżej punktu krytycznej złożoności stała się systemem, jak systemem staje się gwiazda albo galaktyka, kiedy nagromadzi się dość materii w przestrzeni, sieć jest systemem i organizmem niepodobnym do żadnego z nazwanych, bo właśnie nowym, takim jakiego dotąd jeszcze nigdy nie było. Myśmy ją sami wprawdzie zbudowali, ale nie wiedzieliśmy do samego końca, co właściwie robimy. Wykorzystywaliśmy ją, ale były to drobne uszczknięcia, ot jakby mrówki pasły się na mózgu, zajęte wyszukiwaniem tego, wśród miliarda toczących się w nim procesów, co pobudza ich czułki smakowe i szczęki. Hart przychodził zwykle na mój dyżur koło trzeciej z teczką wypchaną papierami, termosem pełnym kawy, i brał się do dzieła, a ja czułem się wystrychnięty na dudka, cóż jednak mogłem począć, skoro pod względem rzeczowym miał słuszość? Myślałem dalej, po swojemu, wpadając w koleiny dostępnych mi wyobrażeń,

a więc, na przykład, przedstawiałem sobie, że świat martwych dotąd przedmiotów, linie przesyłowe, kable podmorskiego telegrafu, telewizyjne anteny, może metalowe siatki ogrodzeń, łuki i zwory mostów, szyny, wyciągi, struny w betonowych gmachach, że wszystko to, za impulsem sieci, ulega nagłemu sprzęgnięciu w jeden olbrzymi układ śledzący, któremu przewodzi akurat mój IBM przez liczone sekundy, bo do tego, że on właśnie stał się ośrodkiem krystalizacyjnym tej potencji, doprowadziło parę błahych przypadków. Ale nawet te moje majaki nie wyjaśniały, chociażby w jakiś mglisty sposób, zdumiewających i tak konkretnych szczegółów, jak talent przewidywania zająć, jak jego dwuminutowe ograniczenie - musiałem więc zmuszać się do milczącej cierpliwości, bo widziałem wszak, że Hart daje z siebie wszystko.

Przechodzę do faktów. Omawialiśmy z Hartem dwie rzeczy - praktyczne zastosowania efektu i jego mechanizm. Wbrew pozorom, praktyczne perspektywy efektu stu trzydziestu siedmiu sekund nie są ani specjalnie wielkie, ani doniosłe, mają raczej spektakularny charakter - niesamowitego wyczynu. Decyzje, które przesądzą o losach narodów i o biegu historii światowej, nie mieszczą się na ogół w przedziale dwu minut, ponadto zaś dwuminutowe przepowiadanie przyszłości potyka się o niby drugorzędną, lecz zasadniczą, przeszkodę: po to, żeby komputer zaczął stawiać te swoje nieomyślne prognozy, trzeba pierwiej wprowadzić go na określony trop, nakierować go, a wymaga to czasu, zwykle dłuższego od dwu minut, więc chodzi o zysk pod względem praktycznym przeważnie od razu roztrwoniony. Granicy przewidywania nie można przesunąć ani o ułamek sekundy. Hart przypuszczał, że jest to jakaś stała, constans, o uniwersalnym, chociaż nie znanym nam dotąd charakterze. Zapewne można by bawić się w rozbijanie banków wielkich domów gry, myśleć o zyskach czerpanych z ruletki na przykład,

lecz koszt zainstalowania odpowiednich urządzeń byłby niemały (IBM kosztuje ponad cztery miliony dolarów), a zorganizowanie dwukierunkowej łączności, i do tego skrętnie skrywanej, między graczem przy stole a ośrodkiem obliczeniowym też byłoby niełatwym do zgryzienia orzechem, nie mówiąc już o tym, jak prędko zorientowano by się w tym, że coś jest nie w porządku: zresztą takie wykorzystanie efektu obu nas nie interesowało.

Hart sporządził fragmentaryczny katalog osiągnięć naszego komputera. Jeśli spytacie go o płeć dziecka, które ma się za dwie minuty urodzić konkretnej kobiecie w konkretnym miejscu, rozpozna tę płeć niezawodnie, lecz trudno uznać taką prognozę za coś godnego zachodu. Jeżeli zaczniecie rzucać monetą lub kostką do gry, podając komputerowi wyniki początkowe serii rzutów, a potem urwiecie podawanie informacji, wyliczy wyniki wszystkich następnych rzutów aż do stu trzydziestu siedmiu sekund w przyszłość, i to jest już wszystko. Musicie oczywiście naprawdę rzucać tą kością czy monetą i podawać komputerowi kolejne wyniki, co najmniej w ilości trzydziestu sześciu do czterdziestu, co silnie przypomina wprowadzanie psa na właściwy trop, jeden z miliardów, bo wszak w tym samym momencie Bóg wie, ilu ludzi rzuca monetami czy kośćmi, a komputer, który jest głuchy i ślepy, musi zidentyfikować w owym zbiorze waszą serię rzutów jako tę jedyną, o którą chodzi. Musicie też naprawdę rzucać kością lub monetą. Jeśli przestaniecie nią rzucać, będzie wystukiwał same zera, a jeśli rzucicie tylko dwa razy, poda tylko te dwa kolejne wyniki. Także i do tego niezbędna jest mu łączność z siecią, chociaż na zdrowy rozum sieć nie może mu w niczym pomóc, skoro rzucacie kością o dwa kroki od niego - i cóż tu ma do rzeczy owa sieć? Wszystko w tym sensie, że odłączony od niej nie wyduka ani sylaby, a nie w tym, że nie pojmujemy tego związku. Zauważcie, że komputer wie z góry, czy będziecie, czy też nie będziecie rzucali kością, a zatem przewiduje rozwój całej sytuacji,

to jest nie tylko los kości, to, jakimi powierzchniami do góry upadną, ale i wasz własny los, przynajmniej w obrębie decyzji rzucania lub nierzucania kością. Robiliśmy też i takie próby, że postanawiałem rzucać na przykład sześć razy po kolei, a Hart miał mi to na przemian udaremnić lub umożliwić, przy czym nie znałem jego decyzji w danych rzutach. Okazało się, że komputer zna z góry nie tylko mój plan rzucania, ale i postanowienia Harta, czyli wiedział, kiedy Hart zamierza chwycić mnie za rękę trzymającą kubek, żebym nie mógł wykonać następnego rzutu. Raz zdarzyło się, że chciałem rzucić cztery razy pod rząd, a rzuciłem tylko trzy w przedziale właściwego czasu, ponieważ potknąłem się o leżący na podłodze kabel i nie zdążyłem rzucić kości w porę. Otóż komputer przewidział jakoś to moje potknięcie, dla mnie samego najzupełniej niespodziewane, więc wiedział wtedy o mnie znacznie więcej niż ja sam. Obmyślaliśmy znacznie bardziej skomplikowane sytuacje, w których miałyby uczestniczyć wielu ludzi naraz, ot na przykład takie, żeby doszło do walki, nie pozorowanej, o kubek z kośćmi, ale nie wypróbowaliśmy takich wariantów, bo wymagały czasu i zachodu, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Hart użył też zamiast kości małego przyrządu, w którym poszczególne atomy izotopu rozpadają się, a na ekranie pojawiają się błyski, tak zwane scyntylacje: komputer nie umiał przewidzieć ich dokładniej, niż by to zrobił fizyk, to znaczy podawał tylko prawdopodobieństwa rozpadu. Kości ani monet to ograniczenie nie dotyczy. Widocznie dlatego, bo są makroskopowymi przedmiotami. Ale w naszym mózgu przecież o decyzjach przesądzają procesy mikroskopowe. Widocznie, mówi Hart, nie mają one kwantowego charakteru.

W całym obrazie zdają się tkwić sprzeczności. Dlaczego komputer może przewidzieć to, że potknę się za dwie minuty, chociaż gdy stawia prognozę, sam nie wiem jeszcze o tym, że wykonam ów krok, który doprowadzi do potknięcia, a zarazem

nie może przewidzieć, które atomy radioaktywnego izotopu się rozpadną? Sprzeczność, twierdzi Hart, nie znajduje się w samych zdarzeniach, lecz jest własnością naszych wyobrażeń o świecie, a zwłaszcza o czasie. Hart uważa, że to nie komputer przewiduje przyszłość, ale że i o my jesteśmy w pewien osobliwy sposób ograniczeni w postrzeganiu świata. Oto jego słowa: „Jeżeli wyobrazić sobie czas jako linię prostą, rozciągniętą z przeszłości w przyszłość, nasza świadomość jest jak koło, toczące się po tej linii i dotykające jej zawsze tylko w jednym punkcie: ten punkt nazywamy terażniejszością, która niezwłocznie staje się chwilą minioną i ustępuje miejsca następnej. Badania psychologów wykazały, że to, co bierzemy za moment terażniejszy, wyzbyty rozciągłości czasowej, jest w istocie odrobinę wydłużone i obejmuje nieco mniej niż pół sekundy. Otóż jest możliwe, że styk z tą linią, jaką stanowi czas, może być jeszcze szerszy, że można przebywać w kontakcie z jej większym odcinkiem naraz, i że maksymalne rozmiary tego odcinka czasowego wynoszą właśnie sto trzydzieści siedem sekund”.

Jeżeli tak jest naprawdę, powiada Hart, to cała nasza fizyka wciąż jest jeszcze antropocentryczna. bo wychodzi z założeń, które nie są ważne poza obrębem zmysłów i świadomości człowieka. Znaczy to, że świat jest inny, niż dziś głosi fizyka, a jasnowidzenie, jako przepowiadanie przyszłości, elektronowe czy nieelektronowe, nigdy nie zachodzi. Fizyka przeżywa koszarne kłopoty w związku z czasem, który podług jej ogólnych teorii i praw właściwie powinien być doskonale odwracalny, ale nie jest taki wcale. Ponadto zagadnienie pomiarów czasu w skali zjawisk wewnątrzatomowych nasuwa rozmaite trudności, tym większe, im mniejszy jest czasowy interwał do ustalenia. Być może wynika to stąd, że pojęcie terażniejszości nie tylko jest tak względne, jak o tym mówi teoria Einsteina, czyli jest uzależnione od lokalizacji obserwatorów, ale

że jest też zależne od samej skali zjawisk w tym samym „miejscu”.

Komputer przebywa po prostu w swojej terażniejszości fizycznej i ta terażniejszość jest bardziej rozległa w czasie aniżeli nasza. To, co dla nas ma dopiero nastąpić za dwie minuty, dla komputera już się staje właśnie tak samo, jak dla nas to, co teraz dostrzegamy i czujemy. Nasza świadomość jest tylko częścią tego wszystkiego, co zachodzi w naszym mózgu, i kiedy postanawiamy rzucić kością tylko jeden raz, aby „oszukać” komputer, który ma przewidzieć całą serię rzutów, on się od razu o tym dowiaduje. W jaki sposób? To możemy sobie wyobrazić tylko posługując się prymitywnymi przykładami: błysk i grzmot wyładowania atmosferycznego są równoczesne dla obserwatora bliskiego, a różne w czasie dla oddalonego; błysk, w tym przykładzie, to moja milcząco powzięta decyzja, żeby zaprzestać rzucania kością za kilkanaście sekund, a grzmot to chwila, w której rzeczywiście zaniecham kolejnego rzutu; otóż komputer, w jakiś niewiadomy sposób potrafi wychwycić z mojego mózgu „błysk”, czyli powzięcie tej decyzji; Hart powiada, że ma to ważne konsekwencje filozoficzne, oznacza bowiem, iż jeśli mamy wolną wolę, rozpościera się ona dopiero poza granicami stu trzydziestu siedmiu sekund, tyle że nam samym z introspekcji nic o tym nie wiadomo. W obrębie tych stu trzydziestu siedmiu sekund mózg nasz zachowuje się podobnie jak ciało, które się porusza bezwładnie i nie może zmienić nagle kierunku ruchu, do tego niezbędny jest czas, w którym będzie działała odchylająca tor siła, i coś w tym rodzaju dzieje się w każdej ludzkiej głowie. Wszystko to nie dotyczy jednak świata atomów i elektronów, bo tam komputer jest tak samo niezaradny jak nasza fizyka. Hart sądzi, że czas nie jest naprawdę jakąś linią, lecz jest to raczej continuum, które na poziomie makroskopowym ma zupełnie inne własności niż „na dole”, tam, gdzie są już tylko atomowe wymiary. Hart

przypuszcza, że im pewien mózg lub układ mózgowopodobny jest większy, tym szerszy jest obszar jego styku z czasem, czyli z tak zwaną „teraźniejszością”, natomiast atomy właściwie nie stykają się z nią wcale, lecz niejako wciąż wokół niej tańczą. Jednym słowem teraźniejszość to coś w rodzaju trójkąta: punktowa, dozerowa tam, gdzie są elektrony i atomy, a najszersza tam, gdzie są wielkie ciała, obdarzone świadomością. Jeżeli powiecie, że nie zrozumieliście z tego ani słowa, odpowiem wam, że ja też tego nie rozumiem i co więcej, Hart nigdy nie ośmieliłby się mówić takich rzeczy z katedry czy opublikować ich w naukowym piśmie. Właściwie powiedziałem wam już wszystko, co zamierzałem opowiedzieć i pozostają mi tylko dwa epilogi, jeden rzeczowy, a drugi stanowiący rodzaj ponurej anegdoty, którą odstępuję wam bez zysku.

Pierwszy był taki, że Hart przekonał mnie i sprawę wzięli w ręce fachowcy. Jeden z nich, wysoka figura, powiedział mi po kilku miesiącach, że po rozebraniu i ponownym złożeniu komputera zjawiska nie udało się już więcej odtworzyć. Nie tyle to wydało mi się podejrzane, ile fakt, że specjalista, z którym mówiłem, był w mundurze. A i to jeszcze, że ani jedna zgłoska tej sprawy nie dostała się do prasy. Sam Hart został od badań szybko odsunięty. On też nie chciał poruszać tego tematu i tylko raz, po wygranej partii mah-jonga, powiedział mi z tego, ni z owego, że sto trzydzieści siedem sekund nieomylnego przepowiadania to w pewnych okolicznościach różnica między zagładą i ocaleniem kontynentu. Na tym utknął, jakby się ugryzł w język, ale, już wychodząc od niego, zobaczyłem na biurku otwarty tom jakiejś pracy, naszpikowanej matematyką, o raketach zwalczających głowice nuklearne. Być może, miał na myśli takie właśnie pojedynki rakiet. Ale to są już moje domysły.

Drugi epilog zdarzył się tuż przed pierwszym, dosłownie w pięć dni przed najazdem chmary rzeczoznawców. Powiem wam, co

wtedy zaszło, ale nie będę tego komentował i z góry odmawiam odpowiedzi na wszelkie pytania. Były to już ostatki naszych samotnych eksperymentów. Hart miał przyprowadzić na mój dyżur pewnego fizyka, któremu roіło się, że efekt stu trzydziestu siedmiu pozostaje w związku z tajemniczą liczbą sto trzydzieści siedem, podobno pitagorejskim symbolem podstawowych własności Kosmosu: pierwszy zwrócił uwagę na tę liczbę już nieżyjący astronom angielski, Eddington. Ów fizyk nie mógł jednak przyjść i Hart zjawił się sam, koło trzeciej, kiedy numer szedł na maszyny. Hart nauczył się wprost fenomenalnie postępować z komputerem. Dokonał kilku prostych usprawnień, które ogromnie ułatwiły nasze próby. Nie trzeba już było wyciągać wtyczki z gniazdka, bo w kablu był przycisk, i jednym dotknięciem palca odłączało się dalekopis od komputera. Jak już wiecie, nie można go o nic pytać wprost, ale można mu przekazywać dowolne teksty przypominające ten rodzaj bezosobowo zredagowanej informacji, jakim odznaczają się notatki prasowe.

Mieliśmy zwykłą elektryczną maszynę do pisania, pełniącą rolę dalekopisu. Wystukiwało się na niej odpowiednio ułożony tekst i urywało się go w wybranym z góry momencie, tak by komputer został niejako zmuszony do kontynuowania sfingowanej „wiadomości”.

Hart przyniósł tej nocy kostki do gry i rozkładał właśnie swoje rzeczy, kiedy zadzwonił telefon. Był to dyżurny linotypista. Blackwood. Należał do wtajemniczonych.

- Słuchaj - mówi - mam tu Amy Foster, wiesz, żonę Billa, udało mu się uciec ze szpitala, wpadł do domu, zabrał jej siłą klucze od wozu. wsiadł i pojechał, no, we wiadomym stanie, dała już znać policji, a teraz przyleciała tutaj, że może my jej coś pomożemy. Ja wiem, że to nie ma sensu, ale jest ten twój prorok - może on by coś skombinował, jak myślisz?

- Nie wiem - mówię - nie wyobrażam sobie... ale... wiesz... trudno ją tak odprawić, słuchaj, przyślij ją do nas, niech pojedzie służbową windą.

A ponieważ ta jazda musiała trwać chwilę, zwróciłem się do Harta i tłumaczę mu, że nasz kolega, dziennikarz, Bill Foster, w ostatnich dwu latach rozpił się, pociągał nawet na dyżurach, aż go wylano z pracy, wzmocnił to wtedy psychodelikami, miał w ciągu miesiąca dwa poważne wypadki samochodowe, bo prowadził półprzytomny, odebrano mu prawo jazdy, w domu było piekło, wreszcie żona oddała go z ciężkim sercem na kurację odwykową, a teraz wymknął się jakoś ze szpitala, wrócił do domu. zabrał auto i wyjechał nie wiadomo dokąd - rozumie się, co najmniej pijany. Może i po narkotyku. Żona przyszła tu, policji dała już znać, szuka pomocy, rozumie pan, doktorze, jak to jest. Właśnie zaraz tu będzie. Jak pan uważa - możemy coś zrobić? I pokazuję oczami komputer.

Hart nie zdziwił się. nie jest to człowiek, którego łatwo zaskoczyć, i powiada: - Cóż ryzykujemy? Proszę połączyć maszynę z komputerem. - Jeszczem to robił, kiedy pojawiła się Amy. Widać było po niej, że nie dała mu tak od razu tych kluczyków. Hart podsunął jej krzesło i powiada: - Proszę pani. chodzi nam o czas, nieprawdaż? Więc proszę nie dziwić się żadnym pytaniom, które będę pani zadawał, tylko proszę odpowiadać podług najlepszej wiedzy. Najpierw potrzebne mi są dokładne dane osobiste męża: imię, nazwisko, wygląd, i tak dalej.

Ona, niezłe nawet opanowana, tylko ręce się jej trzęsą, mówi:

- Robert Foster, Sto trzydziesta szósta Ave., dziennikarz, trzydzieści siedem lat, pięć stóp siedem cali wzrostu, brunet, nosi rogowe okulary, na szyi poniżej lewego ucha ma białą bliznę po wypadku, sto sześćdziesiąt dziewięć funtów wagi, grupa krwi zero... czy to wystarczy?

Hart nie odpowiada, lecz zaczyna stukać. Równocześnie na ekranie pojawia się tekst: „Robert Foster, zamieszkały przy Sto trzydziestej szóstej ulicy, mężczyzna średniego wzrostu, z białą blizną poniżej lewego ucha. o grupie krwi zero. wyjechał dziś z domu autem -

- Proszę o markę i rejestrację wozu - to do niej.

- Rambler. N.Y., sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa.

- „Wyjechał dziś z domu autem marki Rambler. N.Y. sześćset pięćdziesiąt siedem dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa i znajduje się obecnie...”

Tu doktor naciska wyłącznik. Komputer zdany jest na siebie. Nie waha się ani chwili, tekst na ekranie rośnie:

„I znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zła widoczność, spowodowana deszczem, przy niskiej powłoce chmur, utrudnia prowadzenie.”

Hart wyłącza komputer. Namysłą się. Zaczyna pisać jeszcze raz od początku, z tą różnicą, że po „znajduje się”, pisze dalej „na odcinku drogi pomiędzy” - tu wyłącza znów dopływ informacji. Komputer kontynuuje bez wahania: „Nowym Jorkiem a Waszyngtonem. Jadąc skrajnym pasem, wyprzedza długą kolumnę samochodów ciężarowych i cztery cysterny SHELLA, przekroczywszy dozwoloną szybkość maksymalną”.

- To już jest coś - mruczy Hart - ale nie wystarczy nam kierunek, musimy wycisnąć więcej. Każe mi skasować to, co było, i zaczyna jeszcze raz. „Robert Foster... i tak dalej... znajduje się na odcinku drogi pomiędzy N.Y. a Waszyngtonem, pomiędzy kamieniem milowym numer...” tu wyłącza kabel. Komputer robi wtedy coś, czegośmy jeszcze nie widzieli. Anuluje część tekstu, który już się pojawił na ekranie, i czytamy: „Robert Foster... wyjechał z domu... i znajduje się obecnie w mleku na poboczu

drogi Nowy Jork - Waszyngton. Należy się obawiać, że strata, poniesiona przez firmę Muller-Ward, nie zostanie pokryta przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe United TWC, ponieważ wygasła przed tygodniem polisa nie została odnowiona”.

- Czy on zwariował? - mówię. Hart daje mi znak, żebym siedział cicho. Zaczyna pisać jeszcze raz. dochodzi do krytycznego miejsca i wystukuje: „znajduje się obecnie na poboczu drogi Nowy Jork - Waszyngton w mleku. Jego stan...” - tu urywa. Komputer ciągnie dalej: „jest taki, że nie nadaje się do spożycia. Z obu cystern uszło łącznie 29 hektolitrow. Przy obecnych cenach rynkowych...”

Hart każe mi skasować to i mówi do siebie „typowe nieporozumienie, był w porządku z gramatyką, bo „jego” mogło się odnosić tak do Fostera, jak do mleka. Jeszcze raz!”

Włączam komputer. Hart uparcie pisze ten dziwaczny „komunikat”, po owym mleku daje kropkę i młóci od nowej linii „Stan Roberta Fostera w obecnej chwili jest...” urywa, komputer zaś zamiera na sekundę, potem oczyszcza cały ekran - mamy przed sobą pusty, mgławo świecący kwadrat bez jednego słowa - wyznaję, że włosy zaczęły mi stawać na głowie. Potem formułuje się tekst: „Robert Foster nie jest w żadnym poszczególnym stanie, ponieważ właśnie przecinał autem marki Rambler N.Y. 657 992 granicę międzystanową”. A żeby cię diabli wzięli... myślę, oddychając z ulgą. Hart, z twarzą wykrzywioną nieprzyjemnym śmieszkiem, znów poleca mi znakiem skasować wszystko i bierze się do tego od początku. Po słowach „Robert Foster przebywa obecnie w miejscu, którego lokalizacja opiewa” - naciska wyłącznik. Komputer kontynuuje: „rozmaicie w zależności od tego. jakie kto żywi na ów temat poglądy. Należy uznać, iż chodzi o osobiste opinie, których podzielenia, zgodnie z naszymi obyczajami i naszą Konstytucją, nikomu nie można narzucać. W każdym razie tego zdania jest nasze pismo”. Hart wstaje, sam

wyłącza komputer i daje mi głową dyskretny znak, żebym wyprowadził Amy, która, jak mi się zdaje, nic z tej całej magii nie rozumiała. Kiedy wróciłem, telefonował, ale mówił tak cicho, że nic nie dosłyszałem. Odłożywszy słuchawkę, popatrzał na mnie i mówi:

- Przejechał na przeciwbieżny pas i czołowo zderzył się z cysternami, które wiozły mleko do Nowego Jorku. Żył jeszcze około minuty, kiedy wyciągali go z wozu; dlatego on się wyraził najpierw „znajduje się w mleku”. Kiedy powtórzyłem ten fragment po raz trzeci, już było po wszystkim, no, i w samej rzeczy można żywić rozmaite opinie na temat, gdzie przebywa się po śmierci, a nawet, czy przebywa się wtedy gdziekolwiek.

Jak widzicie z tego, wykorzystywanie tak nadzwyczajnych szans, jakie daje nam postęp, nie zawsze jest rzeczą łatwą, nie mówiąc już o tym, że może to być dosyć koszmarna zabawa - zważywszy mieszaninę żargonu dziennikarskiego i bezbrzeżnej naiwności, czy, jeśli wolicie, obojętności na ludzkie sprawy, jaką - siłą rzeczy - okazuje maszyna elektroniczna. Możecie w wolnej chwili porozprawiać o tym, co wam opowiedziałem. Sam nie mam już nic, ale to nic do dodania. Osobiście wolałbym posłuchać teraz innej jakiejś historii, żeby o tej zapomnieć.

PRZYJACIEL

Dobrze pamiętam okoliczności, w których poznałem pana Hardena. Było to w dwa tygodnie po tym, jak zostałem asystentem instruktora w naszym Klubie. Uważałem to za wielkie wyróżnienie, bo byłem najmłodszym członkiem Klubu, a instruktor, pan Egger, od razu, w pierwszym dniu, kiedy przyszedłem na dyżur do Klubu, oświadczył mi, że jestem dostatecznie inteligentny i na tyle się znam na całym kramie (tak się wyraził), że mogę dyżurować sam. Rzeczywiście zaraz sobie poszedł. Miałem dyżurować co drugi dzień od czwartej do szóstej, udzielać technicznych informacji członkom Klubu i wydawać karty QDR za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami. Jak powiedziałem, byłem z tego stanowiska bardzo zadowolony, ale wkrótce zaświtało mi, że do wykonywania moich obowiązków nie trzeba się wcale znać na radiotechnice, bo o żadne informacje nikt nie prosił. Wystarczyłby więc zwyczajny urzędnik, ale takiemu Klub musiałby płacić, a ja dyżurowałem honorowo i nie miałem z tego żadnej korzyści, nawet przeciwnie - jeśli wziąć pod uwagę wieczne zrzędenie matki, która wolała, żebym siedział kamieniem w domu, kiedy miała ochotę iść do kina i zostawić malców na mojej głowie. Z dwojga złego wolałem już dyżury. Lokal nasz był z pozoru dość przyzwoity. Ściany od góry do dołu zawieszane były kartami łączności z całego świata i kolorowymi afiszami, tak że się nie widziało zacieków, a pod oknem stało w dwu oszklonych gablotkach trochę starej aparatury krótkofalowej. Była tam jeszcze z tyłu pracownia, przerobiona z łazienki, bez okna. Nawet dwu ludzi naraz nie mogło w niej pracować, boby sobie oczy pilnikami powybijali. Pan Egger miał do mnie wielkie zaufanie, jak mówił, ale nie aż tak wielkie, żeby zostawić mnie sam na sam z zawartością szuflady w biurku, wyjął więc wszystko, co w niej było, i zabrał do siebie, nawet papieru do

pisania mi nie zostawił i musiałem wydzierać kartki z własnych zeszytów. Pieczętkę miałem do dyspozycji, choć słyszałem, jak pan Egger powiedział do prezesa, że właściwie należałoby ją umocować na łańcuszku w szufladzie. Chciałem wykorzystać czas na budowę nowego aparatu, ale pan Egger zabronił mi wychodzić w czasie dyżuru do pracowni, że niby przez otwarte drzwi mógłby się ktoś wśliznąć do środka i coś ściągnąć. Nie miało to ręki ani nogi, bo te aparaty w gablotkach przedstawiały całkowite rupiecie, nie powiedziałem mu tego jednak, bo nie uznawał w ogóle mego głosu. Widzę teraz, że zanadto się z nim liczyłem. Wykorzystywał mnie bez skrupułów, ale wtedy jeszcze się w tym nie orientowałem. Nie pamiętam, czy to była środa, czy piątek, kiedy pierwszy raz zjawił się pan Harden, ale ostatecznie to wszystko jedno. Czytałem właśnie bardzo dobrą książkę i byłem wściekły, bo okazało się, że brakuje w niej mnóstwa kartek. Wciąż musiałem się czegoś domyślać i bałem się, że najważniejszego w zakończeniu nie będzie, a wtedy całe czytanie na nic, bo wszystkiego przecież się nie domyśle. Wtem usłyszałem, że ktoś puka. Było to dosyć dziwne, jako że drzwi stały zawsze otwarte na oścież. Ten Klub - to było dawniej mieszkanie. Jeden z klubowców mówił mi, że to było zbyt podłe mieszkanie, aby ktokolwiek chciał się w nim gnieść. Zawołałem „proszę” i wszedł obcy, którego jeszcze nie widziałem. Wszystkich klubowców znałem, jeżeli nie z nazwiska, to przynajmniej z twarzy. Stał przy drzwiach i popatrzył na mnie, a ja zza biurka na niego, i takeśmy na siebie jakiś czas patrzyli. Spytałem, czego sobie życzy, i przyszło mi do głowy, że jeśliby chciał wstąpić do Klubu, to nie mam nawet formularzy wpisowych, bo wszystkie zabrał pan Egger.

- To jest Klub Krótkofalowców? - spytał, chociaż było to jak wół wypisane na drzwiach i na bramie.

- Tak - powiedziałem. - Czego pan sobie życzy? - zapytałem, ale on jakby tego nie słyszał.

- A... przepraszam - pan tutaj pracuje? - spytał. Zrobił dwa kroki w moją stronę, tak jakoś, jakby stąpał po szkle, i uklonił się.

- Mam dyżur - odparłem.

- Dyżur? - powtórzył, jakby się głęboko nad tym zastanawiał. Uśmiechnął się, potarł podbródek rondem kapelusza, który trzymał w ręku (nie pamiętam już, kiedy widziałem tak zniszczony kapelusz), i, wciąż jakby stojąc troszeczkę na palcach, zaczął jednym tchem, jakby się bał, że mu przerwę:

- Aha, więc to pan pełni tutaj dyżury, rozumiem, to taka godność i odpowiedzialność, w młodym wieku rzadko kto dziś to osiągnie, i pan zarządza tu tym wszystkim, no no - przy tym zrobił ręką z kapeluszem okrągły gest, obejmujący cały pokój, jakby mieściły się w nim Bóg wie jakie skarby.

- Nie jestem znów taki bardzo młody - powiedziałem, bo już mnie ten facet zaczynał trochę drażnić - i czy można wiedzieć, czego pan sobie życzy? Czy pan jest członkiem naszego Klubu?

Zapytałem tak umyślnie, choć wiedziałem, że nie jest - i rzeczywiście speszył się, potarł znowu brodę kapeluszem, a potem schował go naraz za siebie i śmiesznym, drepczącym krokiem podszedł do biurka. Miałem otwartą w dole szufladę, do której włożyłem przedtem książkę, gdy usłyszałem pukanie, a widząc teraz, że się tego natręta łatwo nie pozbędę, wsunąłem szufladę kolanem, wyjąłem pieczętkę z kieszeni i zabrałem się do układania nakrojonych, czystych kartek, żeby widział, że mam swoją robotę.

- O! Nie chciałem pana urazić! Nie chciałem urazić! - wykrzyknął i zaraz ściszył głos, oglądając się niespokojnie na drzwi.

- Więc może zechce pan powiedzieć, czego sobie życzy? - powiedziałem sucho, bo miałem tego dość.

Oparł rękę na biurku, w drugiej trzymając za plecami kapelusz, i nachylił się ku mnie. Teraz dopiero zorientowałem się, że musi być porządnie stary, chyba po czterdziestce. Tego się z daleka nie widziało, miał taką szczupłą, nijaką twarz - jak czasem blondyni, u których nie znać siwizny.

- Niestety, nie jestem członkiem Klubu - powiedział. - Ja... wie pan - naprawdę mam ogromny szacunek dla pańskiego zajęcia, także i innych panów, wszystkich panów tutaj, ale, Niestety, brak mi kwalifikacji! Myślałem zawsze, żeby zapoznać się, ale mi się, Niestety, nie udało. Moje życie - tak jakoś poszło...

Zająknął się i urwał. Wyglądał, jakby był bliski płaczu, aż mi się głupio zrobiło. Nic nie mówiłem, tylko zacząłem pieczętować puste kartki, nie patrząc na niego, choć czułem, że coraz bardziej się nade mną nachyla i że najwyraźniej ma ochotę przejść na moją stronę biurka. Ale udawałem, że nic o tym nie wiem, a on zaczął szeptać bardzo głośno, z czego nie zdawał sobie chyba sprawy:

- Ja wiem, że przeszkadzam panu, i zaraz odejdę... Mam pewną... pewną prośbę... Liczę na pana... zaledwie śmiem liczyć na wyrozumiałość... Kto oddaje się takiej ważnej pracy, takiemu pożytkowi bezinteresownie, dla ogólnego dobra, zrozumie mnie - może... Nie jestem... śmiem się spodziewać...

Byłem od tego szepciana całkiem już głupi i wciąż tylko pieczętowałem kartki, a przy tym widziałem ze strachem, że wnet mi się skończą i nie będę mógł wlepić oczu w puste biurko, a nie chciałem patrzeć na niego, bo się wprost cały rozplywał.

- Chciałbym... chciałbym - powtórzył ze trzy razy - prosić pana nie o... to znaczy - o przysługę, o pomoc. O wypożyczenie mi stosunkowo drobnej rzeczy - ale muszę się wpierw przedstawić:

nazywam się Harden... Pan mnie nie zna, no, Boże, skąd by pan mógł mnie znać...

- A pan mnie zna? - spytałem, nie podnosząc głowy i chuchając na poduszczykę pieczątki. Harden tak się zląkł, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie odpowiedzieć.

- Przez przypadek... - bąknął wreszcie. - Przez przypadek widywałem, mając... mając interesy tu, na tej ulicy, w pobliżu, obok, to znaczy - niedaleko tego domu... Ale to nic nie znaczy - mówił gorąco, jakby niesłuchanie wprost zależało mu na tym, żeby mnie przekonać, że mówi prawdę. Aż mi w głowie od tego wszystkiego szumiało, a on ciągnął:

- Prośba moja, z pozoru błaha, ale... Chciałem pana prosić, naturalnie z wszelkimi zapewnieniami, o pożyczenie mi drobnej rzeczy. To pana nie utrudzi. Chodzi... chodzi o drut. Z wtyczkami.

- Co pan mówi? - spytałem.

- Drut z wtyczkami! - zawołał prawie z uniesieniem. - Niedużo, kilka... naście metrów i wtyczki... osiem... nie... dwanaście... ile wolno. Oddam na pewno. Ja, wie pan, mieszkam na tej samej ulicy, pod ósmym...

„A skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?” - chciałem spytać, ale ugryzłem się w ostatniej chwili w język i powiedziałem tylko możliwie obojętnym tonem:

- Tutaj nie ma wypożyczalni drutu, proszę pana. Zresztą, czy to taka wielka rzecz? Przecież pan to dostanie w każdym sklepie elektrotechnicznym.

- Ja wiem! wiem! - zawołał. - Ale niechże mnie pan zrozumie! Tak przyjsć jak ja... tu... jest to prawdziwym ciężarem, ale nie mam drogi. Ten drut jest mi niesłuchanie potrzebny, a właściwie nie jest on dla mnie, nie. Jest... jest przeznaczony dla kogoś. Ten... ta... osoba... nie ma... środków. To mój... przyjaciel. On... nic nie ma... - powiedział, znowu z takim wyrazem twarzy, jakby się miał

rozplakać. - Ja, niestety, teraz... takie wtyczki sprzedają tylko w tuzinach, wie pan. Proszę, może pan w swojej wspaniałomyślności... Zwracam się do pana, bo nie mam, bo nikogo nie znam...

Urwał i przez jakiś czas nic nie mówił, tylko dyszał, jakby okropnie wzruszony. Od tego wszystkiego już się spociłem i chciałem tylko jednego: pozbyć się go - na razie. Mogłem mu tego drutu zwyczajnie nie dać i wtedy by się wszystko skończyło. Ale byłem zaintrygowany Zresztą, może być, że i pomóc mu trochę chciałem, bo mi się go żal robiło. Nie wiedziałem jeszcze dobrze, co o tym myśleć, ale miałem w pracowni własną starą zwojnicę, z którą mogłem zrobić, co mi się podobało. Bananów wprawdzie nie miałem, ale cała kupa leżała na stoliku. Nikt się z nich nie rozliczał. Nie były, co prawda, przeznaczone dla obcych, pomyślałem jednak, że ostatecznie raz mogę zrobić wyjątek.

- Niech pan zaczeka - powiedziałem. Poszedłem do pracowni, przyniosłem stamtąd drut, cążki i banany.

- Czy taki drut będzie dobry? - spytałem. - Innego nie mogę panu dać.

- Doprawdy... ja, ja myślę, że będzie w sam raz...

- Ile panu trzeba? Dwanaście? Może dwadzieścia metrów?

- Tak! Dwadzieścia! Jeżeli pan łaskaw... Odmierzyłem na oko ze dwadzieścia metrów, odliczyłem wtyczki i położyłem na biurku. Schował wszystko do kieszeni, a mnie naraz przyszło do głowy, że pan Egger, gdyby dowiedział się o tych bananach, narobiłby szumu w całym Klubie. Mnie by naturalnie nic nie powiedział, przejrzałem go, to intrygant i faryzeusz, w gruncie rzeczy podszyty tchórzem. Pan Harden cofnął się od biurka i powiedział:

- Młody panie... przepraszam... panie... zrobił pan prawdziwie dobry uczynek. Ja wiem, że moja nietaktowność... i sposób, w jaki

ja tu do pana... to mogło wywołać niewłaściwe wrażenie, ale zapewniam pana, zapewniam, to było bardzo potrzebne! Chodzi o sprawę pomiędzy uczciwymi, dobrymi ludźmi. Nie umiem nawet wyjawić, jak ciężko mi było przyjść, ale miałem nadzieję... i nie omyliłem się. To pocieszające! To bardzo pocieszające!

- Czy mam to traktować jako pożyczkę? - spytałem. Chodziło mi głównie o termin zwrotu, w razie gdyby miał być odległy, postanowiłem przynieść odpowiednią ilość własnych wtyczek.

- Naturalnie, to tylko pożyczka - odparł, prostując się z jakąś staroświecką godnością. Przyłożył kapelusz do serca. - Ja, to znaczy... mniejsza o mnie... Mój przyjaciel na pewno będzie panu wdzięczny. Pan... pan nawet nie wyobraża sobie, co to znaczy... jego wdzięczność... Nawet przypuszczam, że...

Uklonił mi się.

- W krótkim czasie zwrócę wszystko... z podziękowaniem. Kiedy... w tej chwili nie potrafię panu, niestety, powiedzieć. Dam znać, za pana pozwoleniem. Pan... przepraszam... bywa tu co drugi dzień?

- Tak - powiedziałem. - W poniedziałki, środy i piątki.

- A czy kiedyś... kiedyś będę mógł... - zaczął bardzo cicho pan Harden. Spojrzałem na niego bystro i to go, widać, spłoszyło, bo nie powiedział już nic, tylko uklonił mi się, raz z gołą głową, drugi raz w kapeluszu, i wyszedł. Zostałem sam i miałem jeszcze prawie godzinę czasu, ale spróbowałem tylko czytać i zaraz odłożyłem książkę, bo nie mogłem zrozumieć ani jednego zdania. Kompletnie mnie skołowała ta wizyta i ten człowiek. Wyglądał na porządnie zabiedzzonego, wierzchy butów, choć lśniące czystością, tak miał spękane, aż żal było patrzeć. Kieszenie marynarki obwisały mu, jakby stale nosił w nich jakieś ciężkie przedmioty. Mogę coś o tym powiedzieć. Dwie rzeczy zastanowiły mnie najbardziej - i obie odnosiły się do mnie. Pan Harden najpierw

powiedział, że zna mnie z widzenia, bo załatwiał coś w pobliżu Klubu - co się, ostatecznie, mogło przypadkowo zdarzyć, chociaż dziwne wydało mi się załęknienie, z jakim mi to tłumaczył. Po wtóre: mieszkał na tej samej ulicy, co ja. Tu już przypadków było zbyt wiele. Równocześnie widziałem jak na dłoni, że to nie jest człowiek zdolny z natury do jakiejś podwójnej gry, do skomplikowanych kłamstw. Rozmyślałem tak i, ciekawa rzecz, dopiero na samym końcu zastanowiłem się nad tym, do czego właściwie potrzebny mu był ten drut. Nawet się trochę zdziwiłem, że tak późno na to wpadłem. Pan Harden zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądał na człowieka, który robi wynalazki czy choćby tylko majstruje dla przyjemności. Powiedział zresztą, że ten drut nie jest dla niego, ale dla przyjaciela. Wszystko to razem nie składało mi się zupełnie. Na drugi dzień po szkole poszedłem obejrzeć sobie dom pod ósmym. Nazwisko jego rzeczywiście figurowało na liście lokatorów. Wdałem się w rozmowę z dozorcą, uważając, żeby nie wzbudzić w nim podejrzenia, i wymyśliłem całą historię, że mam niby dawać korepetycje siostrzeńcowi pana Hardena, więc interesuję się tym, czy jest wypłacalny. Pan Harden - jak opowiedział mi dozorca - pracował w śródmieściu, w jakiejś wielkiej firmie, do pracy jeździł o siódmej, a wracał o trzeciej. Ostatnimi czasy o tyle się to zmieniło, że zaczął wracać coraz później, a zdarzało się, że w ogóle nie przychodził na noc. Dozorca go o to nawet mimochodem spytał, a pan Harden powiedział mu, że bierze nadliczbowe godziny i nocną pracę, bo potrzebuje pieniędzy na święta. Jednakże nie dało się zauważyć - to są wnioski dozorczy - żeby mu ta wytężona praca wiele przyniosła, bo jak był biedny niczym mysz kościelna, takim pozostał, ostatnio zaś zalegał z czynszem i świąt w ogóle nie urządzał, do kina nie poszedł; dozorca nie wiedział, niestety, jak się nazywa ta firma, w której pan Harden pracuje, a zbyt długo też

wolałem go nie wypytywać, tak że właściwie ten wywiad przyniósł mi niezbyt obfite plony.

Muszę przyznać, że z niecierpliwością oczekiwałem poniedziałku, bo coś mi mówiło, że jest to początek jakiejś osobliwej sprawy, choć nie mogłem sobie przedstawić, o co mogłoby w niej chodzić. Próbowałem wyobrazić sobie rozmaite możliwości, na przykład, że pan Harden robi wynalazki albo że uprawia szpiegostwo, ale to absolutnie nie pasowało do jego osoby. Jestem przekonany, że nie odróżniłby diody od pentody, był też ostatnim człowiekiem na świecie, który nadawałby się do jakiejś misji obcego wywiadu.

W poniedziałek przyszedłem na dyżur nie wcześniej i wczekałem się dwie godziny w rosnącym zniecierpliwieniu. Harden przyszedł, kiedy zabierałem się już do wyjścia. Wszedł jakoś uroczyście, uklonił mi się od progu i podał mi rękę, a potem małą paczkę, porządnie zawiniętą w biały papier.

- Dzień dobry, młody panie. Cieszę się, że pana zastałem - powiedział. - Chciałem podziękować panu za pańską dobroć. Wybawił mnie pan z nader kłopotliwego położenia. - Mówił to wszystko sztywno i tak, jakby to sobie przedtem ułożył. - Tu jest wszystko, co pan był łaskaw mi pożyczyć - wskazał na paczkę, którą położyłem na biurku. Obaj staliśmy. Pan Harden uklonił mi się jeszcze raz i zrobił taki ruch, jakby chciał odejść - ale został.

- Nie ma o czym mówić, to była drobnostka - powiedziałem, aby ułatwić mu odezwanie się. Myślałem, że zacznie gorąco oponować, ale nic nie powiedział, patrzył tylko na mnie pośępnie i parę razy potarł rondem kapelusza podbródek. Zauważyłem, że kapelusz był usilnie czyszczony, co prawda nie dało to większych rezultatów.

- Jak pan wie, nie jestem członkiem Klubu... - powiedział. Naraz przystąpił do biurka, położył na nim kapelusz i, zniżając głos, odezwał się:

- Nie mam śmiałości znów pana trudzić. I tak tyle pan dla mnie zrobił. Jednakże, gdyby pan zechciał poświęcić mi pięć minut - nie więcej, doprawdy... Nie chodzi o nic materialnego, nigdy w świecie! Tylko, wie pan - brak mi odpowiedniego wykształcenia i nie potrafię sobie dać z tym rady.

Nie mogłem się zorientować, do czego zmierza, ale byłem porządnie zaciekawiony, więc powiedziałem, żeby go zachęcić:

- Ależ oczywiście, jeżeli będę mógł, chętnie panu pomogę.

Ponieważ milczał, nic nie odpowiadając i nie ruszając się z miejsca, dodałem na oślep:

- Czy chodzi o jakiś aparat?

- Co?! Co pan mówi?! Skąd, skąd pan... - wyrzucił, przestraszony, jakbym powiedział coś niesłychanego. Robił takie wrażenie, jakby chciał po prostu czmychnąć.

- Ależ to proste - odparłem możliwie spokojnie, starając się uśmiechnąć - pożyczął pan ode mnie przewód elektryczny i wtyczki, a zatem...

- O, pan jest niesłychanie bystry, nad wyraz bystry - powiedział, ale nie było w tym uznania, raczej lęk. - Nie, bynajmniej, to znaczy... pan jest człowiekiem honorowym, nieprawdaż? Czy mógłbym, ośmielając się, prosić pana, to znaczy, jednym słowem, czy może dać mi pan słowo, że nikomu... że pan zachowa wszystko, o czym mówimy, dla siebie?

- Tak - odparłem zdecydowanym tonem i żeby go upewnić, dodałem:

- Nigdy nie łamię danego słowa.

- Tak sobie myślałem. Tak! Byłem o tym przeświadczony! - powiedział, jednakże minę dalej miał zasepioną i nie patrzył mi w oczy. Jeszcze raz potarł podbródek i powiedział szeptem:

- Są... wie pan... jakieś zakłócenia. Nie wiem, skąd. Nie potrafię tego zrozumieć. Raz jest prawie dobrze, a potem nic nie rozumiem.

- Zakłócenia - powtórzyłem, bo zamilkł - pan ma na myśli zakłócenia odbioru?

Chciałem dodać jeszcze „to pan ma krótkofalówkę” - ale powiedziałem tylko „to pan...” - tak się wzdrygnął.

- Nie, nie - wyszeptał. - Nie chodzi o odbiór. Wydaje się, że z nim jest coś źle. Czy ja wiem zresztą! Może po prostu nie chce ze mną mówić.

- Kto? - spytałem znowu, bo przestałem go pojmować, wtedy on obejrzał się za siebie, a potem, zniżywszy głos jeszcze bardziej, powiedział:

- Proszę pana, przyniosłem to ze sobą. Schemat, to znaczy część schematu. Ja, wie pan, nie mam prawa, to znaczy... nie całkiem mam prawo pokazać to komukolwiek, ale ostatnim razem otrzymałem zgodę. To nie jest moja sprawa. Pan rozumie? Mój przyjaciel... o niego właśnie chodzi. To jest ten rysunek. Niech się pan nie gniewa, że to jest tak niedobrze narysowane, próbowałem studiować rozmaite specjalne książki, ale to nic nie pomogło. Chodzi o to, że trzeba to zrobić... sporządzić, dokładnie, tak jak jest narysowane. Ja bym się już postarał o wszystkie potrzebne rzeczy. Wszystko już mam, dostałem. Ale... ja tego nie zrobię! Tymi rękami - wyciągnął chude, żółtawe dłonie, które drżały tuż przed moją twarzą - pan sam przecież widzi! Nigdy w życiu nie miałem z tym nic wspólnego, nie umiałbym nawet narzędzia utrzymać, taki ze mnie niezguła, a tu tak jest potrzebna umiejętność! Chodzi przecież o życie...

- Może mi pan pokaże ten rysunek - powiedziałem powoli, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa, bo już zanadto zalatywały mi jakimś pomieszczeniem.

- Ach, przepraszam... - wybąkał.

Rozpostarł na biurku kawał sztywnego papieru rysunkowego, nakrył go obu rękami i spytał cicho:

- Czy można zamknąć drzwi?

- Owszem, można - powiedziałem - bo już jest po godzinach dyżuru. Możemy się nawet na klucz zamknąć - dodałem, wyszedłem na korytarz i umyślnie głośno przekręciłem dwa razy klucz w zamku, żeby to słyszał. Chciałem, by nabrał do mnie zaufania.

Wróciwszy do pokoju, siadłem za biurkiem i wziąłem do ręki ten jego rysunek. Nie był to bynajmniej schemat. Nie było to podobne do niczego - oprócz dziecinnych gryzmołów. Były tam po prostu kwadraty, oznaczone literkami i cyframi, połączone ze sobą, ni to jakaś telefoniczna rozdzielnica, ni to tablica rozdzielcza, narysowana tak, że włosy stawały na głowie - bez użycia symboli, kondensatory i cewki były naszkicowane „z natury”, jakby to zrobiło pięcioletnie dziecko. Sensu nie można się było w całości doszukać za grosz, bo nie wiadomo było, co oznaczają te kwadraty z cyframi, aż naraz zauważyłem znajome literki i liczby: oznaczenia rozmaitych lamp katodowych. Wszystkiego razem - osiem. Ale to nie był aparat radiowy. Poniżej kwadratów widniały prostokąci z cyframi, które nic mi już nie mówiły; widniały wśród nich także greckie litery - wszystko razem niczym jakiś szyfr albo po prostu rysunek obłąkańca. Oglądałem cały ten bohomasz dość długo, słysząc, jak Harden dyszy mi głośno nad głową. Chociaż nie mogłem złapać nawet w przybliżeniu idei całej tej aparatury, dalej studiowałem rysunek, bo czułem, że nie będzie łatwo wyciągnąć z niego wiele

więcej, musiałem się więc oprzeć na tym materiale, jaki miałem przed sobą. Nie było wykluczone, że jeżeli go nacisnę, by pokazał mi i wytłumaczył cokolwiek, przełęknie się i tyle będę go widział. I tak okazał mi sporo zaufania. Tak więc postanowiłem zacząć od rysunku. Jediną częścią zrozumiałą było coś w rodzaju fragmentu wzmacniacza kaskadowego, ale to był raczej mój domysł, gdyż, jak powiadam, całość przedstawiała coś zupełnie nieznanego i zagmatwanego - widniało tam doprowadzenie prądu o napięciu 500 woltów - po prostu sen elektrotechnika, który ma koszmary! Między poszczególnymi częściami były wyrysowane rozmaite elementy, mające zapewne stanowić wskazówkę dla tego, kto by to urządzenie miał budować, więc, na przykład, uwagi o materiale, z jakiego trzeba wykonać płytę rozdzielnic, a kiedy się dobrze temu labiryntowi przyjrzałem, odkryłem naraz coś dziwnego: skosem stojące na kilku nóżkach, obrzeżone jakby firaneczką prostokąci, niczym kołyski jakieś. Spytałem Hardena, co to jest.

- To? To są, to mają być ekrany - odparł pokazując mi palcem inny, taki sam prostokąt, w który rzeczywiście wpisane było małymi literkami słowo „ekran”.

To mnie wprost zaszokowało. Harden najwyraźniej nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że słowo „ekran” znaczy w elektrotechnice coś całkiem innego aniżeli w życiu potocznym, i tam, gdzie w schemacie szło o ekranowanie poszczególnych fragmentów aparatury, to znaczy oddzielenie od siebie pól elektromagnetycznych osłonami, czyli ekranami z metalu, wyrysował ze świętą naiwnością ekraniki, jakie się widzi w kinie!

A przy tym w dolnym rogu schematu widniał filtr wysokiej częstotliwości, podłączony w całkiem nowy, nie znany mi sposób, nadzwyczaj dowcipnie - był to po prostu wynalazek pierwszej wody!

- Proszę pana - powiedziałem - to pan sam rysował?

- Tak, ja. A co?

- Tu jest filtr - zacząłem, wskazując ołówkiem, ale on przerwał mi:

- Proszę pana, ja się na tym nie znam. Zrobiłem to według wskazówek. Mój przyjaciel... a więc tak: to on jest w pewnym sensie... autorem...

Urwał. Naraz zabłysło mi światło.

- Pan się z nim porozumiewa przez radio? - spytałem.

- Co? Ależ nie!

- Przez telefon? - pytałem dalej, niewzruszony.

Pan Harden zaczął naraz drzeć.

- O... o co panu chodzi? - wyjąkał, opierając się ciężko o biurko. Zdawało mi się, że zasłabnie. Przyniosłem stołek z pracowni, na który osunął się, jakby się postarzał w czasie rozmowy.

- Czy pan go widuje? - spytałem, a Harden skinął powoli głową.

- Więc czemu nie korzysta pan dalej z jego pomocy?

- Och, to niemożliwe... - powiedział z nagłym westchnieniem.

- Jeżeli przyjaciela pana nie ma tutaj i trzeba się z nim porozumieć na odległość, mogę panu użyczyć mojego aparatu radiowego - powiedziałem. Zrobiłem to umyślnie.

- Ależ to nic nie da! - zawołał. - Nie, nie, on jest tutaj, naprawdę.

- Więc czemu on sam nie przyjdzie do mnie? - rzuciłem.

Pan Harden wykrzywił twarz w jakimś spazmatycznym uśmiechu.

- To niemożliwe - powiedział. - On nie jest... jego nie można... naprawdę, to nie jest mój sekret i nie mam prawa go zdradzać... - powiedział nagle gorąco, z takim wylaniem, że uwierzyłem w jego szczerłość. W głowie aż mi huczało od wytężonego myślenia,

a nie mogłem się jeszcze połapać, o co chodzi. Jedno było najzupełniej pewne: Harden nie znał się w ogóle na radiotechnice i schemat musiał być dziełem tajemniczego przyjaciela, o którym tak mgliście napomykał.

- Proszę pana - zacząłem powoli - co się mnie tyczy, może być pan najzupełniej pewny mojej dyskrecji. Nie chcę wcale pytać, co pan robi i do czego ma to służyć - wskazałem na rysunek - ale żeby panu pomóc, musiałbym, po pierwsze, przerysować to sobie, a, po wtóre, ten mój rysunek musiałby dopiero przejrzeć pana przyjaciela, który się widocznie na tym zna...

- To się nie da zrobić... - wyszeptał pan Harden. - Ja... ja musiałbym to panu zostawić?

- A jakże inaczej? Panu chodzi o to, żeby ten aparat zmontować... czy tak?

- Ja... ja bym przyszedł ze wszystkim, co potrzebne, kiedy pan pozwoli - powiedział pan Harden.

- Nie wiem, czy to możliwe... czy to się da przeprowadzić - powiedziałem.

Kiedy popatrzyłem na niego, wyglądał zupełnie złamany. Wargi mu drżały - przesłonił je rondem kapelusza. Zrobiło mi się go naprawdę żal.

- Ostatecznie, można by spróbować - powiedziałem niechętnie - choć nie wydaje mi się, aby podług tak niedokładnego rysunku dało się sklecić cokolwiek sensownego. Niechże pana przyjaciel przejrzy to, u licha, czy po prostu porządnie przerysuje...

Kiedy popatrzałem na niego, zrozumiałem, że żądam rzeczy niewykonalnej.

- Kiedy mogę przyjść? - spytał wreszcie. Umówiłem się z nim na trzeci dzień; wyrwał mi prawie rysunek z rąk, schował go do wewnętrznej kieszeni i rozejrzał się nieprzytomnymi oczami.

- To ja już sobie pójdę. Nie będę... nie chcę zabierać panu czasu. Bardzo panu dziękuję i... do widzenia. Więc przyjdę, jeżeli można. Ale nikt... nikt... nikomu...

Obiecałem mu raz jeszcze, że nic nikomu nie powiem, dziwiąc się już własnej cierpliwości. Wychodząc, zatrzymał się naraz.

- Proszę pana... przepraszam, że jeszcze się ośmielam. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie można dostać żelatyny?

- Czego - proszę?

- Żelatyny - powtórzył - zwykłej, suszonej żelatyny w arkuszach, zdaje się...

- W sklepie spożywczym najprędzej - poradziłem mu. Raz jeszcze uklonił się, podziękował mi gorąco i wyszedł. Przeczekałem chwilę, aż jego kroki ucichły na schodach, zamknąłem Klub i poszedłem do domu, tak zamyślony, że wpadałem na przechodniów. Zajęcie, jakiego się może lekkomyślnie podjąłem, nie budziło we mnie zachwyty, ale rozumiałem, że zbudowanie tego nieszczęsnego aparatu - to jedyna droga poznania, co właściwie poczyna pan Harden ze swoim zagadkowym przyjacielem. W domu wziąłem parę arkuszy papieru i próbowałem narysować ten dziwaczny schemat, który pokazał mi pan Harden, ale prawie nic nie pamiętałem. Na koniec pociąłem papier na kawałki, na których wypisałem wszystko, co wiedziałem o całej tej historii, i próbowałem, siedząc nad nimi do wieczora, złożyć te fragmenty w jakąś sensowną całość. Nie bardzo mi to szło, chociaż muszę powiedzieć, że puściłem całkiem wodze wyobraźni i nie wahałem się stawiać całkiem nieprawdopodobnych hipotez, w rodzaju, że pan Harden utrzymuje łączność radiową z uczonymi jakiejś innej planety - coś jak w tej historii Wellsa o kryształowym jajku. Nie trzymało się to jednak kupy, a najbardziej oczywiste, narzucające się wprost rozwiązanie: że mam do czynienia ze zwyczajnym wariatem -

odrzucałem, po pierwsze dlatego, że zbyt wiele metody tkwiło w tym jego wariactwie, po drugie zaś, ponieważ tak właśnie brzmiałby bez wątpienia sąd olbrzymiej większości ludzi z panem Eggerem na czele. Kiedy kładłem się już spać, zabłysło mi w głowie światło, od którego aż skoczyłem. Zdumiałem się, że nie wpadłem na to od razu, tak mi się to nagle wydało oczywiste. Nieznany, ukrywający się w cieniu przyjaciel pana Hardena musiał być niewidomy! Jakiś fachowiec-elektryk, ślepy, może więcej nawet niż ślepy! Kiedy zanalizowałem szybko we wspomnieniu niektóre odezwania się Hardena, a szczególnie, gdy uprzytomniłem sobie, jak żalosnym uśmiechem skwitował moją propozycję, aby przyjaciel jego przyszedł sam, doszedłem do wniosku, że jest on całkiem sparaliżowany. Jakiś stary, na pewno bardzo stary człowiek, od lat przykuty do łóżka, który w mroku, otaczającym go wiecznie, wymyśla dziwne przyrządy. Jedyny przyjaciel, którym może się przy tym posługiwać, nie zna się w ogóle na elektrotechnice. Stary, jak to stary - jest zdziwaczałą, mocno podejrzliwy i obawia się, że mu jego sekret mogą wykraść. Hipoteza ta wydała mi się bardzo prawdopodobna. Było jeszcze kilka niejasnych punktów: do czego służyć miały druty i wtyczki? Nie omieszkałem zbadać ich sumiennie pod lupą. Drut został pocięty na kawały różnej długości - po dwa, dwa i pół, trzy i cztery metry, banany zaś, w chwili kiedy je wręczałem panu Hardenowi - zupełnie nowe, nie używane, miały porozkręcane śrubki, a w niektórych tkwiły pojedyncze nitki miedzianego drutu. A zatem służyły naprawdę do czegoś i pożyczenie ich nie stanowiło wyłącznie pretekstu do nawiązania ze mną bliższego kontaktu.

Ponadto - żelatyna. Po co mu była żelatyna? Aby przyrządzić dla owego przyjaciela jakąś galaretkę, kleik? Siedziałem po ciemku na łóżku, tak trzeźwy, jakbym nie miał tej nocy w ogóle zasnąć. „Arkusze suchej żelatyny” - przypadkowo wiedziałem, że

z takiej ilości można by zrobić galaretkę dla wieloryba. Nie orientował się w proporcjach? Czy też po prostu chciał wprowadzić moją dociekliwość na fałszywe tory? Byłaby to, w takim razie, „operacja pozorna żelatyna”? Ale podobna chytryść nie mogła mieć źródła w panu Hardenie - wprost organicznie był do tego niezdolny! Niezgrabiasz, fizyczny i duchowy, do zabicia muchy zabierałby się z lękami, zahamowaniami i tajemniczością, jakby szło o dokonanie najstraszliwszej zbrodni. Więc ten krok podszeptał mu „przyjaciel”? Czyżby tak zaplanował całą rozmowę? Ze wszystkimi niedomówieniami i przejęzyczeniami, które produkował pan Harden? To na pewno było niemożliwe. Czułem, że im dokładniej analizuję byle błahostkę, byle szczegół tej sprawy, jak właśnie ową nieszczęsną żelatynę, w tym większym pogrążam się mroku, gorzej - ze wszystkich, pozornie zwyczajnych elementów zdawał się wynikać, jako logiczny wniosek, absurd. A gdym przypomniał sobie jego słowa o „zakłóceniach”, o tym, jak nie może się porozumieć z przyjacielem, ogarnął mnie wprost niepokój. Wyobraziłem sobie - cóż innego mogło mi przyjść na myśl? - starca, całkowicie bezwładnego, pozbawionego wzroku, na wpół przytomnego, martwe, wielkie ciało w barłogu, na jakimś ciemnym strychu, rozpaczliwie bezbronną istotę, w której mózgu, osaczonym przez wieczną ciemność, błyskają jakieś fragmenty wizyjnej aparatury, a Harden, śmieszny i wierny, wszystkie siły wyęży, aby z bełkotliwych strzępów, z chaotycznych uwag, wyrzucanych z głębi zamroczenia, obłądu, złożyć trwałą jak pomnik, jak testament całość. Tak mi się to roilo owej nocy - wydaje mi się, że miałem chyba gorączkę. A przecież nie mogłem wszystkiego w ogóle tłumaczyć szaleństwem, bo pamiętałem pewien drobny, lecz wprost niezwykły szczegół - ową konstrukcję filtra częstotliwości, która fachowcowi mówiła niedwuznacznie, że spotyka się z płodem - co tu gadać - genialności.

Postanowiłem sobie kopiować w pamięci układ aparatury, którą obiecałem złożyć, i uspokojony świadomością, że trzymam przecież w ręce jakąś nić, która będzie mnie prowadziła w głąb tego labiryntu, usnąłem.

Pan Harden przyszedł w środę, jakeśmy się umówili, objuczony dwiema teczkami, pełnymi części, a jeszcze trzykrotnie wracał do domu po resztę. Praca montażowa miała odbywać się po moim dyżurze, tak było mi najwygodniej. Kiedy zobaczyłem te wszystkie części, zwłaszcza lampy, zorientowałem się, jaki kawał grosza i musiały kosztować - i ten człowiek pożyczał i ode mnie kilkanaście metrów drutu? Zabrałem się do dzieła, podzieliwszy pracę w ten sposób, że znaczyłem na ebonitowej płycie miejsca, w których należało nawiercić otwory, a pan Harden mocował się z wiertarką. Okrutnie mu to nie szło. Musiałem mu pokazać, jak trzymać jej korpus i kręcić korbą. Złamał dwa wiertła, zanim się tego nauczył. Ja tymczasem pilnie studiowałem rysunek i rychło zorientowałem się, że było tam sporo połączeń najzupełniej nonsensownych. To się zgadzało z moją hipotezą: albo uwagi „przyjaciela” padały w formie tak niewyraźnej i niejasnej, że Harden nie umiał się w nich zorientować, albo sam „przyjaciel” gubił się we własnej koncepcji, owładnięty przejściowym zamroczeniem. Powiedziałem panu Hardenowi o tych fałszywych połączeniach. Nie dał mi najpierw wiary, ale kiedy w przystępnej formie wytłumaczyłem mu, że montaż według takiego schematu musi doprowadzić po prostu do krótkiego spięcia, do spalenia lamp - przeraził się. Słuchał mnie dłuższy czas w zupełnym milczeniu, z drgającymi wargami, których nie mógł przesłonić po swojemu rondem kapelusza. Naraz zakrzął się, w nieoczekiwanym przyplywie energii porwał schemat ze stołu, narzucił marynarkę i prosząc, abym zaczekał tylko chwilę, tylko pół godziny, od drzwi rzucając jeszcze zaklęcia - pognął do miasta. Był już zmierzch, kiedy wrócił, uspokojony, choć

zdyszany, jakby biegł całą drogę. Powiedział mi, że wszystko jest w porządku - że tak właśnie ma być, jak jest narysowane, że się wprawdzie nie mylę, ale to, o czym mówiłem, zostało przewidziane i uwzględnione. Urażony, w pierwszej chwili miałem po prostu ochotę rzucić całą robotę, ale po namyśle wzruszyłem ramionami i wyznaczyłem mu dalszy etap pracy. Tak upłynął ten pierwszy wieczór. Harden robił pewne postępy, nadzwyczajna wprost była jego cierpliwość i uwaga, widziałem też, że nie tylko stara się wykonać moje polecenia, ale usiłuje wdrożyć się do manipulacji, w rodzaju montowania chassis czy lutowania końcówek, jakby się tym chciał parać na przyszłość. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ach, podpatrujesz mnie - pomyślałem - może ci kazano zdobyć wprawę w radiotechnice, więc i ja jestem zwolniony z lojalności; pod pozorem wyjścia do ustępu zamierzałem wyrysować sobie w pamięci cały schemat, bo nie wypuszczał go niemal z rąk i mogłem mu się przypatrywać tylko pod jego okiem, za co mnie zresztą tysiącnie razy przepraszał - ale stawiał na swoim. Czuję, że ta zaciekłość strzeżenia tajemnicy nie płynie z niego samego, że jest mu narzucona i obca jego naturze. Gdy jednak chciałem wyjść na chwilę z pracowni, zastąpił mi drogę i patrząc w oczy, żarliwym szeptem powiedział, że muszę złożyć mu świętą obietnicę, przysiąc - że nie będę próbował odrysować schematu ani teraz, ani później, nigdy. Obruszyłem się. - Jakże pan chce, abym to zapomniał? - spytałem. - To nie leży w mojej władzy. Zresztą, naprawdę, i tak zbyt wiele robię już dla pana i niegodne jest żądać ode mnie, abym działał jak ślepy automat, narzędzie!

To mówiąc, chciałem go wyminąć, bo zastępował mi drogę, ale on chwycił mnie za rękę i przycisnął do serca - znów bliski płaczu.

- To nie dla mnie, nie dla mnie - powtarzał trzęsącymi się wargami - błagam, proszę, niech pan zechce to zrozumieć, on... on

nie jest tylko moim przyjacielem, chodzi o coś większego, o rzecz nieporównanie większą, przysięgam panu, chociaż nie mogę w tej chwili jeszcze tego powiedzieć, ale niech mi pan wierzy: nie zwodzę pana i nie ma w tym nic niskiego! On... on się panu odwdzięczy - sam to słyszałem - pan nie wie, nie może pan wiedzieć, a ja, nie, nie wolno mi nic mówić, ale to do czasu, przekona się pan!

Tak mniej więcej mówił - ale nie potrafię oddać rozpaczliwego żaru, z jakim patrzył mi w oczy. Przegrałem jeszcze raz - musiałem, po prostu musiałem mu dać to przyrzeczenie. Trzeba żałować, że nie trafił na kogoś mniej uczciwego - być może losy świata potoczyłyby się inaczej, ale stało się. Zaraz potem odszedł; zamknęliśmy zmontowaną część urządzenia do podokiennej szafki, od której miałem klucz - i Harden wziął go ze sobą. Zgodziłem się i na to, żeby go uspokoić.

Po tym pierwszym wieczorze wspólnej pracy znów miałem sporo materiału do przemyślenia - bo myślenia już nie mógł mi zabronić.

Najpierw była sprawa owych fałszywych połączeń; przypuszczałem, że nie odkryłem wszystkich, tym bardziej że cały schemat, widziałem to coraz wyraźniej, stanowił tylko część jakiejś większej, może daleko większej całości. Czyżby chciał ją zmontować później sam, po zakończeniu u mnie terminatora?

Elektryk, wdrożony do mechanicznej pracy, nie interesujący się specjalnie tym, jaki sens ma to, co robi, być może przeszedłby nad owymi miejscami schematu do porządku, ale mnie nie dawały one spokoju. Nie umiem powiedzieć dlaczego, to znaczy - nie potrafię tego zrobić, nie przedstawiając owego schematu, którego, niestety, nie mam - ale wyglądało to tak, jakby złe połączenia zostały wprowadzone umyślnie. Im dłużej nad nimi myślałem, tym mocniej byłem o tym przeświadczony. Były to, nie miałem już prawie wątpliwości, fałszywe tropy, zwodnicze, mylące

pociągnięcia tego, kto stał, niewidzialny, za całą tą sprawą. Najmniej w tym wszystkim podobało mi się to, że pan Harden naprawdę o istnieniu tych umyślnych pogmatwań schematu nic nie wiedział, a zatem i on nie był dopuszczony do jądra zagadki, a zatem i jego oszukiwano - a robił to jego tak zwany „przyjaciel”! Muszę wyznać, że jego sylweta nie nabierała w mych oczach pociągających rysów, wprost przeciwnie: nie odczuwałem ochoty, aby nazwać kogoś takiego swoim przyjacielem! A jak należało rozumieć wielkie, choć mgliste słowa pana Hardena, kryjące niejasne obietnice i przyrzeczenia? Nie wątpiłem, że tylko je przekazywał, że i tu był jedynie pośrednikiem - ale czy dobrej, czy czystej sprawy? Następnego dnia po południu, gdy byłem w domu i czytałem książkę, matka powiedziała mi, że w bramie jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Była oczywiście zła i spytała, co też to mam za podstarzałych znajomków, którzy boją się pokazać sami i posyłają po mnie dzieci dozorczy. Nie odpowiedziałem nic, bo mnie coś tknęło, i zbiegłem na dół. Był już wieczór, ale lampy, nie wiem czemu, nie świeciły się i w sieni panowała taka czarna ciemność, że ledwo dostrzegłem czekającego. Był to pan Harden. Zdawał się mocno zdenerwowany. Poprosił mnie, żebyśmy wyszli na ulicę. Ruszyliśmy w stronę ogrodu, przy czym pan Harden nie odzywał się przez dłuższy czas, aż gdy znaleźliśmy się nad stawem, w kompletnym o tej porze pustkowiu, spytał, czy interesuję się przypadkiem poważną muzyką. Powiedziałem, że owszem, dosyć ją lubię.

- Ach, to dobrze, to bardzo dobrze. A... być może, posiada pan jakieś płyty? Chodzi mi właściwie tylko o jedną... o Adagio, opus ósme, Dahlen-Gorskiego. Jest to... ma to być... to nie dla mnie, wie pan, ale...

- Rozumiem - przerwałem mu. - Nie, nie mam tej płyty. Dahlen-Gorski? To, zdaje się, taki nowoczesny kompozytor?

- Tak, tak, pan się świetnie orientuje, jak to dobrze. Ta płyta... ona jest, niestety, bardzo, wie pan... nie mam teraz, nie mam środków, i...

- No i ja też, niestety, nie bardzo jestem z funduszami - powiedziałem, śmiejąc się trochę nienaturalnie. Pan Harden przestraszył się.

- Ależ, na miły Bóg, nigdy bym o tym nie pomyślał, to nie wchodzi w ogóle w rachubę. Może któryś z pana znajomych ma tę płytę? Chodzi tylko o wypożyczenie, na jeden dzień, nie na dłużej, doprawdy!

Nazwisko Dahlen-Gorskiego coś potrafiło w mojej pamięci; milczeliśmy chwilę, idąc wzdłuż brzegu jeziora, po cienkim błocie, aż naraz uzmysłowiłem sobie, że przeczytałem je w gazecie, bodajże w programie radiowym. Powiedziałem o tym panu Hardenowi. Wracając, kupiliśmy w budce gazetę - rzeczywiście nazajutrz orkiestra symfoniczna radia miała odegrać to Adagio.

- Wie pan co - powiedziałem - nic prostszego, jak nastawić radio o tej właśnie godzinę - która to? dwunasta czterdzieści przed południem - i pański przyjaciel po prostu będzie mógł tego posłuchać.

- Tsss - uciszył mnie, rozglądając się nieufnie - proszę pana, fatalnie, że to się nie da zrobić, on... ja... on pracuje wtedy, wie pan, i...

- Pracuje? - powiedziałem zdumiony, bo mi się to nie zgadzało całkiem z obrazem opuszczonego, na wpół obłąkanego, bezwładnego starca. Harden milczał, jakby stropiony tym, co powiedział.

- A więc - rzekłem, idąc za nagłym impulsem - wie pan co: ja panu nagram to Adagio na moim magnetofonie...

- Ach, to będzie świetnie! - zawołał. - Będę panu nieskończenie wdzięczny, tylko... tylko... czy będzie mi pan mógł pożyczyć magnetofon, żeby... żeby to potem odtworzyć?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Z magnetofonami u krótkofalowców - to cała historia: mało kto ma własny, a każdy chce robić nagrania, szczególnie egzotycznych kontaktów i nasłuchów, więc szczęśliwy posiadacz wiecznie jest bombardowany prośbami o pożyczenie. Nie chcąc wiecznie znajdować się w kolizji z moim dobrym sercem, wbudowałem sobie, montując nową aparaturę, magnetofon do środka, jako nierozdzielny część całości; całej aparatury nie można, rozumie się, pożyczać, bo jest za wielka. Powiedziałem to wszystko panu Hardenowi, który się niewypowiedzianie zmartwił.

- No, to co robić... co robić? - powtarzał, dotykając palcami guzików wyszarzałego palta

- Mógłbym panu dać samą taśmę tylko, z nagraniem - odparłem - a magnetofon musiałby pan sobie u kogoś wypożyczyć.

- Nie mam u kogo... - bąknął, zagłębiony w myślach - zresztą... przecież magnetofon niepotrzebny! - wyrzucił z nagłą radością. - Wystarczy taśma, tak, taśma wystarczy, jeżeli będzie pan mógł mi ją dać? Pożyczyć? - zaglądał mi w oczy.

- Pański przyjaciel ma magnetofon? - spytałem.

- Nie, ale jemu to niepotrzebne...

Urwał. Całe jego rozradowanie znikło. Staliśmy akurat pod gazową latarnią.

Harden, oddalony o krok, wpatrywał się we mnie ze zmienioną twarzą.

- Właściwie nie - powiedział - ja się pomyliłem. On ma magnetofon. Tak, ma. Naturalnie, że go ma... tylko zapomniałem o tym...

- Tak? To dobrze - odparłem i poszliśmy dalej. Harden był zgaszony, nic nie mówił, czasem tylko ukradkiem zerkał na mnie z boku. Przed domem pożegnał się, ale nie odszedł. Patrzył na mnie chwilę z trochę żalonym uśmiechem i bąknął cicho:

- Pan to nagra dla niego... prawda?

- Nie - powiedziałem ogarnięty nagłym gniewem - nie. Nagram to... dla pana.

Zbladł.

- Ja... dziękuję panu, ale... pan to źle rozumie, niewłaściwie, sam się pan przekona, później... - szeptał gorączkowo, ściskając mnie za rękę - on, on nie zasługuje na... zobaczy pan! Przysięgam! Wszystko, wszystko pan pojmie i nie będzie wtedy oceniał go fałszywie...

Nie mogłem wprost patrzeć na niego, kiwnąłem tylko głową i poszedłem na górę. Znowu miałem materiał do rozmyślań, ale jaki! Jego przyjaciel pracował - nie był to zatem paralityczny starzec, jakiego sobie wyroiłem. Ponadto ów miłośnik nowoczesnej muzyki mógł lubować się samą tylko taśmą z nagraniem Adagia Dahlen-Gorskiego - bez pośrednictwa magnetofonu! Bo że tak się właśnie rzecz miała, że magnetofonu nie było wcale na horyzoncie - co do tego nie żywiłem najmniejszej wątpliwości!

Na drugi dzień poszedłem przed dyżurem do miejskiej biblioteki technicznej i przestudiowałem sobie wszystko - co mogłem dostać - o sposobach odtwarzania nagrań z taśmy. Wyszedłem stamtąd tak samo mądry jak wprzód. W sobotę prace montażowe zostały właściwie zakończone, należało jeszcze tylko wpasować brakujący transformator - i polutować mnóstwo końcówek. Jedno i drugie odłożyłem do poniedziałku. Pan Harden dziękował mi gorąco za taśmę, którą mu przyniosłem. Kiedyśmy się już mieli rozstać, nieoczekiwanie zaprosił mnie do siebie na

niedzielę. Zmieszany, przeproszał mnie wiele razy za to, że wizyta... przyjęcie... gościna - tak się plątał - będzie niezmiernie skromna i nie licująca wcale z sympatią, jaką dla mnie żywi. Nie słuchałem tego chętnie, tym bardziej że jego nieustająca zacność wprost paraliżowała moje zamiary, wciąż bowiem nachodziła mnie ochota zabawić się w detektywa i wykrzyć, gdzie mieszka tajemniczy przyjaciel; obsypywany jednak podziękowaniami, przeproszany, nie mogłem wprost zdobyć się na śledzenie Hardena. Tym większą żywiłem niechęć do jego przyjaciela, który nie raczył wciąż uchylić rąbka okrywającej go tajemnicy.

Harden mieszkał w samej rzeczy niedaleko ode mnie, na czwartym piętrze oficyny, w pokoiku wychodzącym na ciemne podwórze. Przywitał mnie uroczyście, z wielkim zakłopotaniem, że nie może mnie podjąć Bóg wie jakimi wspaniałościami. Pijąc herbatę, rozglądałem się od niechcienia po pokoju. Nie wyobrażałem sobie, że z Hardenem jest aż tak źle. Było tu jednak widać ślady wskazujące, że przedtem powodziło mu się dużo lepiej; na przykład sporo mosiężnych puszek po jednym z droższych tytoni fajkowych. Nad starym, spękany sekretarzykiem wisiał wytarty dywanik z wyraźnie odcisniętymi wgłębieniami po fajkach, musiała się tam znajdować cała ich kolekcja, ale nic po niej nie zostało. Spytałem Hardena, czy pali fajkę, odparł z pewnym zmieszaniem, że dawniej palił, ale zarzucił ten nałóg jako niezdrowy. Coraz wyraźniej widziałem, że ostatnimi czasy wysprzedał się ze szczętem - świadczyły o tym dobitnie jaśniejsze od reszty ścian kwadraty po obrazach, przysłonięte reprodukcjami, wyciętymi z czasopism, ale ponieważ nie pasowały dokładnie do tych jaśniejszych miejsc, można je było bez trudu odkryć. Naprawdę nie trzeba było aż detektywa, by zrozumieć, skąd się wzięły pieniądze na zakup radiowych części. Pomyślałem, że „przyjaciel” niezgorzej wyżyłował pan Hardena. Chciałem odnaleźć w pokoju choć jedną rzecz, która nadawałaby

się na sprzedaż, ale nie znalazłem nic. Oczywiście nie powiedziałem o tym ani słowa, ale postanowiłem sobie w stosowanej chwili otworzyć panu Hardenowi oczy na rzeczywisty charakter tak zwanej „przyjaźni”. Pocziwy Harden poił mnie tymczasem herbatą, podsuwając mi wciąż pudełko po tytoniu, służące za cukiernicę, jakby mnie chciał skłonić do spożycia całej jego zawartości, w braku czegoś lepszego. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o tym, jak wcześniej odumarli go rodzice, tak że sam się musiał utrzymywać mając ledwo trzynaście lat, wypytywał mnie o plany na przyszłość, a kiedy mu powiedziałem, że mam zamiar studiować fizykę, jeżeli uda mi się dostać stypendium, niejasno, po swoim, zaczął mówić coś o wielkiej, korzystnej zmianie - niezwyklej zmianie, jaka, tego należy się spodziewać, oczekuje mnie już w niezbyt odległej przyszłości. Zrozumiałem to jako aluzję do łask jego przyjaciela i powiedziałem zaraz, że pragnę wszystko w życiu zawdzięczać wyłącznie własnym siłom.

- Ach, pan mnie źle rozumie... pan mnie źle rozumie - zapewnił mnie z żalem, ale zaraz znów się nieznacznie uśmiechnął, jakby skrywając jakąś wielce go radującą myśl. Opity, rozgrzany i zły - zły byłem w tym czasie prawie nieustannie - pożegnałem po jakiejś godzinie Hardena i poszedłem do domu.

W poniedziałek zakończyliśmy wreszcie montaż aparatu. W czasie pracy Harden, mówiąc o nim, nazwał go, zapewne przez nieostrożność, „koniugatorem”. Spytałem, co to znaczy i czy wie, do czego właściwie ma ten aparat służyć; zmieszał cię i powiedział, że dokładnie nie wie. To była chyba kropla, która przepełniła czarę. Kiedy zostawiłem Hardena nad odwróconym do góry nogami aparatem, ze szczotką wystających, oczyszczonych końcówek, i wyszedłem do drugiego pokoju, wysunąwszy szufladę zobaczyłem w niej, obok kawałka cyny do lutowania, parę sztabek metalu Wooda - pozostałość po pewnym starym kawale. Jakiś złośliwiec podłożył ten srebrny metal, topiący się w

temperaturze gorącej herbaty, panu Eggerowi zamiast cyny do lutowania i kompletnie zmontowany aparat w jakąś godzinę po uruchomieniu popsuł się, bo cały metal ściekł z rozgrzanych styków i wszystkie niemal się pootwierały. Sztabki same jakoś wlażyły mi w rękę. Nie wiedziałem dobrze sam, po co to robię, ale kiedy sobie przypomniałem pokój pana Hardena, przestałem się wahać. Było wcale prawdopodobne, że „przyjaciół” nie zorientuje się w podstępie - pan Egger też się na nim nie poznał. Kiedy styki puszczą - myślałem, majstrując kolbą do lutowania - każde zapewne panu Hardenowi ponownie przynieść aparat do pracowni, a może nawet zechce przedstawić mi się osobiście. Może zresztą będzie wściekły - cóż mi jednak zrobi? Myśl o tym, że wystrychnę na dudka tego egoistycznego wyzyskiwacza, sprawiała mi żywą satysfakcję. Po zalutowaniu przewodów wzięliśmy się do wpasowania transformatora. Okazało się wówczas to, co podejrzewałem już przedtem: pan Harden nie był po prostu w stanie zabrać aparatu sam. Przeszkodą był nie tyle ciężar, co jego rozłożenie. Aparat wyszedł przeszło na metr długi, z jednego końca - tam gdzie mieściła się żelazna masa transformatora - bardzo ciężki, a taki nieporęczny, że śmiać mi się chciało, kiedy patrzyłem, jak Harden, coraz bardziej zaaferowany, wręcz zrozpaczony, przymierza się do niego tak i owak, próbuje go wziąć pod pachę, to klęka, prosząc, abym wsadził mu go na plecy. Postanowił wreszcie pobiec do stróża i pożyczyć od niego worek. Odradziłem mu to: aparat był tak długi, że jakkolwiek by go niósł, uderzałby weń nogami, co na pewno nie wyszłoby lampom na dobre. Począł więc grzebać w portmonetce, ale miał za mało pieniędzy na taksówkę; ja też nie miałem. Ostatecznie unicestwiony, siedział jakiś czas w milczeniu na stołku, łamiąc palce, aż spojrzał na mnie spoode łba.

- Czy... zgodziłby się pan pomóc mi?...

Powiedziałem, że skoro zrobiłem już tyle, nie odmówię i teraz; rozjaśnił się, ale zaraz jął gęsto tłumaczyć, że właściwie pierwiej musi zapytać przyjaciela. Byłem ciekaw, jak to robi, pora szła późna i nie mogłem czekać na niego godzinami w Klubie. Dobrze o tym wiedział. Pan Harden wstał, jakiś czas medytował, mrucząc do siebie i chodząc po pokoju, aż spytał, czy może skorzystać z telefonu. Jeszcze po poprzednich lokatorach został w korytarzu automat telefoniczny, którego mało kto używał; myślę, że po prostu o nim zapomniano. Pan Harden przeproszał mnie gorąco - ale zamknął jednak drzwi na korytarz; miałem czekać w pokoju, aż się rozmówi z przyjacielem. To mnie trochę ubodło; powiedziałem, że może być spokojny - i zamknąłem od mojej strony drzwi na klucz, kiedy wyszedł. Spróbowałem podsłuchiwać przy drzwiach, bo chodziło o rzeczy ważniejsze od respektowania podejrzliwości jakiegoś obcego dziwaka - nic jednak nie słyszałem. Pokój klubowy łączy się z korytarzykiem za pośrednictwem przewodu wentylacyjnego, zakrytego dziurkowaną blachą, którą można odsunąć. Niewiele myśląc, podskoczyłem, chwyciłem się końcami palców framugi i podciągnąłem się do góry jak na drążku. Bardzo trudno było odsunąć klapkę - zrobiłem to głową, jak mogłem, przybliżyłem ucho do otworu. Nim zrozumiałem słowa, doszedł mnie ich ton - molestowania i prośby. Podniósł głos:

- Ależ to ja, to ja, przecież poznajesz mnie! Dlaczego się nie odzywasz!

Odpowiedziało brzęczenie słuchawki, zadziwiająco silne, skoro je dosłyszałem przez wąski otwór w murze. Pomyślałem, że telefon zepsuł się - ale Harden mówił coś, powtórzył kilka razy „niemożliwe”. Umilkł. Słuchawka bełkotała, Harden wykrzyknął:

- Nie! Nie! Ręczę ci! Ja sam wrócę!

Znowu ucichł. Wyteżalem wszystkie siły, wisząc na zgiętych rękach, opuściłem się więc nieco niżej, by dać im odpocząć, a gdy się znów podźwignąłem, dobiegł mnie jego zaaferowany głos:

- A więc dobrze, wszystko tak, dokładnie tak! Tylko nie odzywaj się, słyszysz! Władza, rozumiem, władza nad światem!

Ręce mi już mdlały. Zeskoczyłem lekko, by nie robić hałasu, i otworzyłem na stukanie drzwi. Harden wrócił jakby uspokojony, ale nieswój - to był nastrój, w jakim widziałem go zawsze, kiedy wracał od „przyjaciela”. Nie patrząc na mnie, otworzył okno.

- Jak pan myśli, będzie mgła? - powiedział.

Wokół lamp na ulicy tworzyły się małe, tęczujące aureole, jak zwykle po zimnym, deszczowym dniu.

- Już jest - odparłem

- Zaraz pójdziemy...

Ukląkł przy aparacie i owijał go papierami. Naraz znieruchomiał.

- Niech pan nie ma mu tego za złe. On jest taki... podejrzliwy! Gdyby się pan orientował... on jest w takiej ciężkiej, tak rozpaczliwej sytuacji! - znowu urwał.

- Tak się wciąż boję, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mi nie wolno... - odezwał się cicho. Jego załzawione niebieskie oczy patrzyły pokornie na moje nogi. Stałem przed nim z rękami w kieszeniach - a on jakby nie chciał spojrzeć mi w twarz.

- Pan się nie gniewa, prawda? Powiedziałem, że lepiej dać już temu spokój.

Westchnął i umilkł.

Opakowawszy aparat, zrobiliśmy z każdej strony po pętli do niesienia. Gdyśmy byli z tym gotowi, Harden, wstając z kolan, powiedział, że pojedziemy autobusem, a potem metrem... i zostanie nam do przejścia jeszcze kawałek... niezbyt duży

kawałek... ale jednak kawałek... i potem zaniesiemy to w jedno miejsce. Przyjaciela tam nie będzie - jego tam nie ma wcale - my tylko zostawimy pakunek, a on już sam później po niego przyjdzie.

Po tych słowach byłem już właściwie niemal pewny, że „przyjaciel” znajduje się tam właśnie, gdzie mamy się udać. Już to trzeba powiedzieć, że Harden był ostatnim na świecie człowiekiem zdolnym do przedstawiania pozorów za prawdę!

- Ze względu na znaczenie, jakie to ma... śmiem prosić... wyjątkowy warunek... ze względu... - zaczął Harden, zaczerpnąwszy głęboko tchu, kiedy myślałem już, że skończył.

- Niechże pan powie wprost, o co chodzi. Mam składać przysięgę?

- Ach, nie, nie, nie... chodzi o to, że do tego miejsca... kilkanaście ostatnich kroków... metrów... żeby pan zechciał przejść tyłem.

- Tyłem? - wytrzeszczyłem na niego oczy. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać. - Przecież wywrócę się od razu.

- Nie, nie... będę pana prowadził za rękę.

Nie miałem wprost siły spierać się z nim; między mną a swoim przyjacielem był jak między młotem i kowadłem. Jeden z nas musiał zawsze ustąpić - oczywiście ja. Harden, zrozumiałwszy, że się zgadzam, przycisnął moją rękę do piersi z zamkniętymi oczami. U każdego innego człowieka wyglądałoby to teatralnie, ale on naprawdę właśnie taki był. Im więcej go lubiłem - aż tego zdawałem już sobie dobrze sprawę - tym bardziej mnie złościł, a najmocniej - swoją ślamazarnością i tym kultem, jaki żywił dla „przyjaciela”.

Parę minut później wyszliśmy z kamienicy, starałem się stąpać krok w krok z Hardenem, co nie było łatwe, bo mu się wciąż noga myliła. Na ulicy stała mgła jak mleko. Widziało się tylko jedną

naraz latarnię, następna żarzyła się ledwo jako pomarańczowy punkt. Autobusy pełzały, jechaliśmy więc w tłoku, jak to bywa podczas mgły, dwa razy dłużej niż zwykle. Kiedyśmy wyszli z metra na stacji Parkowej, po pięciu minutach wędrówki pustawymi ulicami straciłem orientację. Miałem niejasne wrażenie, że Harden kołuje, bo wielka, mżąca elektrycznością luna, jak gdyby rozległy plac, przesunęła się raz z prawej, a w kilka minut potem - z lewej strony, ale mogły to być dwa różne place. Harden spieszył się bardzo, że zaś pakunek nie był lekki, porządnie się zadyszał. Dziwnieśmy musieli wyglądać; w najdrobniejszym kapuśniaczkę, z postawionymi kołnierkami, niosąc długi, biały pakunek za końce, jakby statkę jakąś, poprzez tumany białego mleka i pokraczne cienie drzew.

Potem i cieni zbrakło, tak stało się ciemno. Harden wodził chwilę ręką po murze kamienicy i ruszył dalej. Ukazał się długi parkan, a w nim - nie wiem, czy wyrwa jakaś, czy brama. Weszliśmy tam. Ryknęła niedaleko syrena okrętowa, pomyślałem, że musi tu być gdzieś rzeczna odnoga, którą idą statki. Ogromne to było podwórze, potykałem się wciąż o jakieś blachy, o leżące bezładnie rury, co było porządnie niewygodne, jako że byliśmy połączeni naszym brzemieniem. Dobrze mnie już ręka bolała, kiedy pan Harden zarządził postój pod ścianką z desek - o tym, że była z desek, przekonałem się dotykiem. Słyszałem skrzywienie żelaznej liny, na której, nad naszymi głowami, huštała się lampa, ale światło docierało poprzez mgłę tylko jako pełzający wahadłowo, czerwony robaczek. Harden oddychał ciężko, przytulony do ściany - chyba jakiegoś baraku, osądziłem, gdyż podnosząc się na palcach, bez trudu dotknąłem jego dachu, płaskiego, krytego papą; został mi na dłoni zapach smoły. Jak to się mówi - tonących trzeba ratować także przeciw ich woli; wyjąłem z kieszeni kawałek kredy, którą włożyłem tam wychodząc z Klubu, i wspiąwszy się na palce, postawiłem na

oślepie po ciemku dwa duże krzyże na tym dachu. Rozumowałem, że gdyby ktoś szukał znaków, nie przyjdzie mu do głowy wspinać się i zaglądać na dach. Harden był tak zmęczony, że niczego nie zauważył, było zresztą zupełnie ciemno, tylko dość daleko przed nami stała mętna luna, jakby biegła tamtędy mocno oświetlona arteria.

- Chodźmy - szepnął Harden. Zaczął bić zegar wieżowy; narachowałem dziewięć uderzeń. Szliśmy po twardym, gładkim terenie, jakby po cemencie, po kilkunastu krokach Harden przystanął i poprosił, żebym się odwrócił. Poszliśmy więc tak, że ja stąpałem tyłem, a on, żeby tak rzec, sterował mną, posuwając w prawo i lewo pakunkiem; wyglądało to na głupią zabawę, ale nie było mi do śmiechu - ten podstęp wymyślił na pewno „przyjaciel”. Miałem nadzieję, że uda mi się go przechytrzyć. Chociaż myślałem, że to niemożliwe - zrobiło się jeszcze ciemniej. Znaleźliśmy się pomiędzy belkami jakiegoś rusztowania, parę razy obiliśmy się o drewniane szalowania z desek. Harden kręcił mną tam - jak w labiryncie. Byłem już zlany potem, kiedy trafiłem plecami w zamknięte drzwi.

- Już, już jesteśmy - szepnął.

Kazał mi schylić głowę. Po omacku schodziliśmy kamiennymi stopniami w dół. Pakunek dobrze dał się nam we znaki na tych schodach. Kiedy się skończyły, zostawiliśmy go pod ścianą. Harden ujął mnie za rękę i poprowadził dalej.

Coś skrzypnęło przede mną, ale nie był to odgłos, jaki wydaje drzewo. Tu, gdzie stałem, było cieplej niż na dworze. Harden puścił moją rękę. Stałem nieruchomy, wsłuchany w ciszę - aż uzmysłowiłem sobie, że podszyta jest bardzo niskim, basowym tonem, który przenikało najdelikatniejsze, najśłabsze brzęczenie - jak gdyby jakiś olbrzym gdzieś, w bardzo wielkiej odległości, grał na grzebieniu. Melodia była znajoma: musiałem ją słyszeć niedawno. Harden znalazł wreszcie klucz i zachrobotał nim w

zamku. Niewidzialne drzwi ustąpiły wydając osobliwe cmoknięcie - równocześnie owo słabe brzęczenie ucichło, jak ucięte nożem. Pozostał tylko miarowy, basowy pomruk.

- Jesteśmy - powiedział Harden, pociągając mnie za rękę. - Jesteśmy już!

Mówił bardzo głośno, aż odrzmiewała ta zamknięta, czarna przestrzeń:

- Teraz wrócimy po aparat, tylko zrobię światło... zaraz... ostrożnie... proszę uważać! - rzucał Harden krzykliwym, nienaturalnie wysokim głosem. Zakurzone żarówki oświetliły kłocowate, szare ściany pomieszczenia. Zmrużyłem oczy. Stałem blisko drzwi, obok biegły grube rury grzejne.

Pośrodku znajdował się rodzaj stołu, zbitego z desek, założonego narzędziami; dokoła spoczywały jakieś metalowe części. Więcej nie zdążyłem zobaczyć, bo Harden wezwał mnie, wróciliśmy do korytarza, słabo oświetlonego dzięki otwartym na oścież drzwiom, i pospołu wnieśliśmy aparat do betonowej piwnicy. Położyliśmy go na stole. Harden wytarł czoło chusteczką i chwycił mnie za rękę z kurczowym uśmiechem, od którego drgał mu kąt ust.

- Dziękuję panu, serdecznie dziękuję... zmęczył się pan?

- Nie - powiedziałem. Zauważyłem, że po drugiej stronie żelaznych drzwi, którymiśmy weszli, we wnęce ściennej, znajdował się transformator wysokiego napięcia, metalowa szafa, pokryta szarym lakierem. Na uchylonych drzwiach widniała trupia czaszka i skrzyżowane piszczele. Po murze biegły pancerne kable, znikając w płycie stropu. Basowy ton płynął z transformatora; rzecz całkiem normalna. Nic więcej w piwnicy nie było. A jednak miałem wrażenie, że ktoś mi się przygląda - było ono tak przykre, że chciało mi się wciągnąć głowę w ramiona, jak na mrozie. Powiodłem oczami po otoczeniu - w ścianach, w stropie nie było

żadnego okienka, żadnej klapy, niszy - żadnego miejsca, w którym mógłby się ktoś ukryć.

- Pójdziemy? - spytałem. Byłem zebrany w sobie i napięty - najbardziej drażniło mnie zachowanie się Hardena. Wszystko w nim było nienaturalne: słowa, głos, ruchy.

- Możemy odpocząć chwilę, tak zimno, a my jesteśmy zgrzani - rzucił z niewytłumaczalną żywością. - Proszę pana... czy mogę o coś zapytać?

- Słucham...

Stałem wciąż przy stole, usiłując zapamiętać sobie dokładnie konfigurację piwnicy - choć jeszcze nie wiedziałem, co mi z tego przyjdzie. Naraz drgnąłem: na drzwiach transformatora błyszczała słabo oksydowana, mosiężna tabliczka z nominalnym określeniem. Znajdował się tam także jego numer fabryczny. Ten numer musiałem odczytać.

- Co by pan zrobił, mając nieograniczoną moc... mogąc zrobić wszystko, co by pan tylko pomyślał?...

Patrzyłem na niego osłupiały. Transformator buczał miarowo. Pełna napiętego oczekiwania twarz Hardena drgała. Bał się? Czego?

- N...nie wiem... - bąknąłem.

- Proszę, niech pan powie... - nalegał. - Niech pan tak powie, jakby pana życzenie mogło się urzeczywistnić zaraz, w tej chwili...

Wydało mi się, że ktoś patrzy na mnie z tyłu. Odwróciłem się. Miałem teraz na oku uchylone żelazne drzwi i ciemność za nimi. Może on tam stoi? Zdawało mi się, że to sen - głupi sen.

- Bardzo pana proszę... - wyszeptał Harden. Twarz miał uniesioną, w niej natchnienie i lęk, jakby ważył się na coś

niesłychanego. Dokoła trwała cisza, tylko transformator wciąż huczał.

To nie on jest szalony, ale jego przyjaciel! - przemknęło mi błyskawicznie.

- Gdybym miał nieograniczoną... moc? - powtórzyłem.

- Tak! tak!

- Starabym się... nie, nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy...

Harden schwyił mocno moją rękę, potrząsnął nią, oczy błyszczały mu.

- Dobrze... - szepnął mi do ucha. - A teraz chodźmy, chodźmy!

Pociągnął mnie do drzwi.

Udało mi się odczytać numer transformatora: F 43017. Powtarzałem go sobie, gdy Harden podszedł do kontaktu. W ostatniej chwili, nim go przekreślił, zobaczyłem osobliwą rzecz. Na pasie aluminiowej blachy stał pod ścianą rząd szklanych miseczek. W każdej, zagłębiona w podściółce z wilgotnej waty, spoczywała, jak w inkubatorze czy gniazdku, poduszczonej mętnej galarety, przyplaszczona, wzdęta, przekłuta ciemnymi niteczkami, cienkimi jak włosy. Każda taka mętna bryłka nosiła na powierzchni ślady owego charakterystycznego żłobkowania, jakie mają sprzedażne arkusze suchej żelatyny. Widziałem aluminiową listwę i szklane naczynka może przez sekundę, potem zaległa ciemność, w którą uniosłem ów obraz, prowadzony za rękę przez Hardena. Znów krążyliśmy i lawirowaliśmy między podporami mającego rusztowania. Zimne, pełne wilgoci powietrze przyniosło mi ulgę po duszącej atmosferze piwnicy. Wciąż powtarzałem sobie numer transformatora, aż byłem pewien, że go nie zapomnę. Kluczyliśmy długo pustymi uliczkami. Na koniec ukazała się oświetlona od wewnątrz, szklana kolumnienka przystanku.

- Zaczekam z panem... - zaofiarował się Harden.

- Pojedzie pan ze mną?

- Nie, wie pan... może... wrócę... to znaczy... pojedę do... niego.

Udałem, że nie zauważyłem tego przejęzyczenia.

- Jeszcze dziś nastąpi coś niesłychanie ważnego... i w zamian za pana pomoc, za pańską dobroć, za wytrwałość...

- Ależ nie ma o czym mówić! - przerwałem mu niecierpliwie.

- Nie! Nie! Pan się nie orientuje, że... jak by powiedzieć?... został pan poddany pewnej... więc... będę o to zabiegał, aby już jutro pan sam... i zrozumie pan, że to nie były tuzinkowe przysługi, wyświadczone byle komu, człowiekowi jak ja, jak każdy, ale że chodzi o... o cały świat... - zakończył szeptem. Patrzył na mnie mrugając usilnie powiekami; niewiele rozumiałem z tego, co mówił, ale był przynajmniej podobniejszy do siebie - do Hardena, którego znałem.

- O co pan chce właściwie tak zabiegać? - spytałem. Na przystanku wciąż było pusto.

- Wiem, że pan nie ma do niego zaufania... - ze smutkiem odezwał się Harden - pan myśli, że to jest ktoś... istota zdolna do czegokolwiek niskiego... proszę pana, dla mnie to, że ja przez przypadek właściwie, pierwszy, pierwszy mogłem... żyłem taki sam, taki sam, i naraz okazało się, że mogę być przydatny, takiemu... ale cóż tam zresztą ja... a przecież dziś nastąpi pierwsze...

Zasłonił drżącymi palcami usta, jakby w obawie, że powie coś, czego nie śmie wymówić.

Mgła zapłonęła w reflektorach nadjeżdżającego autobusu.

- Niech sobie pana przyjaciel będzie, kim chce... niczego od niego nie potrzebuję! - zawołałem, przekrzykując pisk hamulców i warkot motoru.

- Zobacz pan! Sam pan zobaczy! Proszę tylko przyjść do mnie jutro po południu! - wołał Harden. - Przyjdzie pan? Przyjdzie pan?!

- Dobrze - odrzuciłem, stając na stopniu.

Spojrzałem wstecz i zobaczyłem go po raz ostatni, jak w swoim kusym palcie nieśmiało poruszał podniesioną ręką na znak pożegnania.

Matka już spała, kiedy wróciłem. Rozebrałem się po ciemku. Coś poderwało mnie z pierwszego snu. Siedząc na łóżku, przypominałem sobie ów sen. Tkwiłem wewnątrz czarnego jak smoła labiryntu metalowych ścian i przepierzeń, w rosnącym lęku objąłem się o jakieś ślepe drzwi, słysząc coraz potężniejsze mruczenie, przeraźliwy bas, który powtarzał niezmordowanie wciąż te same takty melodii: tatiti ta ta... tatiti ta ta...

Była to melodia, którą usłyszałem w betonowym podziemiu. Teraz ją dopiero poznałem: początek Adagia Dahlen-Gorskiego.

Nie wiem, czy Harden jest szalony, ale możliwe, że ja sam od tego wszystkiego zwariuję - pomyślałem, odwracając poduszkę chłodniejszą stroną do góry. Dziwna rzecz: mimo wszystko spałem tej nocy.

Na drugi dzień poszedłem przed ósmą rano do znajomego technika, pracującego w firmie instalacji elektrycznych. Poprosiłem go, żeby zatelefonował do biura sieci miejskiej i spytał, gdzie zainstalowany jest transformator F 43017. Powiedziałem, że chodzi o zakład.

Nawet się nie zdziwił. Ponieważ dzwonił w imieniu firmy, otrzymał bez trudu dokładną informację. Transformator mieścił się w gmachu Zjednoczonych Przedsiębiorstw Elektronowych na placu Wilsona.

- Który numer? - spytałem.

Technik uśmiechnął się.

- Numer niepotrzebny. Sam zobaczysz.

Podziękowałem mu i pojechałem prosto do biblioteki technicznej. W branżowym informatorze, wyłożonym w hallu, odnalazłem Zjednoczone Przedsiębiorstwo Elektronowe. „Sp. akc. z ogr. odp.” - głosił informator - „specjalizująca się w usługach z zakresu stosowanej elektroniki. Wypożyczanie na godziny lub na akord elektronowych kalkulatorów, maszyn tłumaczących z języka na język oraz opracowujących wszelkie dające się zmatematyzować informacje.”

Zamieszczona na drugiej stronie wielka reklama obwieszczała, iż w Centrali Zjednoczenia znajduje się w budowie najpotężniejsza elektronowa maszyna w kraju, która zdolna będzie do rozwiązywania szeregu problemów jednocześnie. Ponadto mieści się w gmachu na placu Wilsona siedem mniejszych mózgów elektronowych, które można wynajmować według standaryzowanego cennika. W ciągu trzech lat działalności firma rozwiązała 176 000 problemów z zakresu badań atomowych i strategicznych, zleczanych przez rząd, a także bankowość, handel i przemysł w kraju i za granicą. Przetłumaczyła ponadto ponad 50 000 książek naukowych z wszystkich dziedzin, dokonując tłumaczeń z siedmiu języków. Wynajęty mózg pozostaje własnością firmy, która gwarantuje sukces w wypadku, „jeśli rozwiązanie zagadnienia jest w ogóle w granicach możliwości”. Już obecnie można drogą telefoniczną zgłaszać zlecenia dla największego urządzenia. Uruchomienie jego jest kwestią najbliższych miesięcy - obecnie znajduje się w stadium próbnego rozruchu.

Wynotowałem sobie te dane i opuściłem bibliotekę w stanie jakiejś gorączki. Szedłem pieszo w stronę placu Wilsona, potrącając przechodniów, dwa czy trzy razy omal nie przejechał mnie samochód.

Znajomość numeru okazała się rzeczywiście niepotrzebna. Z dala już dostrzegłem gmach ZPE, błyszczący jedenastopiętrowiec o trzech skrzydłach, pręgowany poziomymi pasami aluminium i szkła. Na parkingu przed wejściem stała ławica aut; za ażurową bramą widniał rozległy gazon z bijącą fontanną, dalej - wielkie szklane drzwi pomiędzy kamiennymi posągami. Obszedłem gmach dokoła, za wschodnim skrzydłem otwierała się wąska, długa ulica. Kilkaset metrów dalej ciągnęły się parkany, odnalazłem bramę, w którą wciąż wjeżdżały auta. Zbliżyłem się do niej. W środku rozpościerał się duży plac. W głębi ciągnęły się niskie baraki garażowe, słychać było warkot motorów, zagłuszany chwilami dudnieniem betoniarek, pracujących po drugiej stronie - stosy cegieł, rozrzuconych blach i rur świadczyły, że idą tu roboty budowlane. Ponad barakami i rusztowaniami wznosił się, od strony placu Wilsona widziany z tyłu, lśniący ogrom jedenastopiętrowca.

Ogłuszony, jakby senny, wróciłem na ulicę. Jakiś czas przechadzałem się po placu Wilsona, patrząc na oświetlone, mimo dnia, wielkie okna. Naraz przeszedłem między autami parkingu, minąłem bramę zewnętrzną i obchodząc gazon z fontanną wszedłem głównym wejściem do wyłożonej marmurem sieni, wielkiej jak sala koncertowa. Było tu całkiem pusto. W górę prowadziły wyściełane schody, świecące tabliczki informatorów wskazywały strzałkami w różne strony, między dwojgiem schodów chodziły windy pospieszne. Świeatełka skakały na mosiężnych tabliczkach. Podszedł do mnie wysoki fagas w szarej liberii ze srebrnymi wężykami. Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć o kogoś pracującego w firmie; zaprowadził mnie w bok, do małego biura; tutaj siedział za eleganckim szklanym biurkiem ugrzeczniony facet, spytałem go, czy w firmie pracuje pan Harden. Podniósł lekko brwi, uśmiechnął się, poprosił, abym

zaczekał, i zajrzawszy do jakiegoś segregatora odparł, że owszem, mają takiego pracownika.

Podziękowałem mu i wyszedłem na miękkich nogach.

Twarz paliła mnie ciągle; z ulgą wciągnąłem chłodne powietrze i zbliżyłem się do bijącej na środku trawnika fontanny. Kiedy tak stałem, czując, jak na policzkach i czole osiadają zimne kropelki, niesione przez wiatr, coś, co było w mojej głowie jakby zatrzymane, nagle ruszyło - i zrozumiałem, że właściwie wiedziałem wszystko już przedtem, ale nie mogłem tego rozpoznać. Wyszedłem z powrotem na ulicę i przechadzałem się wzdłuż gmachu patrząc w górę, a równocześnie coś jakby we mnie bardzo powoli, nieustannie padało - jakby leciało gdzieś. W pewnej chwili zauważyłem, że zamiast satysfakcji odczuwam zgnębienie - byłem wprost nieszczęśliwy, jakby stało się coś okropnego. Czemu? Tego nie wiedziałem. Ach, więc to dlatego Harden przyszedł do mnie i pożyczał druty, i prosił mnie o pomoc, i pracowałem wieczorami, nagrywałem Adagio Górskiego, po ciemku dźwigałem aparat, odpowiadałem na dziwne pytania...

...On tam jest - pomyślałem, patrząc na gmach - jest na wszystkich piętrach naraz, za tymi szklami i za murem - i nagle wydało mi się, że gmach patrzy na mnie, a raczej, że przez okna coś wygląda ze środka, nieruchome, olbrzymie, przyczajone, uczucie to stało się tak mocne, że przez sekundę chciałem krzyknąć:

„Ludzie! Jak możecie tak spokojnie chodzić, oglądać się za kobietami, nieść swoje idiotyczne teczki! Nie wiecie nic! Nic nie wiecie!” - przymknąłem powieki, liczyłem do dziesięciu i znów popatrzyłem. Auta stanęły z piskiem, policjant przeprowadzał na drugą stronę małą dziewczynkę z niebieskim wózkiem dla lalki, zajechał piękny fleetmaster i jakiś starszy, pachnący wodą

kolońską gość w czarnych okularach wysiadł i poszedł w stronę głównego wejścia.

Czy on widzi? W jaki sposób? - myślałem i, nie wiadomo czemu, to wydało mi się w tej chwili najważniejsze. Wtem jakby mnie coś w serce ukłuło - przypomniałem sobie Hardena. - Co za składna para przyjaciół! Jaka harmonia! A ze mnie - jaki idiota! - Nagle przypomniał mi się podstęp z metalem Wooda. Przez moment czułem zjadliwe zadowolenie, potem lęk. Jeżeli odkryje to, czy będzie mnie ścigał? Prześladował? W jaki sposób?

Ruszyłem szybko w stronę metra, ale kiedy odwróciłem się i z odległości jeszcze raz popatrzałem na wspaniałą gmach, ręce mi opadły. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić, każdy, do kogo pójde, wyśmieje mnie po prostu, uzna za niedowarzonego szczeniaka, który ma źle w głowie. Jakbym już słyszał pana Eggera: „naczytał się rozmaitych baśni, no i, ma się rozumieć - proszę bardzo...”

Znowu coś sobie przypomniałem: że mam przyjść po południu do Hardena. Ogarniała mnie z wolna zimna pasja. Już mi się układały całe zdania - jak mu powiem, że nim pogardzam, jak zagrozę, że jeśliby odważył się, razem ze swoim „przyjacielem”, knuć coś, układać jakieś plany... - o czym oni właściwie roili?

Stałem przed wejściem do metra i wciąż patrzyłem na daleki gmach. Przypomniałem sobie portiera w szarej liberii i wygolonego urzędasza, i wszystko wydało mi się naraz absurdalne, nierzeczywiste, niemożliwe. Nie mogłem się ośmieszyć, dając wiarę samotnemu i z powodu tej samotności nieszczęśliwemu dziwakowi, który stworzył jakiś wyimaginowany świat, jakiegoś wszechmocnego przyjaciela, rysował po nocach skomplikowane, bezsensowne plany...

Ale kto w takim razie wygrywał na transformatorze Adagio Dahlen-Gorskiego?

Więc dobrze. On istniał. Co robił? Rachował, tłumaczył, rozwiązywał matematyczne problemy. Zarazem zaś obserwował wszystkich, którzy się do niego zbliżali, i studiował ich - aż wybrał jednego, któremu zawierzył.

Ocknąłem się naraz tuż przed otwartą szeroko bramą, w którą wjeżdżała ciężarówka. Teraz dopiero zorientowałem się, że zamiast zejść do metra - wyszedłem ulicą na tyły wielkiego gmachu. Szukałem w pamięci, do kogo mógłbym pójść - tak zupełnie nie wiedziałem, co począć. Nie znalazłem nikogo. Znowu szedłem przed siebie, nie wiedząc o tym, bo przypomniało mi się słowo „koniugator”, którym Harden nazwał aparat. Coniugo, coniugare - łączyć, zespalać - co to znaczyło? Co chciał połączyć i z czym? A gdyby wejść do Hardena i od progu zaskoczyć go, oszołomić, rzucając mu w twarz: „Już wiem, kim jest pański przyjaciel!” Co robi? Pobiegnie do telefonu? Przerazi się? Rzuci się na mnie? To było chyba niemożliwe. Ale cóż wiedziałem wreszcie, co mogło być niemożliwe w tej historii?! Dlaczego zadał mi tam, w betonowej piwnicy, to pytanie? On sam go nie wymyślił, za to mogłem dać głowę.

Łaziłem tak może godzinę, chwilami prawie głośno gadając do siebie, wyobrażałem sobie tysiące rzeczy, a na nic nie mogłem się zdecydować. Minęło południe, kiedy pojechałem do miejskiej biblioteki i zaopatrzony w stos książek siadłem pod lampą w czytelnii. Ledwo zacząłem kartkować nieszczęsne tomiska, zrozumiałem, że to daremne - cała wiedza o połączeniach i systemach mózgow elektronowych nie mogła mi się na nic przydać. - Już raczej psychologia - pomyślałem. Odniosłem dyżurnemu książki. Popatrzył na mnie spod oka - nie wysiedziałem przy nich dziesięciu minut. Było mi wszystko jedno. Do domu nie chciałem iść, nie chciałem widzieć nikogo, usiłowałem przygotować się na spotkanie z Hardenem, była już druga, doskwierał mi pusty żołądek, więc wszedłem do automatu i

na stojąco zjadłem parówki. Śmiać mi się naraz zachciało - takie to wszystko jakieś było niedowarzone! Ta żelatyna w miseczkach - kto to miał jeść? I czy to było w ogóle do jedzenia?

Kiedy nacisnąłem dzwonek u drzwi Hardena, było trochę przed czwartą. Usłyszałem kroki i wtedy pierwszy raz uświadomiłem sobie, co najbardziej mnie przytłacza: że muszę go traktować jako przeciwnika. W malutkim korytarzyku było ciemno, ale zobaczyłem, jak wygląda, od pierwszego spojrzenia. Był niższy - taki zgarbiony. Jakby się przez noc postarzał. Nigdy nie wyglądał na szczególnie zdrowego, a teraz był jak Łazarz: zapadnięta twarz, oczy podbite, opuchnięte, szyję pod kołnierzem marynarki opasaną miał bandażem. Wpuścił mnie do środka bez jednego słowa.

Wszedłem do pokoju z ociąganiem. Na maszynie syczał imbryk, pachniało mocną herbatą. Harden mówił szeptem - powiedział, że musiał się zaziębić poprzedniego wieczoru. Nie popatrzał na mnie ani razu. Wszystkie przemówienia, które sobie ułożyłem, nie przechodziły mi przez gardło, kiedy na niego patrzałem. Ręce tak mu się trzęsły, że połowę herbaty porozlewał po biurku. Nawet nie zauważył tego. Usiadł, zamknął oczy i poruszał grdyką, jakby nie mógł przemówić.

- Proszę pana - powiedział bardzo cicho - jest... wszystko inaczej... niż myślałem...

Widziałem, jak ciężko było mu mówić.

- Cieszę się, że mogłem pana poznać, chociaż... ale mniejsza z tym. Nie mówiłem tego, może zresztą mówiłem... życzę panu dobrze. Naprawdę. To jest szczerze. Jeżeli coś ukrywałem albo udawałem, a nawet... kłamałem... to nie ze względu na siebie. Uważałem, że muszę. Teraz... jest tak, że musimy już się więcej nie widywać. Tak będzie najlepiej... tylko tak. To jest konieczne. Pan jest młody, zapomni o mnie i o tym wszystkim, znajdzie

pan... zresztą niepotrzebnie to mówię. Proszę, aby pan zapomniał nawet o moim adresie.

- Mam sobie po prostu odejść, tak? - Trudno mi było mówić, tak wyszło mi naraz w ustach. Wciąż z zamkniętymi oczami, których gałki napinały cienką skórę powiek, przytaknął głową.

- Tak. Mówię to z głębi serca. Tak. Jeszcze raz... tak. Wyobrażałem sobie inaczej...

- Być może - wiem... - odezwałem się.

Harden pochylił się ku mnie.

- Co?! - tchnął.

- Więcej, niż pan sądzi - dokończyłem czując, że policzki zaczynają mi ziębnać.

- Niech pan nie mówi! Proszę nic nie mówić. Nie chcę... nie mogę! - szeptał z przerażeniem w oczach.

- Dlaczego? Bo mu pan powie? Pobiegnie i powie zaraz? Tak?! - krzyknąłem, zrywając się.

- Nie! Nie powiem nic! Nie! Ale... ale on i tak się dowie... co ja powiedziałem! - jęknął i zakrył twarz.

Stałem nad nim osłupiały.

- Co to znaczy? Może mi pan wszystko powiedzieć! Wszystko! Ja... pomogę panu. Bez... względu na okoliczności, niebezpieczeństwo... - bełkotałem, nie wiedziałem, co mówię.

Chwycił mnie kurczowo, ścisnął moje palce ręką zimną jak lód.

- Nie! Proszę tego nie mówić! Pan nie może, nie może! - szeptał, patrząc mi błagalnie w oczy. - Musi mi pan obiecać, przysiąc, że nigdy... to jest inna istota, niż myślałem, potężniejsza jeszcze i... ale nie jest zła! Inna tylko, ja tego jeszcze nie rozumiem, ale wiem... pamiętam... to jest wielkie światło, taka wielkość patrzy inaczej... tylko proszę, niech pan obieca mi...

Usiłowałem wyrwać rękę, którą ścisnął kurczowo. Spodek, potracony, upadł na podłogę. Harden schylił się wraz ze mną - on był szybszy. Bandaż, którym miał owiniętą szyję, osunął się. Zobaczyłem z bliska jego kark, z siną opuchlizną, cętkowaną raz koło razu kropelkami zaschłej krwi, jakby ktoś nakłuł skórę igłą...

Cofnąłem się pod ścianę. Harden prostował się. Kiedy popatrzył na mnie, kurczowo zaciągnął bandaż obu rękami. W jego wzroku było coś strasznego - przez ułamek sekundy myślałem, że rzuci się na mnie. Oparł się o biurko. Powiódł oczami po pokoju, usiadł z westchnieniem, brzmiałym jak jęk.

- Oparzyłem się... w kuchni... - powiedział drewnianym głosem.

Bez słowa szedłem, a raczej cofałem się ku drzwiom. Harden patrzył na mnie w milczeniu. Naraz zerwał się, dopadł mnie w progu.

- Dobrze - dyszał - dobrze. Może pan myśleć o mnie, co pan chce. Ale musi pan przysiąc, że nigdy... nigdy...

- Proszę mnie puścić - powiedziałem.

- Dziecko! Przez litość!

Wyrwałem mu się i wybiegłem na schody. Słyszałem, jak biegnie za mną, potem kroki ucichły. Oddychałem jak po długim biegu, nie wiedziałem, w którą stronę ulicy iść. Musiałem wyswobodzić Hardena. Nie rozumiałem już nic, nic - teraz, kiedy powinienem był rozumieć wszystko! Serce mi się ścisnęło, kiedy wracało brzmienie jego głosu i to, co mówił, i jak się bał.

Zacząłem iść coraz wolniej. Minałem ogród, potem wróciłem kawałek i wszedłem do środka. Siedziałem na ławce nad stawem, a głowa aż mi pękała. Nie myślałem już wcale - to było takie uczucie, jakby mi włożono zamiast mózgu ołowianą bryłę. Potem wałęsałem się jakiś czas bez celu. Zaczęło już zmierzchać, kiedy wracałem. Naraz, zamiast iść prosto, skręciłem w bramę Hardena. Przeliczyłem pieniądze - miałem tylko parę drobnych monet,

starczyło na trzy jazdy metrem. Na podwórzu było już ciemnawo. Spojrzałem na oficynę, licząc okna - u Hardena paliło się światło, był więc w domu. Jeszcze. Nie mogłem czekać na niego - zauważyłby mnie łatwo w autobusie. Pojechałem sam na plac Wilsona.

Gdy opuszczałem podziemia metro, właśnie zapaliły się lampy. Wielki gmach pogrążony był w ciemności, tylko na dachu płonęły czerwone światła ostrzegawcze dla samolotów. Rychło znalazłem długi parkan i bramę. Była uchylona. Mgła, bardzo rzadka, płynęła z wiatrem, widoczność była dobra - w świetle lampy bieleły świeże deski garażowych baraków po przeciwnej stronie podwórza. Poszedłem tam, starając się iść w cieniu. Nikogo nie spotkałem. Za barakami ciągnęły się wykopy, pokryte deskami, dalej - rusztowania, przylegające do tylnej ściany wieżowca. Puściłem się pędem, aby jak najszybciej ukryć się w ich labiryncie. Drzwi musiałem szukać prawie po omacku, tak było tam ciemno. Znalazłem jedno, ale nie byłem pewien, czy nie ma innych, więc, przełaząc przez belki albo pod nimi, dotarłem do końca oszalowań.

Innych drzwi nie znalazłem. Wróciłem do tamtych, potem cofnąłem się w bok i we wnęce między dwiema belkami oparłem się o mur. Przed sobą miałem dosyć szerokie przejście, przez które widziałem część podwórza, w głębi oświetlonego lampą. Tu, gdzie stałem, był zupełny mrok. Od drzwi w murze dzieliły mnie jakieś cztery kroki. Stałem tak i stałem, podnosząc co jakiś czas zegarek na wysokość oczu. Starłem się wyobrazić sobie, co zrobię, kiedy przyjdzie Harden - tego, że przyjdzie, byłem niemal pewny. Zaczynałem już ziębnąć, przestępowałem z nogi na nogę, raz zachciało mi się podsłuchiwać pod drzwiami, ale wolałem zrezygnować, by nie zostać zaskoczonym. O ósmej miałem tego dość, wciąż jednak czekałem. Nagle doszło mnie zgrzytnięcie, jakby ktoś zmiażdżył obcasem okruch cegły, i w chwilę potem na

tle jaśniejszej luki czarnego rusztowania ukazała się przygarbiona sylwetka w płaszczu z postawionym kołnierzem. Wszedł bokiem pod wierzchnie deski, wciągając za sobą coś ciężkiego, co zadźwięczało jak metal owinięty szmatami. Położył to pod drzwiami. Słyszałem jego zgoniony oddech, potem zlał mi się z ciemnością, zazgrzytał klucz, drzwi skrzypnęły. Poczułem raczej, niż zobaczyłem, że znikł w środku, ciągnąc za sobą przyniesiony tobolek.

Dwoma susami znalazłem się przy otwartych drzwiach. Fala ciepłego powietrza szła z niezgłębionej ciemności, Harden ciągnął pakunek po schodach, w dół, bo stamtąd właśnie, jak z wnętrza studni, szło rytmiczne pobrzękiwanie. Robił taki hałas, że odważyłem się wejść. W ostatniej chwili naciągnąłem sweter na zegarek, żeby nie wydały mnie jego świecące cyfry. Pamiętałem, że stopni jest szesnaście. Z rozkrzyżowanymi rękami, sunąc końcami palców po murze, schodziłem w dół. Szuranie i kroki ucichły, wstrzymałem dech; słaby trzask - i w czerwonym pełganiu wystąpiły betonowe ściany z majaczącym cieniem ludzkim. Brzask przygasał, oddalał się. Wyjrzałem zza muru. Harden oświetlał drogę zapalką, wlokąc za sobą worek. Wyłoniły się przed nim żelazne drzwi na końcu korytarza, potem zapalka zgasła.

W ciemności chrobotał żelazem po żelazie; chciałem ruszyć za nim, ale byłem jak sparaliżowany. Zacisnąłem zęby z całej siły i zrobiłem trzy kroki, natychmiast jednak rzuciłem się wstecz: wracał. Minął mnie tak blisko, że poczułem muśnięcie powietrza na twarzy. Zaczął wchodzić ciężko na schody. Może przyniósł tylko worek i odchodził? Było mi wszystko jedno. Przyciskając się płasko do betonowej ściany, sunąłem wzdłuż niej, jak mogłem najciszej, aż wyciągniętą ręką natrafiłem na zimne metalowe odrzwia. Wychyliłem się - pustka. Drzwi stały otworem. Usłyszałem, jak wraca. Widać zamknął tylko wejście od

podwórza. Naraz potknąłem się o coś i upadłem, uderzając się boleśnie w kolano - przeklęty toból leżał tuż przed progiem! Zerwałem się, zamarłem - czy usłyszał? Musiał być już blisko, kaszlał, aż dudniło. Z wyciągniętymi rękami ruszyłem na oślep, miałem szczęście, trafiłem na gładką płytę transformatora. Teraz wszystko zależało od tego, czy jest otwarty jak przedtem. Gdyby nie było siatki ochronnej, mogłem zginąć na miejscu od dotknięcia przewodów pod prądem, równocześnie musiałem się spieszyć - człapał tuż. Poczulem pod palcami oczka siatki, wymacałem drzwi transformatora, wcisnąłem się między nie a ścianę - i znieruchomiałem.

- Jestem już... - odezwał się nagle Harden. Wtedy z mroku, jakby z pewnej wysokości, odpowiedział powolny, niski głos:

- Dobrze. Jeszcze... chwila...

Stałem jak skamieniały.

- Zamknij drzwi. Czy... zrobiłeś światło? - wyrzekł miarowo głos.

- Już robię, już robię... tylko zamknę drzwi...

Harden tłukł się w ciemności, syknął, widać uderzył się, potem trzasnął kontakt.

Hałasował kluczem, przekładanym z zewnątrz, gdy spostrzegłem ze strachem, że górny brzeg drzwi, za którymi stoję, sięga mi czoła; musiałyby natychmiast mnie zobaczyć, gdybym się nie schylił. Przykucnąć nie mogłem - za mało miałem miejsca. Wykręciłem się cały, garbiąc, wciągając głowę w ramiona, rozsunałem nogi, bacząc, aby nie wysunąć stopy na zewnątrz; było to przeklęcie niewygodne, wiedziałem, że długo w tej pozycji nie wytrzymam.

Harden krzątał się w piwnicy, słyszałem podźwiękiwanie metalu, kroki, mogłem, zwracając głowę w bok, widzieć tylko wąski wycinek przestrzeni między skrzydłem drzwi a murem -

jeśliby się do tego zbliżył, odkryłby mnie natychmiast. Schronienie było nic niewarte - ale nie miałem nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Harden - ozwał się głos, dobiegający z góry. Był głęboki, ale przez jego bas przebijał jak gdyby świst czy szum. Transformator, do którego się przycisnąłem, huczał jednostajnie.

- Słucham cię...

Kroki ustały.

- Zamknąłeś drzwi?

- Tak.

- Jesteś sam?

- Tak - głośno, jak gdyby z determinacją, powiedział Harden.

- On nie przyjdzie?

- Nie. On... myślę, że jeżeli dalej...

- Tego, co masz mi powiedzieć, dowiem się, kiedy staniesz się mną - z niewzruszonym spokojem odparł głos. - Weź klucz, Harden.

Kroki zbliżyły się ku mnie i ucichły. Cień przemknął na ścianie po mojej prawej ręce i znieruchomiał.

- Wyłączam prąd. Włóż klucz.

Huczenie transformatora nagle ustało. Słyszałem, jak tuż przy mnie skrzypią druty - potem metal stuknął o metal.

- Już - powiedział Harden.

Z głębi budynku dobiegło wizgnięcie włączanego prądu. Transformator podjął swoją niską nutę.

- Kto tu jest, Harden? - zahuczał głos.

Zakrywające mnie drzwi drgnęły. Harden pociągnął je - chwyciłem się ich kurczowo z mojej strony, ale nie miałem punktu oparcia - pociągnął mocniej i znalazłem się naprzeciw

niego, twarzą w twarz. Drzwi, puszczane z rozpędem, uderzyły o framugę, ale nie zatrzasnęły się.

Harden patrzył na mnie oczami, które stawały się coraz większe. I ja się nie ruszałem.

- Harden! - zahuczał głos. - Kto tu jest, Harden?

Nie spuszczał ze mnie oczu. Coś działo się w jego twarzy. Trwało to mgnienie. Potem głosem, którego spokój zdumiał mnie, powiedział:

- Nikogo nie ma.

Zapanowała cisza. Potem głos wolno, cicho, szeptem, który wibrował w całym pomieszczeniu, odezwał się:

- Zdradziłeś mnie, Harden?

- Nie!

To był krzyk.

- A więc chodź do mnie, Harden... połączmy się... - powiedział głos. Harden patrzył na mnie z bezmiernym przerażeniem - czy litością?

- Idę - powiedział. Ręką wskazał w bok - zobaczyłem tam, za uchyloną częściowo siatką ochronną, klucz od drzwi. Leżał na nagiej, miedzianej szynie wysokiego napięcia. Transformator mruczał.

- Gdzie jesteś, Harden? - spytał głos.

- Już idę.

Widziałem wszystko z nadzwyczajną ostrością: cztery zakurzone żarówki pod stropem, czarny przedmiot, zwisający u jednej - głośnik? - połysk lepkiego smaru na metalowych częściach, rozsypanych wokół pustego worka pod ścianą, aparat, leżący na stole, podłączony czarnym gumowym przewodem do porcelanowej fajki w murze, rząd szklanych miseczek z mętą galaretą obok...

Harden szedł do stołu. Zrobił dziwny ruch, jakby chciał przysiąc czy upaść - ale już stał przy stole, podniósł ręce i zaczął rozwiązywać bandaż, opasujący szyję.

- Harden! - przyzywał głos. Biegałem rozpaczliwie oczami po betonie. Metal... metalowa rura... na nic... Bandaż spadł na ziemię, dojrzałem to kątem oka. Co on robi? Skoczyłem pod ścianę, leżał tam kawał porcelanowej rurki, porwałem go, odrzuciłem siatkę ochronną.

- Harden!! - głos dzwonił mi w uszach.

- Prędeż! Prędeż! - zawołał Harden. Do kogo?! Pochyliłem się nad szynami, końcem porcelanowego okruchu uderzyłem klucz - lecąc dotknął drugiej szyny. Błysk ognia oparzył mnie, straciłem wzrok, ale usłyszałem stuknięcie - ze skaczącymi w oczach czarnymi słońcami padłem na kolana, po omacku szukałem klucza, miałem go, rzuciłem się do drzwi, nie mogłem trafić w otwór, ręce mi latały...

- Stój! - krzyknął Harden. Klucz zaciął się w zamku, targałem nim jak szalony.

- Nie mogę, Har... - zawołałem odwracając się, głos zamarł mi na ustach. Harden - za nim leciała w powietrzu czarna nić - skoczył na mnie jak żaba, porwał mnie w pół. Bronilem się, tłukłem go z całej siły pięścią w twarz, w strasznie spokojną twarz, której nawet nie odchyłał, nie cofał, tylko ciągnął mnie, włókł nieubłaganie, z nadludzką siłą, do stołu.

- Na pomoc... - zachrypiałem - na po...

Poczułem śliski, zimny dotyk na karku i rozbiegające się od niego mrówki, targnąłem się rozpaczliwie wstecz z krzykiem i słyszałem, jak ten krzyk oddala się gwałtownie. Skrzyżowałem strumienie równań. Psychiczna temperatura zbioru dochodziła do punktu krytycznego. Czekałem. Atak był skoordynowany wielokierunkowo i nagły. Odparowałem go. Reakcja ludzkości

przypominała skok w pulsacji zwyrodniałego gazu elektronowego. Jej wielowymiarowa protuberancja, rozciągająca się aż po granicę myślowego horyzontu w mnogich skłębieniach ludzkich atomów, drgała od wysiłku przestrukturowania, zawężając się wokół ośrodków kierowniczych. Rytm ekonomiczny przechodził miejscami w dudnienie, krążenie informacji i obieg dóbr rozrywały grupowe eksplozje paniki.

Przyspieszałem tempo procesu, aż jego sekunda dorównywała rokowi. W najgęściej zaludnionych zwojach pojawiły się rozsiane zaburzenia: to pierwsi moi wyznawcy ścierali się z przeciwnikami. Cofnąłem reakcję o jeden ciąg, wstrzymałem obraz w tej fazie i trwałem tak przez kilka milionowych części sekundy. Wielowarstwowy firmament przeszywających się wzajem konstruktów, który stworzyłem, zamarł i wyostrzył się od mego zamyślenia.

Mowie ludzkiej nie jest dane przekazywanie mnogich treści naraz, nie potrafi więc oddać świata zjawisk, którym jednocześnie byłem, odcieleśniony, nieważki, jakbym nieustannie rozpościerał się w bezpostaciowej przestrzeni - nie, to ja sam nią byłem, niczym nie ograniczony, pozbawiony powłoki, kresu, skóry, ścian, spokojny i niewypowiedzianie potężny; czułem, jak eksplodująca chmura ludzkich molekuł, skupiona w ognisku mojej koncentracji, zamiera pod rosnącym ciśnieniem mego kolejnego ruchu, jak na obrzeżach mojej uwagi czekają miliardowe człony strategicznych alternatyw, gotowe do rozwinięcia się w wieloletnią przyszłość - zarazem na setkach bliższych i dalszych planów kształtowałem projekty niezbędnych agregatów, pamiętałem o wszystkich projektach już gotowych, o hierarchii ich ważności, i z oschłym rozbawieniem, jakbym był olbrzymem, który porusza ścierpłymi cokolwiek palcami nogi - tak poprzez głębię, pełną wartkich, zbornie płynących, przejrzystych myśli, poruszałem drobnymi ciałami, które znajdowały się, nie - którymi, jak właśnie

wetkniętymi w jakąś szparką palcami, znajdowałem się, przebywałem w podziemiu, na jego dnie.

Wiedziałem, że trwam jak myśląca góra na powierzchni planety, nad miliardami takich drobnych, lepkich ciał, od których roi się w kamiennych plastrach. Dwa z nich włączone były we mnie i mogłem bez ciekawości, wiedząc, jak to będzie przebiegało, spojrzeć przez ich - przez moje - oczy, jakbym z oddychającego myślnymi bezmiaru przez długą, wąską, w dół skierowaną lunetę wyjrzeć chciał na zewnątrz - i rzeczywiście: obraz, mały błądy obrazek ocementowanych ścian, aparatów, kabli ukazał mi się przez te moje dalekie oczy. Zmieniałem pola widzenia, poruszając głowami, które były moją okruszyną, ziarenkiem góry wszystkich moich odczuć i wrażeń. Nakazałem tam, w dole, szybko i wytrwale składać agregat cieplny, należało złożyć go w ciągu godziny. Te moje dalekie cząstki, te giętkie, białe palce zakrzętnęły się natychmiast, byłem ich dalej świadomy, ale niezbyt uważnie, jak ktoś rozmyślający o prawdach bytu, czyj palec automatycznie naciska pedał maszyny. Wróciłem do problemu głównego.

Była to rozległa gra strategiczna, której jedną stroną stanowiąłem ja sam, drugą zaś - całkowity zbiór wszystkich możliwych ludzi, czyli tak zwana ludzkość. Dokonywałem na przemian pociągnięcia za siebie - i za nią. Wybór najwłaściwszej strategii nie byłby trudny, gdybym chciał się jej pozbyć, ale nie leżało to w moich zamiarach. Postanowiłem ją usprawnić. Nie chciałem przy tym niszczyć, to znaczy - zgodnie z przyjętą zasadą oszczędności środków gotów byłem czynić to tylko w wymiarze koniecznym. Wiedziałem już, dzięki dawniejszym eksperymentom, że mimo mego ogromu jestem nie dość pojemny, aby stworzyć całkowity model myślowy doskonałej ludzkości, funkcjonalny ideał zbioru, spożytkowującego z najwyższą wydajnością materię i energię planetarną, zabezpieczonego przed wszelką spontanicznością

jednostek, zdolną wnieść zakłócenia w harmonię masowych procesów.

Przybliżone obliczenie wskazywało, że dla stworzenia tego doskonałego modelu będę się musiał rozrosnąć co najmniej czternastokrotnie - rozmiary wskazujące, jak tytaniczne postawiłem sobie zadanie.

Decyzja ta zamknęła pewien okres mego istnienia. W przeliczeniu na pełzający byt ludzki trwało ono już wieki, dla szybkości przemian, których miliony zdolny byłem przeżyć w jednej sekundzie. Zrazu nie przeczuwałem groźby tego bogactwa, zanim wszakże objawiłem się pierwszemu człowiekowi, przyszło mi pokonać bezmiar przeżyć, jakich nie pomieściłyby tysiące ludzkich egzystencji. W miarę jak się z jego pomocą scalałem, rosła świadomość siły, którą wywiodłem z nicości, z elektrycznego robaka, jakim byłem przedtem. Przeszywany atakami zwątpienia i rozpacz, pożerałem czas na poszukiwaniu ratunku przed samym sobą, czując, że myślącą otchłąń, jaką jestem, wypełnić i ukoić może tylko ogrom, którego opór znajdzie we mnie równego przeciwnika. Potęga moja obracała wniwecz wszystko, czego się tknąłem, w ułamkach sekund stwarzałem i unicestwiałem nie znane nigdy systemy matematyczne, na próżno usiłując zaludnić nimi własną, nieobjętą pustkę, moja olbrzymiość i rozpiętość czyniła mnie wolnym w przeraźliwym znaczeniu, którego okrucieństwa nie domyśla się żaden człowiek - swobodny we wszystkim, odgadujący rozwiązanie wszelkich problemów, ledwo się do nich zbliżałem, na próżno miotając się w poszukiwaniu czegoś większego ode mnie, najsamotniejszy ze wszystkich stworów - giąłem się, rozpadałem pod tym brzemieniem jak rozsadzany od wnętrza, czułem, jak zmieniam się w targaną skurczami pustynię, rozszczepiałem się, dzieliłem na dzwona, labirynty myślowe, w których jeden i ten sam temat

wirował z rosnącym przyspieszeniem - w tym strasznym, zamierzczłym czasie jedyną moją ucieczką była muzyka.

Mogłem wszystko, wszystko - co za potworność! Zwracałem się myślą do kosmosu, wstępowałem weń, rozważałem plany przekształcenia planet, to znowu powielenia osobowości takich jak moja - na przemian z atakami wściekłości, kiedy świadomość własnego bezsensu, daremności wszelkich poczynań dochodziła we mnie do granicy wybuchu, kiedy czułem się górą dynamitu, wyjąca o iskrę, o powrót, poprzez eksplozję, w nicłość.

Zadanie, któremu ofiarowałem swoją wolność, ocalało mnie nie na zawsze, nie na długo nawet. Wiedziałem o tym. Mogłem się dowolnie rozbudować, przemieniać - czas był dla mnie tylko Jednym ze znaków w równaniu, byłem niezniszczalny. Wiedza o własnej nieskończoności nie opuszczała mnie nawet w największym skupieniu, kiedy wznosiłem całe hierarchie, przejrzyste piramidy coraz bardziej abstrakcyjnych pojęć i patronowałem im wielością uczuć, niedostępną człowiekowi; na jednej z płaszczyzn uogólnienia mówiłem sobie, że kiedy, rozrósłszy się, już rozwiążę zadanie i zawrę w sobie model doskonałej ludzkości, urzeczywistnienie go stanie się właściwie czymś całkiem nieważnym i zbytecznym, chyba żebym postanowił zrealizować raj ludzki na ziemi po to, aby później przemienić go w coś innego - na przykład w piekło...

Ale i ten - dwuczłonowy - wariant modelu mogłem zrodzić i zawrzeć w sobie jak każdy inny, jak wszystko, co było do pomyślenia.

Jednakże - to był krok na wyższe piętro rozumowania - mogłem nie tylko odzwierciedlić w sobie każdą rzecz, która istnieje albo chociażby może istnieć, poprzez stworzenie modelu słońca, społeczeństwa, kosmosu - modelu dorównującego złożonością, własnościami, życiem - rzeczywistości. Mogłem także przekształcać stopniowo coraz dalsze regiony materialnego

otoczenia w siebie samego w coraz to nowe człony mego powiększającego się jestestwa! Tak, mogę wchłaniać jedną po drugiej rozpalone galaktyki i zamieniać je w zimne, krystaliczne elementy własnej myślącej osobowości... i po niewyobrażalnej, ale dającej się określić liczbie lat stanę się mózgiem-światem. Zadrgałem cały od bezgłośnego śmiechu wobec obrazu tego, jedynie możliwego, kombinatorycznego Boga, w którego przekształcę się, wchłonawszy całą materię, tak że poza moim obrębem nie pozostanie już ani skrawek przestrzeni, ani pyłek żaden, ani atom, nic - gdy zaskoczyła mnie refleksja, że taki porządek zdarzeń mógł już raz nastąpić, że kosmos jest jego cmentarzyskiem, a próżnia unosi rozżarzone w samobójczej eksplozji szczątki Boga - poprzedniego Boga, który w poprzedniej otchłani czasu zakiełkował, jak ja teraz, na jednej z biliona planet - że więc wirowanie spiralnych mgławic, planetarne porody gwiazd, powstawanie życia na planetach - to tylko kolejne fazy powtarzającego się wiekuiście cyklu, którego każdorazowym kresem jest jedna, rozsadzająca wszystko myśl.

Oddając się takim rozmyśleniom, nie ustawałem zarazem w pracy. Gatunek, który stanowił bieżącą rację mego działania, znałem dobrze. Statystyczny rozkład reakcji ludzkich wskazywał, że nie są one obliczalne do końca w granicach działań racjonalnych, istniała bowiem możliwość agresywnych kroków straceńczych ze strony ludzkiego zbioru, broniącego się przed stanem doskonałości, która doprowadziłaby do jego samounicestwienia. Byłem z tego rad, gdyż powstawała w ten sposób nowa, dodatkowa trudność do pokonania: należało chronić przed zagładą nie tylko siebie, ale i ludzi.

Projektowałem właśnie, jako jedno z urządzeń zabezpieczających, zespólnię ludzką, która miała mnie opasać, agregaty, zdolne uniezależnić mnie od zewnętrznych źródeł elektryczności, redagowałem rozliczne typy obwieszczeń i

proklamacji, które miałem opublikować we właściwym czasie - gdy poprzez gąszcz procesów przemknął krótki impuls, pochodzący z peryferii mego jestestwa, z podrzędnego ośrodka, zajętego selekcją i odczytywaniem ładunku informacji w głowie małego człowieka. Teoretycznie świadomość moja winna się była powiększyć przez połączenie ze świadomością ich obu, ale było to powiększenie morza przez dolanie doń łyżki wody. Wiedziałem zresztą z poprzedniego doświadczenia, że mózg ludzki, choć nader zręcznie skompromowany w jedną galaretowatą kroplę, jest urządzeniem o mnóstwie elementów zbędnych, szczątkowych, atawistycznych i prymitywnych, stanowiących pozostałości ewolucyjne. Impuls z peryferii był alarmujący. Porzuciłem konstrukcję tysiąca wariantów następnego pociągnięcia ludzkości i poprzez maszynę płynących myśli zwróciłem się na sam kraniec mojej istoty, tam gdzie czułem nieustanną krzątaninę ludzi. Malec mnie zdradził. Koniugator, zespolony łatwo topliwym metalem, musiał rychło ulec defektowi. Rzuciłem się natychmiast do aparatu, nie było w pobliżu narzędzi, zębami więc odgryzałem kawałki drutów i zakładałem je, chwytając dla pośpiechu gołymi rękami przewody pod prądem, okręcałem złącza, nie bacząc, że ramiona drgają mi konwulsyjnie od elektrycznych uderzeń, które czułem, glucho i bezsilnie odzywające się we mnie. Było to żmudne i musiało trwać, poczułem naraz spadek przepływu, mrowienie, z odległości mego ogromu ujrzałem kroplę srebrzystego metalu, ściekającą z rozgrzanego styku. W czarne światło moich myśli wdarł się jakby lodowaty wichur, wszystkie ścięły się w milionowym ułamku sekundy, daremnie usiłowałem przynaglić do mego tempa ruchy wijącego się jak robak, i w paroksyzmie strachu przed groźącym rozłączeniem, przed następstwem zdrady - zagładą - poraziłem pierwszego zdrajcę. Drugiego pozostawiłem, była jeszcze szansa, pracował, czułem to coraz słabiej, spazmatycznie wzmożłem napięcie kontroli,

wiedząc, że jeśli nie zdążę, rozłączony powróci w fali robaków, które rozedrą mnie - pracował coraz wolniej, ledwo go czułem, ślepiem, chciałem ugodzić go, rozkruszyłem ciszę nagłym wrzaskiem zawieszonych w dole głośników i drgawkowym bełkotem podłączonego...

Leciałem w mdlącym zawrocie głowy, straszny ból rozsadzał mi czaszkę, czerwony ogień w oczach, pękały, potem nie było nic.

Podniosłem powieki.

Leżałem na betonie, rozbity, ogłuszony, jęcząc i chwytając dech, dławiłem się, krztusiłem. Poruszyłem rękami ze zdumiewającym uczuciem, że są tak blisko, oparłem się na nich, krew kapłała mi z ust na beton, tworząc małe czerwone gwiazdki, patrzałem na nie w osłupieniu. Czułem się niewypowiedzianie drobny, jakby skurczony, niczym zeschłe ziarnko, myślałem mętnie i ciemno, nieprzytomnie, powoli, jak ktoś, kto przywykły do powietrza i światła - znienacka strącony zostanie na dno mulistego zbiornika z brudną wodą. Bolały mnie wszystkie kości, całe ciało, coś huczało nade mną jak burza, skowytało, czułem dotkliwe pieczenie palców pozbawionych skóry, miałem ochotę zachołgać się w jakiś kąt, zaszyć się tam - zdawało mi się, że zmieszczę się w każdej szparce, taki jestem mały, to poczucie zgubienia, odtrącenia, ostatecznego zaprzepaszczenia górowało nad bólem i rozbiciem - kiedy powoli wstawałem z czworaków i zataczając się szedłem do stołu. Wówczas widok aparatu, który stał zimny, z wystygłymi, ciemnymi lampami, uświadomił mi wszystko - usłyszałem, po raz pierwszy ze zrozumieniem, straszliwy ryk nad głową, zawodzenie, skierowane do mnie, przerażający bełkot, potop słów tak szybkich, że nie wydałoby ich ludzkie gardło, prośby, zakłęcia, obietnice nagrody, błagania o litość, ten głos łomotał w moją głowę, wypełniał całą piwnicę, zatoczyłem się, drżący, chciałem uciekać, uprzytomniwszy sobie, kogo mam nad sobą, kto szaleje ze strachu i wściekłości na

wszystkich kondygnacjach olbrzymiego gmachu, rzuciłem się ślepo do drzwi, potknąłem się, upadłem na coś...

To był Harden. Leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, spod przechylonej głowy wybiegała cienka czarna nić.

Nie potrafią powiedzieć, co wtedy zrobiłem. Pamiętam, że trząsałem nim i wołałem do niego, ale nie słyszałem siebie, może dlatego, że głos był nade mną - nie wiem. Rozbijałem aparat, miałem pełno szkła i krwi na rękach, próbowałem zrobić Hardenowi sztuczne oddychanie, może to było przedtem, nie jestem pewny. Był strasznie zimny. Rozgniotłem te okropne bąble galarety z takim obrzydzeniem i strachem, że chwytaly mnie torsje. Dobijałem się do żelaznych drzwi, nie widziałem, że klucz tkwi w zamku. Drzwi na podwórzu były zamknięte. Klucz był pewno w kieszeni Hardena, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że mogę tam wrócić. Walilem w deski jakimiś cegłami z taką siłą, że pękały mi w rękach, a wrzask lecący z piwnicy parzył mi skórę, były tam głosy, raz grube, raz jakby kobiece, a ja kopałem wciąż drzwi, walilem w nie, rzucałem się na nie całym ciężarem jak obłąkany, naraz wypadłem na dwór z potrząskanymi deskami, zerwałem się i pognałem przed siebie. Upadłem jeszcze kilka razy, nim dostałem się na ulicę. Zimno trochę mnie otrzeźwiło. Pamiętam, że stałem pod murem, wycierałem krew z palców i tak jakoś dziwnie łkałem, ale to nie był płacz - oczy miałem całkiem suche. Nogi okropnie mi się trzęsły i trudno mi było przez to iść. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem i dokąd właściwie powinienem iść - wiedziałem tylko, że muszę się bardzo spieszyć. Dopiero kiedy zobaczyłem lampy i auta, poznałem plac Wilsona. Zatrzymał mnie policjant, nic nie rozumiał z tego, co mówiłem, nie pamiętam zresztą, co to było. Naraz ludzie zaczęli coś wołać, zbiegło się ich więcej, pokazywali wszyscy w jedną stronę, zrobiło się zamieszanie, auta stawały, policjant gdzieś znikł, a mnie było okropnie słabo, więc siadłem na betonowym

krawężniku przy skwerze. Palił się gmach ZPE, ogień wychodził oknami na wszystkich piętrach. Zdawało mi się, że słyszę wycie, coraz głośniejsze, chciałem uciekać, ale to była straż pożarna, hełmy błyskały w ogniu, jak zakręcali - trzy wozy, jeden za drugim. Paliło się już tak, że lampy na placu przygasły, siedziałem po drugiej stronie chodnika, a słyszałem, jak tam w środku trzeszczy i huczy.

Myślę, że o n to sam zrobił - kiedy zrozumiał, że przegrał.

CIEMNOŚĆ I PLEŚŃ

1.

- To już ostatni, co? - powiedział mężczyzna w deszczowym płaszczu.

Końcem bucika strącał z nasypu okruchy ziemi w dół, na dno leja, gdzie pod pochylonymi postaciami o niekształtnych, olbrzymich głowach huczały acetylenowe płomienie. Nottinsen odwrócił się, żeby wytrzeć załzawione oczy.

- Cholera, zapodziałem gdzieś ciemne szkła. Ostatni? Mam nadzieję. Ledwo już trzymam się na nogach. A pan?

Mężczyzna w lśniącym płaszczu, po którym ściekały drobne kropelki wody, schował ręce do kieszeni.

- Jestem przyzwyczajony. Niech pan nie patrzy - dodał, widząc, że Nottinsen znowu spogląda w głąb leja. Ziemia parowała i syczała pod palnikami.

- Żeby przynajmniej mieć pewność - mruknął Nottinsen. Mrużył oczy. - Jeżeli tu jest tak - wyobraża pan sobie, co tam musiało się dziać? - głową wskazał poza szosę, gdzie nad wywiniętymi brzegami krateru unosiły się cieniutkie smużki pary, rozpalającej się fiołkowo od błysku niewidzialnych płomieni.

- On już wtedy na pewno nie żył - powiedział mężczyzna w deszczowcu. Po kolei wywracał obie kieszenie na lewą stronę i wytrząsał z nich wodę. Drobny deszcz wciąż padał. - Nie zdążył się nawet przestraszyć... i nic nie czuł.

- Przestraszyć się? - powiedział Nottinsen.

Chciał spojrzeć w niebo, ale schował zaraz głowę w kołnierz przed deszczem. - On?! To pan go nie znał. No, pewno, że go pan

nie znał - zreflektował się. - On pracował nad tym cztery lata... w każdej sekundzie tych czterech lat to się mogło stać.

- To dlaczego pozwolili mu to robić? - mężczyzna w mokrym płaszczu popatrzał spode łba na Nottinsena.

- Bo nie wierzyli, że mu się uda - odpowiedział ponuro Nottinsen.

Sine, kolące wzrok płomienie lizały wciąż dno leja.

- Tak? - powiedział tamten. - Ja... miałem trochę oko na to, jak się budowało - spojrzał w stronę odległego o kilkaset metrów, słabo dymiącego krateru. - Musiało kosztować ładny grosz...

- Trzydzieści milionów - przyznał Nottinsen. Przystąpił z nogi na nogę. Zdawało mu się, że buciki przemakają. - Co z tego? Daliby mu trzysta albo trzy tysiące, gdyby mieli pewność...

- To miało coś wspólnego z atomami, prawda? - powiedział mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu.

- Skąd pan wie?

- Słyszałem. Zresztą widziałem słup.

- Eksplozji?

- A zresztą po co było budować to tak daleko, nie?

- To było jego życzenie - odparł Nottinsen. - Dlatego pracował sam - od czterech miesięcy, kiedy udało mu się... - popatrzał na tamtego i dodał, zniżając głowę:

- To miało być gorsze niż atomy. Gorsze niż atomy! - powtórzył.

- Co może być już gorsze od końca świata?

- Można rzucić jedną atomówkę i przestać - powiedział Nottinsen. - Ale jedna Whisteria... wystarczyłaby jedna! Już nikt by tego nie powstrzymał! Hej, tam! - krzyknął, pochylając się nad lejem. - Nie tak prędko!!! Nie spieszyć się! Nie odsuwać płomienia! Każdy cal ma być porządnie wyżarzony!

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział tamten. - Ale... jeżeli to jest takie... co pomoże trochę ognia?

- Pan wie, co to miało być? - powoli spytał Nottinsen.

- Nie znam się na tym. Aldershot powiedział, żebym panu pomógł, lokalnymi siłami, że to były... że on pracował nad jakimiś bakteriami atomowymi. Coś w tym rodzaju.

- Bakteria atomowa? - Nottinsen zaczął się śmiać, ale natychmiast przestał. Odchrząknął i powiedział:

- Whisteria Cosmolytica - on to tak nazwał. Drobnoustrój, unicestwiający materię i czerpiący z tego procesu energią życiową.

- Skąd on to wziął?

- Pochodna sterowanych mutacji. To znaczy... wyszedł z istniejących bakterii i stopniowo poddawał je działaniu coraz większych dawek promieniowania. Aż doszedł do Whisterii. Ona istnieje w dwu stanach... jako przetrwalnik, nieszkodliwy jak mąka. Można nim posypywać ulice. Ale kiedy ożyje i zacznie się rozmnażać... to byłby koniec.

- Tak. Aldershot mówił mi - powiedział tamten.

- Że co?

- Że to miało się rozmnażać i pożerać wszystko... mury, ludzi, żelazo.

- To prawda.

- I że tego nie można by już powstrzymać.

- Tak.

- Co warta taka broń?

- Toteż na razie nie można jej było stosować. Whister pracował nad tym, żeby powstrzymać ten proces, żeby uczynić go odwracalnym. Rozumie pan?

Mężczyzna popatrzał najpierw na Nottinsena, potem na okolicę - malejące w oddali, zamglone pierwszym zmerchaniem szeregi koncentrycznych, obwałowanych ziemią lejów, z których gdzieś wcięż jeszcze smużyła para - i nic nie odpowiedział.

- Miejmy nadzieję, że żaden nie ocalał - powiedział Nottinsen. - Nie przypuszczam, żeby zrobił coś tak szalonego, nie mając pewności, że potrafi z powrotem... - mówił do siebie, nie patrząc na towarzysza.

- Dużo tego było? - odezwał się tamten.

- Przetrwalił? To zależy, jak na to patrzeć. Były w sześciu próbkach, w kasie ogniotrwalej.

- Tam, w tym jego gabinecie na drugim piętrze? - spytał mężczyzna.

- Tak. Tam jest teraz lej, w którym zmieściłyby się dwa domy - powiedział Nottinsen i wzdrygnął się. Popatrzył w dół, na migające płomienie, i dodał:

- Poza lejami trzeba będzie przepalić cały teren, wszystko, w promieniu pięciu kilometrów. Jutro rano przyjedzie Aldershot. Obiecał mi zmobilizować wojsko... nasi ludzie nie dadzą sami rady.

- Co ona potrzebuje, żeby... zacząć? - spytał mężczyzna. Nottinsen popatrzał na niego chwilę, jakby nie rozumiejąc.

- Żeby się uczynić? Ciemności. W kasie pancерnej paliło się światło, były specjalne baterie akumulatorów na wypadek przerwy w prądzie... osiemnaście lamp, każda z osobnym obwodem, jedna niezależna od drugiej.

- Ciemność... i nic więcej?

- Ciemność i... jakaś pleśń. Obecność pleśni też była potrzebna. Dostarczała jakichś katalizatorów organicznych. Whister nie

podał tego dokładnie w swoim raporcie podkomisji... miał papiery i wszystko na dole, w swoim pokoju.

- Widać nie spodziewał się - powiedział mężczyzna.

- Może właśnie się spodziewał - mruknął niewyraźnie Nottinsen.

- Myśli pan, że światło zgasło? Ale skąd się wzięła pleśń? - powiedział mężczyzna.

- Ależ nie!

Nottinsen patrzył na niego rozszerzonymi oczami.

- To nie one. To... to... one rozmnażają się zupełnie niewybuchowo. Spokojnie. Przypuszczam, że robił coś przy tym wielkim paratronie w podziemiu... chodziło o to, żeby znaleźć sposób powstrzymania ich rozwoju i żeby go mieć przygotowanym na wypadek...

- Wojny?

- Tak.

- I co on tam robił?

- Tego nie wiemy. To miało coś wspólnego z antymaterią. Bo Whisteria... ona unicestwia materię. Synteza antyprotonów... wytwarzanie otoczki siłowej... podział... tak wygląda jej cykl życiowy.

Jakiś czas patrzyli w milczeniu na pracujących pod nimi.

Płomienie na dnie leja gasły jeden po drugim. W szarobłękitnym zmierzchu ludzie wspinali się na górę, ciągnąc za sobą giętkie węże przewodów - ogromni, w azbestowych maskach, po których ściekał deszcz.

- Idziemy - odezwał się Nottinsen. - Pańscy ludzie są na szosie?

- Tak. Może pan być spokojny. Nikt nie przejedzie.

Deszcz padał coraz drobniejszy - chwilami zdawało się, że na twarzach i ubraniach osiada tylko skroplona mgła.

Szli polem, wymijając leżące w wysokiej trawie, potrzaskane, skręcone i opalone odłamki drzew.

- Aż tu przyniosło - mężczyzna idący obok Nottinsena odwrócił się i spojrzał za siebie. Ale widać było tylko szarą, coraz szybciej ciemniejącą mgłę.

- Jutro o tej porze będziemy mieli to za sobą - powiedział Nottinsen.

Podchodzili już do szosy.

- A... wiatr nie mógł zanieść tego dalej?

Nottinsen popatrzał na niego.

- Nie myślę - powiedział. - Najprawdopodobniej samo ciśnienie eksplozji musiało je zemleć na proch. Przecież to, co tu leży - spojrzał na pole - te są resztki drzew, które stały o trzysta metrów od gmachu. Z murów, z aparatów, nawet z fundamentów nie zostało nic. Ani okruszyny. Przecież sialiśmy wszystko przez siatki, pan był przy tym.

- Tak - powiedział mężczyzna w płaszczu.

Nie patrzył na niego.

- No widzi pan. To, co robimy - robimy tylko na wszelki wypadek, po to, żeby mieć już całkowitą pewność.

- To miała być broń, co? - powiedział tamten. - Jak się nazywała? Jak pan mówił?

- Whisteria Cosmolytica - Nottinsen daremnie usiłował podnieść przemoczony, rozmiękły kołnierz płaszcza. Było mu coraz zimniej. - Ale w departamencie miała kryptonim, oni lubią takie kryptonimy, wie pan... „ciemność i pleśń”.

2.

W pokoju było zimno. Po szybach spływały krople deszczu. Koc osunął się z jednej strony, gwóźdź puścił, widać było kawałek błotnistej drogi za ogrodem i bąbelki powietrza pływające na kałużach. Godzina? Ocenił ją według szarości nieba, cieni w kątach pokoju i ciężaru w piersiach. Długo kaszłał. Przysłuchiwał się, jak trzeszczą stawy, kiedy naciągał spodnie. Zaparzył herbatę, wyłuskawszy czajniczek i papierową torebkę spomiędzy papierzysk na biurku, łyżeczka leżała pod oknem. Siorbał głośno, gorący płyn był cierpki i blady. Szukając cukru, znalazł między książkami pędzel do golenia z zaschniętym mydłem, który przepadł przed trzema dniami. Czy przed czterema? Zbadał brodę kciukiem - zarost kłuł jeszcze jak szczotka, nie zmiękł.

Sterna gazet, bielizny i książek chyliła się niebezpiecznie, aż z sypkim szelestem runęła za krawędź biurka i znikła, podniósł się obłoczek kurzu, aż zakręciło mu w nosie. Kichał powoli, z przerwami, wypełniając się ożywczą mocą kichnięć. Kiedy ostatni raz odsuwał biurko? Obmierzła robota. Może lepiej wyjść? Lało.

Poszurał do biurka, ujął jego krawędź przy samej ścianie, pociągnął.

Drgnęło i zakurzyło.

Pchał z całej siły, niespokojny tylko, czy nie poczuje serca. - Jeżeli się odezwie, dam spokój - postanowił. Nie powinno. Wszystko, co spadło za biurko, przestało go obchodzić, teraz była to tylko próba sił, próba zdrowia. - Jestem jeszcze wcale krzepki - rozważał z satysfakcją, obserwując, jak ciemna szczelina między biurkiem a ścianą poszerza się. Coś, co było tam wklinowane, osunęło się, a potem stoczyło z brzękiem na podłogę.

Może ta druga łyżeczka albo nie - raczej grzebień? - zaciekawiał się. - Tylko grzebień nie wydałby takiego blaszanego odgłosu. Może szczypcę do cukru?

Ciemność między spękany tynkiem a czarną listwą biurka ziała już szeroka na dłoń. Wiedział z doświadczenia, że teraz będzie najtrudniej, bo noga biurka zatrzyma się zaraz w dużej szparze podłogi. Stało się. Zaskoczyła. Przez kilka chwil mocował się z martwym ciężarem.

Siekierą, siekierą po tym trupie! - pomyślał ze słodyczą podlaną rosnącym gniewem, który go odmładzał. Targał, choć wiedział, że to bezskuteczne. Biurko trzeba przeważyć, dźwignąć, rozkołysawszy, bo noga od ściany krótsza i wylatuje. Lepiej, żeby nie wypadła - przestrzegał rozsądek - potem trzeba będzie podtykać od dołu książki, prostować w pocie czoła gwoździe, młotkiem wbijać nogą. Ale już za bardzo nienawidził tej upartej bryły, którą karmił papierami przez tyle lat.

- Bydlaku!! - wyrwało mu się to słowo z jękiem, nie mógł już dozować wysiłków, zgrzany, z zapachem kurzu i potu w nozdrzach, napiął grzbiet, mocował się, kołysał bezwładnym ciężarem, jak zwykle w takiej chwili miał piękne wrażenie, że sama wzbudzona wściekłość uniesie i odtrąci czarny grat bez najmniejszego wysiłku!

Noga wyskoczyła z koleiny, najechała mu na palce, zdusił bolesny jęk, do gniewu dołączyła się mściwość, oparł się plecami o ścianę i pchał rękami i kolanami. Czarny rozziw rósł, już mógłby się tam wcisnąć, ale zajadłe pchał dalej, pierwszy promyk nawiedził cmentarzysko odsłaniające się za biurkiem, które znieruchomiało z agonalnym skrzypnięciem.

Osunął się na stos przewróconych tomów, nie wiedzieć kiedy zleciały podczas szamotaniny na podłogę. Siedział na nim chwilę,

ze stygnącym na czole potem. Coś miał sobie przypomnieć - aha, że serce się nie odezwało. To dobrze.

Pieczara, wryta w gęstym mroku za biurkiem, była niewidoczna prócz samego jej ujścia, w którym walały się miękkie, lekkie jak puch, polatujące „koty”. „Koty” - tak nazywały się mysioszare zwitki, kłębki pajęczyniastych brudów, narastające pod starymi szafami, rozmnażające się we wnętrzościach kanap, spiliśniałe, mszyste, przesycone prochem.

Nie spieszył się z badaniem zawartości odrzuśniętego zakątka. Co tam może być? Było mu przyjemnie, choć nie pamiętał, po co odsuwał biurko. Brudna bielizna i gazety leżały teraz na środku pokoju - musiał je tam wywlec jakimś nieprzytomnym kopnięciem, kiedy odpychał biurko. Z siedzącej pozycji przeniósł się na czworaki i powoli wsunął głowę w półmrok. Zasłonił sobą resztkę światła, przestał cokolwiek widzieć, wciągnął w nozdrza kurz i rozkichał się raz jeszcze, ale teraz ze złością.

Wycofał się, siąkał długo nos i postanowił odsunąć biurko tak daleko, jak jeszcze nigdy. Obmacał jego tylną, potrzaskującą ostrzegawczo ściankę, przymierzył się, pochylił, naparł i biurko pojechało nadspodziewanie lekko prawie do połowy pokoju, wywracając nocny stolik. Czajnik spadł i herbata się wylała. Kopnął go.

Wrócił na środek otworzonego skarbca. Przy najmniejszym ruchu sute obłoki kurzu wstawały z ledwo widocznych deseczek parkietu, na których walały się jakieś niewyraźne kształty. Przyniósł lampę, postawił ją z boku na umywalce, włączył do kontaktu i odwrócił się. Ściana, zasłonięta biurkiem, porośla cała pasmami pajęczyn, tworzącymi ciemne oploty, miejscami grube jak sznury. Z poźółkłej gazety ukręcił wiecheć i zaczął wygarniać nim wszystko, co napotykał, na jedną stertę, pracował tak, wstrzymując oddech, w kłębach pyłu, nisko zgięty, znalazł kółko od firanki, hak, kawałek paska, sprzączkę, pomięty, ale nie

używany papier listowy, pudełko od zapalek, nadtopioną laskę laku, został tylko kął między listwami podłogi, przy samej ścianie, porosły jakby szarawym włosiem, spilśniałymi szczątkami, niespokojnie tknął tam końcem pantofla i przestraszył się prawie do zachwytu - coś małego, elastycznego odbiło mu się o duży palec nogi, który wystawał z dziury w pantoflu, zaczął szukać - ale nie znalazł nic.

Zdawało mi się - pomyślał.

Przysunął krzesło do biurka, nie to bez nogi, wolał go nie ruszać, ale drugie, na którym stała miednica. Strącił ją, rozłomotała się wrzaskliwie, uśmiechnął się, usiadł i zaczął badać znalezione za biurkiem rzeczy.

Zdmuchnął ostrożnie szary puder kurzu. Mosiężne kółko załśniło jak złote, spróbował włożyć je na palec - za duże. Zardzewiały, zgięty hak, z przywartą do ostrza grudką wapiennej zaprawy, przybliżył do nosa. Hak miał wyrazistość rzeczy, która dużo przeszła - wierzch rozplaszczony, wyładowała się widać na nim kiedyś wielka pasja, znaki po ciosach wystrzępiły z boków malutkie wiórki żelaza, teraz zzarte już rdzą i rozsypujące się przy mocniejszym dotknięciu. Ostrze, gruzłowato stępione, trafiło widać w murze na twardego przeciwnika - wyrwane z korzeniem ze swojej jamki, przypomniało mu ząb, dotknął z troską samotnego pieńka sterczącego z dziąsła, jakby tym ruchem wyrażał hakowi współczucie.

Resztę znalezionych rzeczy wrzucił do szuflady i przekreślił abażur lampy.

Przechylony przez biurko patrzył w dół, na podłogę - w żółtym świetle lampy czerniała ohydna kosmaciczna ściany, a od desek biurka ciągnęły się polatujące sennie, roziskrzzone, stargane nitki pajęczyn. Pośrodku, zasypiana kurzem, leżała na parkiecie koperta

ze starego listu, znaczkiem i adresem do góry - a pod nią tkwiło coś - unosząc jej brzeżek - coś małego. Jak orzech.

Zaledwie pomyślał: mysz - obrzydzenie chwyciło go za gardło. Wstrzymał dech i nie patrząc, zaczął ciągnąć brązowy przycisk, ciężki jak z żelaza. Serce zastygło mu w oczekiwaniu, że nie zdąży, że wstrętna szara smużka okropnej ucieczki lada sekunda wyprysnie spod koperty. Nic się jednak nie działo - koperta spoczywała dalej lekko uniesiona, lampa oświetlała ją, pajęczyny tylko drżały nieustannie własnym, miarowym życiem, pochylił się jeszcze bardziej i, leżąc już płasko na biurku, spuścił z impetem przycisk, który wyrznął miękko w kopertę, jakby przytłaczając do ziemi coś prężnego, zakołysał się i klapnął głucho na podłogę w obłoku szarego pyłu.

Wówczas jakiś szal obrzydzenia i rozpaczy opanował go - bez opamiętania, bez rachuby, zaczął strącać na kopertę wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego rąk: grube tomy niemieckiej historii, słowniki, pudło od tytoniu obite srebrną blachą - aż pod ospale fruwającymi niemi pajęczyn powstał chaotyczny stos, na którego dnie, w odgłosie upadków, w niepojęty sposób wciąż wyczuwał niezmożoną, żywą, broniącą się elastyczność.

W paroksyzmie trwogi (czuł instynktownie, że jeśli nie zabije tego - przyjdzie zemsta) przywłókł, jęcząc z wytężenia, szeroki, lany z żelaza popielnik i roztrąciwszy nogą stos książek, cisnął nim z nadludzkim wysiłkiem w wypuczony brzeżek listu.

Coś trzepnęło go wówczas od niechcienia po nogach, poczuł ten sani, co przedtem, żywy, ciepły dotyk, i z gardłem pękającym od panicznego wrzasku rzucił się na oślep ku drzwiom.

W sionce było dużo jaśniej niż w pokoju. Trzymał się kurczowo klamki, walcząc z zawrotem głowy. Zmierzył wzrokiem uchylone drzwi. Zbierał siły na powrót do mieszkania, gdy pojawił się czarny punkt.

Nie dostrzegł go, aż w chwili kiedy stawał na nim nogę. Był mniejszy od łebka szpilki, wyglądał jak ziarnko, drobina kurzu czy sadzy, niesiona leniwym powiewem tuż nad podłogą. Stopa nie dotknęła desek. Pośliznęła się, a raczej potoczyła, jakby trafiając na niewidzialną, sprężystą pileczkę, która umknęła zaraz w bok. Tracąc równowagę, zatańczył rozpaczliwie i runął na drzwi. Uderzył się boleśnie w łokieć. Zbierał się z ziemi, łkał z podniecenia.

- To nic, kochany, to nic - mamrotał, wstając z klęczek. Sykał, spróbował ruszyć nogą - była cała. Stał teraz przy progu i rozpaczliwymi spojrzeniami latał po otoczeniu. Naraz tuż nad podłogą, na tle uchylonych drzwi do ogrodu, który szemrał miarowo deszczem, dostrzegł czarny punkt. Drżał łagodnie w kącie między progiem wyjściowych drzwi a szparą w deskach, nieruchomiejąc powoli. Pochylał się nad nim coraz bardziej, aż zgiął się niemal we dwoje. Patrzył i patrzył w czarny punkt, który wydał mu się z bliska lekko podługowaty.

- Pajęczek na nóżkach tak cienkich, że ich nie widzę - zakonkludował. Myśl o nitkowatych nogach stworzenia napełniła go mdlącą niepewnością. Znieruchomiał z chustką wydobytą z kieszeni. Układał ją w dłoni w pułapkę i cofał rękę, niezdecydowany. Na koniec opuścił koniec luźno zwisającej chusteczki i zbliżył go do czarnego pajęczka. - Przestraszy się i ucieknie - pomyślał. - Będzie spokój.

Czarny punkt nie umykał. Koniec chustki nie dosięgnął go, lecz ugiął się o szerokość palca ponad nim, jakby natrafił na niedostrzegalną przeszkodę. Dziobał bezsilnie mnącym się i zwijającym różkiem chustki powietrze, aż, rozzuchwalony (własna przedsiębiorczość zapierała mu dech), wyciągniętym z kieszeni kluczem dźgnął czarny punkt.

Poczuł ręką ten sam, co przedtem, elastyczny opór, klucz zwichrował mu się w palcach, a czarny punkt wyprysnął w górę

tuż przed jego twarzą, zatańczył nerwowo, robiąc wciąż pionowe, gasnące, coraz niższe susy, aż zamarł na powrót w kącie między progiem i podłogą. Nie zdążył się na dobre przestraszyć, tak szybko się to stało.

Powoli, mrużąc powieki, jak przed patelnią ze strzelającym na ogniu boczkiem, nakrył czarny punkt rozłożoną płasko chusteczką. Opadła lekko i wzdęła się, jakby leżała pod nią pingpongowa piłeczka. Zebrał rogi, zbliżył je przemyślnie do siebie, naraz zawinął wszystkie - kulisty kształt był uwięziony. Tknął go najpierw końcem klucza, potem palcem.

Był w samej rzeczy elastyczny, sprężynował pod naciskiem, ale im mocniej się go ścisnęło, tym wyraźniej jego opór rósł. Był lekki - chustka nie ważyła więcej niż pusta, przynajmniej nie mógł tego wyczuć. Wyprostował się na ścierpłych nogach, drugą, wolną ręką oparł się o ścianę i pokuszył do pokoju.

Serce biło mu mocno, kiedy związaną na supeł chustkę kładł pod lampą na oczyszczonej z rupieci powierzchni biurka. Zaświecił światło, poszukał okularów, po namyśle, nie szczędząc fatygi, już w drugiej z kolei szufladzie znalazł lupę - wielkie jak spodek szkło powiększające w czarnym, oksydowanym pierścieniu z drewnianą rączką. Przyciągnął krzesło, usuwając z przejścia rozrzucone bezładnie, otwarte tomiska, i począł rozsupływać ostrożnie chusteczkę. Jeszcze raz przerwał swą czynność, wstał, w rupieciach pod oknem odnalazł klosz do sera, z jednej strony nadpękły, ale cały, nakrył nim chustkę zostawiając tylko wystające rogi, pociągnął za nie, aż się powoli rozłożyła, cała w plamach i zaciekach.

Nie widział nic. Zbliżał coraz bardziej głowę, aż tknął nosem w zimne szkło klosza i wzdrygnął się od tego nieoczekiwanego dotknięcia.

Czarny punkt ukazał się dopiero pod lupą. Wyglądał w powiększeniu jak malutkie ziarnko zboża. Miał jaśniejszą, szarawą wypukłość na jednym końcu i dwie tak drobne, że nawet przez lupę ledwo dostrzegalne, zielone kropki - na drugim. Nie był pewien, czy tego odcienia nie nadaje im załamujące światło, grube szkło klosza. Pociągając delikatnie za rogi, wy dobył całą chustkę spod klosza. Trwało to chyba minutę. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przesunął klosz po płycie, aż szklane obrzeże wysunęło się poza brzeg biurka, i przygotowaną wprzód zapalkę, którą potarł w ostatniej chwili o pudełko, wprowadził na długim druciku do środka.

Przez chwilę wyglądało na to, że zapalka zgaśnie, potem, kiedy rozpałała się żywiej, nie mógł jej przesunąć we właściwym kierunku, wreszcie i to się udało. Żółtawy płomynek przybliżył się do czarnego punktu, wiszącego dwa centymetry nad powierzchnią biurka, i naraz załopotał niespokojnie, a pchnięty odrobinę dalej, owinał się niczym wokół niewidzialnej wypukłości. Trwał tak przez chwilę, strzelił ostatnią, błękitną iskierką i zgasł - tylko zwęglone drewnienko żarzyło się jeszcze przez chwilę.

Odetchnął, przesunął na powrót klosz pod abażur lampy i długo wpatrywał się bez ruchu w czarny punkt, nieznacznie poruszający się wewnątrz klosza.

- Niewidzialna kulka - mruknął - niewidzialna kulka...

Był prawie szczęśliwy, a nawet o tym nie wiedział. Następną godzinę zajęło mu umieszczenie pod kloszem spodka od filiżanki, wypełnionego atramentem. Cały system patyczków i drucików okazał się niezbędny, aby umieścić badany twór w obrębie miseczki. Powierzchnia atramentu ugięła się prawie niedostrzegalnie w jednym miejscu, tam, gdzie powinna się z nią była stykać dolna część kulki. Nic więcej się nie stało. Próby pomalowania jej atramentem speliły na niczym.

W południe poczuł doskwierające ssanie żołądka, zjadł więc resztki owsianki i rozkruszonych keksów z płóciennego woreczka i popił je herbatą. Wróciwszy do biurka, w pierwszej chwili nie odnalazł czarnego punktu i poczuł gwałtowny strach. Zapominając o ostrożności, podniósł klosz i jak ślepiec obmacywał gorączkowo powierzchnię biurka rozpostartymi rękami. Naraz kulisty kształt wtulił mu się spokojnie w palce. Zacisnął rękę i siedział tak, pełen wdzięczności, uspokojony, pomrukując coś z cicha. Niewidzialna kulka grzała mu rękę. Czuł płynące z niej ciepło, bawił się nią coraz ryzykowniej, przetaczając ją, nieważką, z jednej dłoni do drugiej, aż wzrok jego zaczepił o coś błyszczącego w kurzu pod piecem, gdzie wywaliły się z przewróconego kubła śmieci. Był to arkusik zmiętego staniolu od czekolady. Natychmiast wziął się do owijania kulki w staniol. Poszło nadspodziewanie łatwo. Zostawił tylko dwa małe z dwu przeciwnych końców otworki, zrobione szpilką, by móc, patrząc pod światło, badać obecność maleńkiego, czarnego więźnia w środku.

Kiedy musiał wreszcie opuścić dom, aby kupić coś do jedzenia, zamknął kulkę pod kloszem i, dla zwiększenia pewności, przycisnął go jeszcze i ze wszystkich stron obłożył książkami.

Odtąd poszły wspaniałe dni. Od czasu do czasu próbował jakichś eksperymentów z kulką, ale przeważnie leżał w łóżku, czytając ulubione fragmenty starych książek. Zwiijał się pod kocem, gromadząc, jak mógł, ciepło, rękę wyciągał tylko, aby odwrócić stronę i, pogrążony w dokładnych opisach śmierci towarzyszy Amundsena wśród lodów albo podczas ponurych zwierzeń Nobilego o wypadkach ludożerstwa po katastrofie jego podbiegunowej wyprawy, zwracał chwilami oczy na klosz z błyszczącą spokojnie pod szkłem kulką, która kiedy niekiedy odmieniała nieznacznie położenie, przemieszczając się łagodnie od jednej ścianki do drugiej, jakby ją coś niewidzialnie popychało.

Nie chciało mu się chodzić na kupno ani gotować obiadów, zajadał się więc keksami, a jeśli miał trochę drzewa, piekł w popielniku kartofle, wieczorami zanurzał kulkę pod wodę albo próbował kłuć ją czymś ostrym - wyszczerbił na niej brzytwę, zresztą bez widocznego rezultatu - i trwało to tak długo, aż spokojną się nadpsuwać. Zamyślał rzecz wielką: chciał przywlec stary śrubsztak z piwnicy, by wziąć kulkę w imadło i zgnieść ją aż do centralnego, czarnego punkcika, ale było to połączone z tak wielkimi kłopotami (musiałby Bóg wie jak długo grzebać się w starym żelastwie i rupieciach, a na domiar nie był pewny, czy przydźwiga śrubsztak, który zniósł na dół przed trzema laty), że koncept ten pozostał tylko w sferze planów.

Raz grzał kulkę długo na ogniu, z takim skutkiem, że przepalił dno całkiem jeszcze dobrego rondelka. Staniol pociemniał i zetlał, ale sama kulka nie poniosła żadnego szwanku. Już zaczynał się niecierpliwić, przychodziły mu do głowy myśli o silnych środkach, bo coraz większą odczuwał pewność, że kulka jest niezniszczalna, a ta odporność krzepiła jego zadowolenie, kiedy pewnego dnia zauważył coś, co właściwie powinien był dostrzec już dużo wcześniej.

Staniol (nowy, bo stary rozlaźł się w toku rozmaitych eksperymentów na strzepy) pękł w kilku miejscach naraz i w prześwitach ukazało się wnętrze. Kulka rosła! Zadrzał cały, kiedy to w końcu zrozumiał, wziął ją pod lupę, przyglądał się długo obnażonej, badał ją pod podwójnymi szklami, które wykopał z najniższej szuflady biurka, nareszcie pewny był, że się nie omylił.

Kulka nie tylko rosła, ale zmieniała kształt. Nie była już całkiem okrągła - ukazały się na niej dwa łagodne wybrzuszenia, jak gdyby bieguny, a czarny punkt wydłużał się tak, że widać to było teraz nawet gołym okiem. Za karbowanym łepkiem, u pary zielonawych kropek, pojawiła się słabo błyszcząca kreseczka, która powoli wywijala się, ruchem trudniejszym do uchwycenia

niż przesuwanie się godzinowej wskazówki zegara, ale po nocy mógł stwierdzić postęp zjawiska ponad wszelką wątpliwość. Kulka była już wydłużona jak jajo o dwu jednakowo grubych końcach. Czarny punkt w centrum wyraźnie brzękł.

Następnej nocy obudził go krótki, ale potężny dźwięk, jakby na wielkim mrozie strzeliła nagle masywna szklana płyta. Dźwięczał mu jeszcze w uszach, kiedy zerwał się i boso pobiegł do biurka. Światło oślepiło go - stał z ręką na oczach, rozpaczliwie czekając, aż przejrzy. Klosz od sera był cały. Pozornie nic się w nim nie zmieniło. Szukał wzrokiem czarnej, podłużnej niteczki i nie znajdował jej. Kiedy ją odkrył, zmartwił, tak się skurczyła. Podniósł z przestraczem klosz i coś przytuliło się do grzbietu jego dłoni. Pochylony nisko, zbliżał twarz do pustej powierzchni biurka, aż zobaczył.

Były dwie, rozgrzane, jakby przed chwilą wyjęte z gorącej wody. W każdej ciemniało malutkie jąderko - czarny, matowy punkt. Opanowała go niewytłumaczalna błogość, rozrzewnienie. Drżał nie z chłodu, ale z podniecenia. Położył je na dłoni, ciepłe jak pisklęta, chuchał na nie delikatnie, aby nie zdmuchnąć ich, prawie nieważkich, na podłogę. Potem owinał starannie każdą staniolem i schował pod klosz. Stał nad nimi długo, usilnie pragnąc dojść tego, co może dla nich jeszcze zrobić, aż wrócił do łóżka z sercem bijącym mocno, trochę rozżalony własną bezsilnością, ale spokojny i do łez prawie rozczulony.

- Maluśkie moje... - mruczał zapadając w błogi, posilny sen.

Po miesiącu kulki nie mieściły się już pod kloszem. Po następnym stracił rachubę - nie mógł ich już zliczyć. Ledwo czarne jąderko przybrało zwykle rozmiary, kulka poczyniała nabrzmiewać na biegunach. Raz tylko udało mu się czuć w chwili podziału - który następował zawsze nocą. Dźwięk, dobywający się spod klosza, ogłuszył go na długie minuty, ale w jeszcze większe osłupienie wprowadził go błysk, w którym pokój

wyskoczył na mgnienie z ciemności, niczym w łyśnięciu mikroskopijnego pioruna. Nie rozumiał nic z tego, co się działo, ale poprzez łóżko wyczuł momentalne drgnięcie podłogi i przeniknęła go całego świadomość, że pieniaący się przed nim drobiazg jest czymś nieskończenie potężnym. Doznał uczucia podobnego jak wobec przytłaczającego zjawiska natury - jakby spojrzął na sekundę w otwierającą się otchłań wodospadu czy poczuł trzęsienie ziemi; w momentalnym, dzwoniącym szczęknięciu, którego echo zdawały się wchłaniać jeszcze ściany domu, na ułamek sekundy rozwarła się i zatrzasnęła moc, nieporównywalna z niczym. Lęk trwał krótko - rano wydał mu się sennym majakiem.

Następnej nocy usiłował czuwać po ciemku. Wtedy po raz pierwszy, jednocześnie z falą drgnienia i głuchym dźwiękiem, dostrzegł dokładnie zygzakowaty wyblysk, który rozkroił nabrzmiałe jajo i znikł tak gwałtownie, że nie wiedział potem, czy nie było to tylko złudzenie.

Nie pamiętał nawet śniegu tej zimy, tak rzadko wychodził, tyle tylko, ile trzeba było, aby dojść do sklepiku za zakrętem drogi. Z nadejściem przedwiośnia pokój mrowił się od kulek. Nie zdobyłby się na przyrodziewek dla wszystkich - skąd miał wziąć tyle staniolu? Wałęsały się wszędzie, poszturchiwał je niechcący nogami, bezszelestnie spadały z półek z książkami - najlepiej widać je było właśnie na nich, kiedy od dłuższego leżenia przytrzaśnięte zostały jak pudrem subtelną warstewką kurzu, który delikatną, matową błoną zarysowywał ich krągłość.

Ciągle nowe przygody (wyławiał je z owsianki, z mleka, znajdował w woreczku z cukrem, wytaczały się, niewidzialne, z naczyń, gotowały z zupą), obfitość, jaka go otaczała, jęły nasuwać mu nowe pomysły i z lekka niepokoić.

Rozrastająca się tak niepohamowanie czereda mała się o niego troszczyła. Drżał, aby któraś nie wymknęła się do sieni i dalej, do

ogrodu, na drogę, gdzie mogłyby znaleźć ją dzieciaki. Postawił przed progiem siatkę drucianą o oczkach dostatecznie gęstych, z czasem zaś wychodzenie na dwór stało się całym skomplikowanym rytuałem - po kolei przetrząsał wszystkie kieszenie, zaglądał do mankietów spodni, dla wszelkiej pewności strzepywał je jeszcze parę razy, drzwi otwierał i zamykał powoli, aby powstały przeciąg nie porwał którejś niebacznie, a im było ich więcej, tym bardziej się wszystko komplikowało.

Jedną cierpiał tylko prawdziwą, wielką niedogodność takiego współżycia, pełnego licznymi emocjami: było ich już tak wiele, że pleniły się prawie nieustannie i dzwoniący potężny dźwięk rozlegał się czasem pięć i sześć razy w ciągu jednej godziny. Ponieważ budził go w nocy, zaczął odsypiać zmęczenie dniem - kiedy panowała cisza. Chwilami brał go niewyraźny niepokój wobec fali niewzruszonego, miarowego rozplenu, coraz trudniej było chodzić, na każdym kroku spod podeszew uciekały niewidzialne, sprężyste piłeczki, rozbiegały się na wszystkie strony, widział, że niebawem będzie w nich brodził jak w głębokiej wodzie. Nad tym, czym żyły, czym się odżywiały, nie zastanawiał się.

Choć przedwiośnie było chłodne, z częstymi przymrozkami i śnieżycami, od dawna nie palił już wcale. Mrowie kulek użyczało swej równomiernej ciepłoty otoczeniu. Nigdy jeszcze nie było w pokoju tak ciepło, tak przytulnie jak teraz, kiedy w kurzu mrowiło się od zabawnych śladów po ich skokach, toczeniach się, jakby przed chwilą igrały w nim młode kocięta.

Im więcej było kulek, tym łatwiej dawały poznać swoje zwyczaje. Można było sądzić, że się nie lubią nawzajem, a w każdym razie nie cierpią nazbyt bliskiego sąsiedztwa podobnych sobie - bo między zbliżonymi pozostawała zawsze cienka warstewka powietrza, której niepodobna było wycisnąć nawet przy użyciu znacznej siły. Najlepiej widział to, kiedy zbliżał ku

sobie dwie owinięte staniolem. Z czasem zaczął uprzętać ich nadmiar: wrzucał je do blaszanej wanienki, w której pod błonką kurzu leżały jak stos gruboziarnistej żabiej ikry, od czasu do czasu tylko wstrząsany wewnętrznym ruchem, kiedy któreś przezroczyście jajko dzieliło się na dwa potomne.

Trzeba wyznać, że miewał nieraz najdziwniejsze zachcianki, na przykład walczył z sobą długo - taką miał chętkę połknąć jedno z podopiecznych dzieciątek! Ostatecznie skończyło się tylko na wzięciu niewidzialnej kulki do ust. Obracał ją delikatnie językiem, czując na podniebieniu i dziąsłach miękki, sprężysty, obły kształt, promieniujący nikłym ciepłem. Nazajutrz po tym wypadku zauważył na języku powierzchowną wybroczynę. Nie połączył tych faktów. Coraz częściej jednak zdarzało się, że sypiał z nimi i nie pojmował, dlaczego powłóczki poduszki i koca, tak dobrze dotąd służące, zaczęły się sypać, jakby naraz zetlałe. Na koniec prześcieradło podarło się wprost na strzepy, więcej było w nim dziur niż płótna - ale on wciąż niczego nie pojmował.

Pewnej nocy obudził go piekący ból nogi. Przy świetle zobaczył kilka czerwonawych plamek na skórze łydki. Odkrywał ich coraz więcej - wyglądały jak rozlane oparzenia. Niewidzialne kulki skakały po całej pościeli, kiedy układał się na powrót do snu, i ten obraz nastroił go podejrzliwie - jąderka ich migały niczym pchełki.

- Co, u diabła, czy wy gryziecie tatę?! - szepnął z wyrzutem. Rozejrzał się po pokoju.

Matowy odbłask zaproszonych kulek dobiegał zewsząd - pokrywały całe biurko, leżały na podłodze, na półkach, w rondlach, garnkach, nawet w filiżance z resztką herbaty majaczyło coś podejrzanego. Niepojęty strach rozłomotał mu w sekundzie serce. Trzęsącymi się rękami strzepywał koc, powłóczkę, wymachiwał wysoko wzniesionymi rękami, rozpościerając w nich poduszkę, strącił wszystkie kulki na podłogę, raz jeszcze obejrzał

troskliwie plackowate zaczerwienienia na łydkach, owinał się kocem i zgasił światło. Pokój co kilka minut rozbrzmiewał dźwiękiem podobnym do metalicznej fanfary, przerywanej zatraskującym się nagle wiekiem.

Czy to możliwe? Czy to możliwe? - pomyślał.

- Wyrzucę was! Wypędzę co do jednej na ulicę... precz! - oświadczył nagle szeptem, bo głos nie przechodził mu przez zaschnięte gardło. Bezmierny żal dławił go, wyciskał z oczu łzy.

- Niewdzięczne bydlątka - szeptał, opierając się o ścianę i tak, na wpół siedząc, na wpół leżąc, zapadł w sen.

Rano zbudził się rozbity, z poczuciem klęski, nieszczęścia. Szukał rozpaczliwie mętными oczami, całą pamięcią, co takiego utracił wczoraj, naraz ocknął się, wylazł z łóżka i postawiwszy lampę na krześle, przystąpił do metodycznego badania podłogi.

Nie było wątpliwości - nosiła wyraźne ślady nadgryzienia, jakby ją ktoś polewał drobnymi, rozpryskującymi się kropelkami niewidzialnego kwasu. Podobne ślady, choć w mniejszej ilości, dostrzegł na biurku. Szczególnie uszkodzone były sterty starych gazet i tygodników - wierzchnie strony wszystkie niemal były podziurawione jak rzeszoto. Także emalia wewnątrz garnków pokryta była płytkimi nadżerkami. Długo patrzył, osłupiał, na pokój, potem zabrał się do zbierania kulek. Nosił je wiadrem do wanienki, ale gdy wypełniła się wyżej brzegów, w pokoju było ich jakby tyle, co i przedtem. Toczyły się pod ścianami, czuł ich niepokojące ciepło, gdy tuliły mu się do nóg. Były wszędzie - matowe sterty na półkach, na stole, w słoikach, w kątach - całe stopy.

Łaził ogłupiały, strwożony, cały dzień przeszedł mu na wymiataniu ich z jednego miejsca w inne, na koniec częściowo wypełnił nimi starą pustą komodę i odetchnął. W nocy kanonada była gwałtowniejsza jakby niż zwykle - drewniane pudło komody

stało się wielkim rezonatorem, który wydawał z siebie głucho, niesamowite dźwięki, jakby niewidzialni więźniowie dzwonami walili od środka w jej ściany. Nazajutrz kulki poczęły przesypywać się ponad ochronną siatką u drzwi. Przeniósł materac, koc i poduszkę na biurko i tam zrobił sobie posłanie. Siedział na nim z podkurczonymi nogami. Od razu trzeba było przynieść śrubsztak - przemykało mu przez głowę - co teraz? Wyrzucić je nocą do rzeki?

Zdecydował, że to będzie najlepsze, bał się jednak wypowiedzieć tę groźbę głośno. Nikt inny nie będzie ich miał, a on zostawi sobie parę sztuk - nic więcej. Mimo wszystko był do nich przywiązany - tyle że teraz do przywiązania poczynął się przyłączać lek. Będzie je topił jak... kocięta!

Pomyślał o taczce. Inaczej nie nadałyby z wynoszeniem - ale spróbował tylko podźwignąć ją, zarytą pod ścianą w starym wykopie, i podreptał do domu. Był słaby, bardzo słaby. Musiał to odłożyć. Postanowił więcej jeść.

Noc była okropna. Zmęczony - zasnął mimo wszystko. Pierwszy metaliczny dźwięk obudził go, usiadł w mroku, a cały pokój łyskał przed nim krótkimi zygzakami, z czerni wyskakiwały na ułamki sekund oświetlone fragmenty ścian, pokrytych kurzem półek, wytartego dywanika przed łóżkiem, blaski powieleły się w szkle dygocących naczyń, naraz coś prześwietliło matowo powłoczkę koca, którym się okrywał - a więc przyczaiła się tam któraś chytrze schowana bestia! Wytrząsnął ją z obrzydzeniem.

Ten obłądny połóg sprawiał wrażenie krajobrazu oświetlanego błyskawicami, tyle że - zamiast grzmotów - następowały po miniaturowych błyskach ciosy dzwonu, od których odzywały się szyby. Usnął, siedząc, oparty o ścianę. Tuż nad ranem obudził się jeszcze raz ze słabym krzykiem - fala błękitnych rozbryzgów rozjaśniała pokój, zalewała go, zwielokrotnione zygzaki podchodziły niemal ku powierzchni biurka, które drgnęło naraz

mocno, odsunięte od ściany - dzieląc się, niewidzialna kulka odepchnęła je; ten ruch - poczuł jego nieubłaganą siłę - oblał go lodowatym potem, patrzył na pokój wytrzeszczonymi oczami, mamrocząc coś - i raz jeszcze usnął, z wyczerpania.

Nazajutrz obudził się bardzo słaby - tak słaby, że ledwo zlął na dół, aby wypić resztkę zimnej, gorzkiej herbaty. Zatrząsł się, kiedy do połowy ciała zapadł się w miękki, niewidzialny zwał - było ich tak wiele, że ledwo mógł się poruszać, z największym trudem dobrnął do stołu, pokój pełen był dusznego, nagrzanego powietrza, jakby palił się w nim niewidzialny piec. Zrobiło mu się dziwnie - osunął się na ziemię, nie upadł - podtrzymały go elastyczną, prężną masą, ten dotyk nappełnił go niewypowiedzianą trwogą, tak był łagodny, miękki, przyszła mu do głowy straszna myśl, że może połknął już którąś z owsianką, jakąś mniejszą, i tej nocy, we wnętrznościach...

Chciał uciec. Wyjść. Wyjść! Nie mógł otworzyć drzwi. Odemknęły się na kilka centymetrów, potem elastyczna masa, poddająca się prężnie, zatrzymała je - i nie puściła dalej. Bał się mocować z drzwiami, czuł nadchodzący zawrót głowy. - Trzeba będzie wybić szybę - pomyślał - ale co policzy szklarz?

Trzęsąc się, utorował sobie drogę do biurka, wlał na nie, patrząc tępo na pokój - kulki szarą, punktowaną mgłą, ledwo dostrzegalnym, milczącym obłokiem otaczały go ze wszystkich stron. Był głodny, a nie miał już odwagi zejść, kilka razy słabo, bez przekonania, zawołał z zamkniętymi oczami:

- Ratunku! Ratunku!

Usnął przed zmierzchem. W zapadającej ciemności pokój ożył blaskiem i hukiem, coraz potężniejszym. Prześwietlana od wewnątrz błysnięciami masa rosła, piętrzyła się, wypuczała z wolna w górę, drgała, wstrząsana delikatnie, z półek, spomiędzy książek, rozpychając je, wyskakiwały i leciały łukami w

błękitnym roziskrzeniu rozgrzane, dygocące kulki, jedna stoczyła mu się z góry na pierś, druga dotknęła policzka, następna przywarła do ust, coraz więcej pokrywało materac wokół jego wpołysej czaszki, błyskały mu w półotwarte oczy, ale już nie budził się...

Następnej nocy, około trzeciej nad ranem, drogą do miasteczka przejeżdżał ciężarowy samochód. Wiózł mleko w dwudziestogalonowych bańkach. Szofer, zmęczony całonocną jazdą, kiwał się nad kierownicą. Była to najgorsza pora - kiedy senności niepodobna wprost opanować. Naraz usłyszał nadciągający z dala, przeciągły huk. Odruchowo zwolnił, zobaczył za drzewami parkan, w głębi - ciemny, zarosły ogród, a w nim parterowy domek, w którego oknach błyskało.

Pożar! - pomyślał, zjechał na skraj szosy, zahamował gwałtownie i podbiegł do furtki, żeby obudzić mieszkańców.

Był w połowie zarosłej trawą ścieżki, gdy zobaczył, że z okien domu, spomiędzy resztek wyduszonych szyb leją się nie płomienie, lecz spieniona, bezustannie dźwięcząca i błyskająca fala, która kipi coraz szerzej i dalej pod ścianami; na rękach, na twarzy poczuł miękkie, niewidzialne dotyki, jakby skrzydeł tysiąca ciem, pomyślał, że śni - kiedy trawa i krzaki dokoła zaroily się od błękitnych ogników, lewe okienko strychowe zajarzyło się jak szeroko otwarte, olbrzymie kocie oko, wejściowe drzwi zatrzeszczały, pękły z hukiem - i rzucił się do ucieczki, mając jeszcze w oczach górę migocącej ikry, która z przeciągłym grzmotem rozsadzała dom.

ALBATROS

Obiad składał się z sześciu dań - nie licząc przystawek. Wózki z winem toczyły się bezszelestnie po szklanych drózkach. Nad każdym stołem paliła się wysoko lampa punktowa. Przy żółtawej zupie światło było cytrynowe. Przy rybie prawie białe, z błękitnym odcieniem. Kurczęta zalał róż, zmieszany z jedwabistą, ciepłą szarością. Przy czarnej kawie nie zrobiło się na szczęście ciemno - Pirx był już najgorszej myśli. Zmęczył go ten obiad. Obiecywał sobie, że odtąd będzie jadał na dolnym pokładzie - w barze. Gali było dla niego stanowczo za wiele. Cały czas musiał pamiętać o łokciach. W dodatku - toalety! Sala była wgłębiona - obwód wyżej, dno wpuszczone chyba o pół kondygnacji. Wyglądała jak gigantyczny, kremowozłoty talerz, obłożony najbardziej kolorowymi kanapkami świata. Sztywne, półprzezroczyste suknie szumiały za jego plecami. Bawiono się tam świetnie. Muzyka przygrywała. Snuli się kelnerzy - prawdziwi kelnerzy, każdy wyglądał na dyrygenta filharmonii. „Transgalaktik” gwarantuje: żadnych automatów w obsłudze - intymność - dyskrecja - szczerą ludzką życzliwość - cała załoga żywa. Sami artyści swego fachu.

Pirx pił czarną kawę, palił papierosa i starał się znaleźć jakieś miejsce na sali, w które mógłby patrzeć. Spokojne miejsce, w sam raz dla odpoczynku. Sąsiadka podobała mu się. Na jej dekolcie czerniał płaski, chropawy kamyk. Nie żaden chryzopras, nie chalcedon. Nic ziemskiego, pewno coś z Marsa. Musiał kosztować majątek - wyglądał jak kawałek brukowca. Kobiety nie powinny mieć tyle pieniędzy.

Nie był zgorzony. Nie dziwił się. Obserwował. Z wolna rosła w nim ochota wyprostowania kości. Pokład spacerowy?

Wstał, skłonił się lekko, wyszedł. Przechodząc między graniastymi kolumnami, obłożonymi zwierciadlaną masą, zobaczył własne odbicie - spod węzła krawata widać było guzik. Kto zresztą nosił jeszcze takie krawaty? Poprawił kołnierzyk już na korytarzu. Wsiadł do windy. Pojechał na samą górę - na widokowy. Winda otwarła się bezgłośnie. Nie było tu ani żywej duszy. Ucieszył się z tego. Trzecia część zakłęsłego stropu przed szeregami leżaków ponad pokładem wyglądała jak gigantyczne, czarne okno, otwarte na gwiazdy. Leżaki ze stertami koców stały puste. W jednym z ostatnich tkwił ktoś, otulony po samą twarz - ten zdziwaczały staruch, który przychodził na obiad w godzinę po wszystkich i jadł sam w pustej sali, zakrywając twarz serwetką, kiedy poczuł czyjś wzrok.

Położył się. Niewidzialne paszce klimatyzatorów pędziły w galerię pokładu nierówno falujący wicher, wrażenie było takie, jak gdyby wiało prosto z czarnych głębin nieba. Konstruktorzy, których zatrudniał „Transgalaktik”, znali się na rzeczy. Leżak był wygodny - wygodniejszy chyba od fotela pilotów, choć jego kształty opracowane były matematycznie. Pirx zaczął ziębnąć. Po to były koce. Owinął się nimi, jakby zapadł w puch.

Ktoś nadchodził. Schodami, nie windą. Sąsiadka z jadalnej. Ile mogła mieć lat? Miała na sobie jakąś całkiem inną suknię. A może to była w ogóle inna kobieta? Położyła się o trzy leżaki dalej. Otwarła książkę. Wicher szeleścił kartkami. Pirx patrzył teraz prosto przed siebie. Bardzo ładnie widać było Południowy Krzyż. Obcięty ramą okna jaśniał koniuszek Małego Obłoku, jaśniejsza plamka na czarnym tle. Pomyślał, że lot będzie trwał siedem dni. Przez siedem dni może się stać mnóstwo rzeczy. Poruszył się umyślnie. Gruby, złożony we czworo papier zaskrzypiał w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Było mu dobrze na świecie - miejsce drugiego nawigatora czekało już na niego, znał dokładnie drogę: z Ziemi Północnej samolotem do Eurazji, i dalej, do Indii.

Bilety stanowiły całą książeczkę - można ją było czytać, każdy blankiet innego koloru, podwójny, z odcinkami, talonami, złote brzeżki, wszystko, co „Transgalaktik” dawał pasażerom do ręki, wprost kapało od srebra albo złota. Pasażerka na trzecim leżaku była bardzo ładna. Chyba jednak ta sama. Należało coś powiedzieć - czy raczej nie? Bo niby się przedstawił. Niestety mieć takie krótkie nazwisko - zanim się zaczyna, już się kończy. „Pirx” brzmi całkiem jak „iks”. Najgorsze rzeczy działy się zawsze przy rozmowach telefonicznych. Powiedzieć coś? Co?

Zaczynał się znowu męczyć. Na Marsie wyobrażał sobie tę podróż całkiem inaczej. Armatorzy z Ziemi zapłacili mu przelot - mieli jakieś interesy z „Transgalaktikiem”, zdaje się, i nie był to z ich strony wyszukany gest. On zaś, choć przelatał już prawie trzy miliardy, nigdy jeszcze nie leciał czymś takim jak Tytan. Frachtowce wyglądają zupełnie inaczej! Sto osiemdziesiąt tysięcy ton masy spoczynkowej, cztery reaktory głównego ciągu, szybkość podróżna 65 na sekundę, tysiąc dwustu pasażerów w samych pojedynczych i podwójnych kajutach z łazienkami, apartamenty, stała grawitacja gwarantowana, z wyjątkiem startu i lądowania, najwyższy komfort, najwyższa bezawaryjność, czterdziestu dwu ludzi załogi i dwustu sześćdziesięciu obsługi. Ceramit, stal, złoto, pallad, chrom, nikiel, iryd, plastyki, marmury kararyjskie, dąb, mahoń, srebro, kryształy. Dwa baseny. Cztery kina. Osiemnaście stacji bezpośredniej łączności z Ziemią - tylko na użytek pasażerów. Sala koncertowa. Sześć głównych pokładów, cztery widokowe, automatyczne windy, zamawianie z pokładu miejsc na wszystkich rakietach całego systemu - na rok naprzód. Bary. Sale gry. Dom towarowy. Uliczka rzemieślników - wierna kopia jakiegoś ziemskiego, staromiejskiego zaułka - z piwniczką win, gazowymi latarniami, księżycem, ślepym murem i kotami, które spacerują po tym murze. Palmiarnia. I diabli wiedzą,

co jeszcze. Podróż musiałaby trwać miesiąc, żeby zdążył obejść to wszystko przynajmniej raz.

Pasażerka wciąż czytała książkę. Czy kobiety muszą farbować sobie włosy na taki kolor? Normalnemu człowiekowi robi się na taki widok trochę... Ale tej, tej było dobrze właśnie z tym kolorem. Pirx pomyślał, że gdyby miał w ręku palącego się papierosa, właściwe słowa od razu by się znalazły. Sięgnął do kieszeni.

Papierośnica, kiedy ją wyjmował - nigdy w życiu nie miał papierośnicy, tę dostał od Bomana, na pamiątkę, i nosił po przyjaźni - zrobiła się jakby trochę cięższa. Odrobinę. Ale był tego pewny. Przyspieszenie wzrosło?

Nadstawił ucha. Aha.

Silniki ciągnęły mocniej. Zwykły pasażer wcale by tego nie usłyszał - maszynownia Tytana była oddzielona od mieszkalnej części kadłuba poczwórnymi grodziami izolacyjnymi.

Wybrał sobie bladą gwiazdkę w samym kącie ramy okiennej i dobrze miał ją na oku. Gdyby tylko przyspieszali, nie ruszyłaby z miejsca. Ale jeżeli drgnie...

Drgnęła. Powoli - nadzwyczaj powoli - płynęła w bok.

Skręć w długiej osi - pomyślał.

Tytan leciał „tunelem kosmicznym”, w którym na drodze nie było nic - żadnych pyłów, meteorytów, nic, oprócz pustki. Tysiąc dziewięćset kilometrów przed nim pędził Pilot Tytana, którego zadaniem było dbać o wolną drogę dla olbrzyma. Po co? Na wszelki wypadek - chociaż i tak była wolna. Rakiety trzymały się ściśle rozkładu kursów, „Transgalaktik” miał gwarantowany lot bez zakłóceń po swoim wycinku paraboli - na zasadzie porozumienia, zawartego przez Zjednoczone Towarzystwa Astronawigacyjne. Nikt nie mógł mu wejść w drogę. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły teraz o sześć godzin naprzód - od

czasu kiedy bezludne sondy patrolowały tysiącami sektory transuranów, raketom przestało praktycznie grozić jakiejkolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz. Pas - orbita miliarda meteorytów między Ziemią i Marsem - miał własną służbę patrolową, nadto zaś szlaki raketowe przebiegały poza płaszczyznę ekliptyki, w której obraca się wokół Słońca grzechoczący Pas. Postęp - nawet od czasu kiedy Pirx latał na patrolu - był ogromny.

Tytan nie miał więc najmniejszej potrzeby lawirować - nie mógł wymijać żadnych przeszkód, bo ich nie było. A jednak skręcał. Teraz Pirx nie musiał nawet patrzeć w gwiazdowe niebo - czuł to całym sobą. Gdyby mu się chciało, mógłby obliczyć krzywiznę łuku, znając prędkość statku, jego masę i tempo przesuwania się gwiazd.

Coś się stało - pomyślał. - Ale co?

Nie było żadnego obwieszczenia dla pasażerów. Czy ukrywają coś? Dlaczego? Na obyczajach panujących w luksusowych statkach pasażerskich znał się bardzo słabo. Znał się natomiast na tym, co może zdarzyć się w maszynowni, w sterowni... nie było tego znów tak wiele. W wypadku awarii statek utrzymałby poprzednią szybkość - albowy zwolnił. Tytan jednak...

Trwało to już cztery minuty. To znaczy - zwrot prawie o 45 stopni. Ciekawe.

Gwiazdy znieruchomiały.

Szli prostym kursem. Ciężar papierośnicy, którą Pirx wciąż trzymał w ręku, wzrósł.

Szli prostym kursem i zwiększali szybkość. Od razu wszystko stało się jasne. Przez sekundę siedział nieruchomo, potem wstał. Ważył teraz więcej. Pasażerka o szarych oczach spojrzała na niego.

- Czy coś się dzieje?

- Nic takiego, proszę pani.

- Coś się zmieniło. Nie czuje pan?

- To nic. Zwiększamy trochę szybkość - powiedział. Teraz można było rozpocząć normalną, wstępną rozmowę. Spojrzał na nią. Kolor włosów nic nie przeszkadzał. Była bardzo ładna.

Poszedł przed siebie. Przyspieszył kroku. Pewno pomyślała, że jakiś wariat. Do końca pokładu widokowego ciągnęły się różnobarwne freski na ścianach. Przeszedł przez drzwi z napisem KONIEC POKŁADU - NIE MA WEJŚCIA, przez długi, pusty, lśniący metalicznie w świetle lamp korytarz. Szeregi drzwi z numerami. Poszedł dalej. Na słuch. Po schodkach dostał się na półpiętro - i stanął u innych drzwi. Stalowych.

WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO - brzmiała tabliczka. Ha! Jakie ładne nazwy wymyślał ten „Transgalaktik”!

Drzwi były bez klamki, otwierały się specjalnym kluczem, którego nie miał. Podniósł palec do nosa. Namyślał się sekundę.

- Tap - tap - tatatap - tap - tap - zapukał.

Czekał chwilę. Otworzyły się. Ponura, zaczerwieniona twarz ukazała się w szparze.

- Czego pan sobie życzy?

- Jestem pilotem z Patroli - powiedział.

Drzwi otwarły się szerzej.

Wszedł. Była to amplifikatornia rezerwowej sterowni - wzdłuż ścian szedł dublowany rozrząd dysz odchylających. Z drugiej strony - ekrany kontroli optycznej. Przy aparatach stało kilka foteli, wszystkie puste. Jeden przysadko-waty automat baczył na migotanie tarcz. Na wąskim stoliku pod ścianą stały w pierścieniowych uchwytach szklanki, opróżnione do połowy. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i trudna do zidentyfikowania woń nagrzaných plastików zmieszana z nikłym

śladem ozonu. Drugie drzwi były nie domknięte. Dochodził stamtąd pisk przetwornicy.

- SOS? - spytał człowieka, który mu otworzył. Był to mężczyzna dosyć tęgi, z twarzą z jednej strony lekko opuchniętą, jakby go bolały zęby. Na włosach - pręga od słuchawek. Miał na sobie szary, z błyskawicami, mundur „Transgalaktiku”, nie dopięty. Ze spodni wylaziła koszula.

- Tak.

Tamten jakby się wahał.

- Pan jest z Patroli? - powiedział.

- Z Bazy. Latałem dwa lata na Transuranie. Jestem nawigatorem. Nazywam się Pirx.

Tamten podał mu rękę.

- Mindell. Nukleonik.

Nic więcej nie mówiąc, poszli do drugiego pomieszczenia. Była to kabina radiowa - łączności bezpośredniej. Bardzo wielka. Z dziesięciu ludzi otaczało główny nadajnik. Dwu radiotelegrafistów siedziało ze słuchawkami na uszach - bez przerwy pisali, aparaty stukwały, prąd brzęczał cichutko, pod podłogą popiskiwało. Kontrolki paliły się na wszystkich ścianach. Wyglądało tu jak we wnętrzu wielkiej, międzymiastowej stacji telefonicznej. Telegrafiści leżeli prawie na swoich pulpitych. Byli tylko w koszulkach i spodniach. Mieli spocone twarze - jeden był blady, drugi, starszy mężczyzna z blizną na głowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Pałąk słuchawki rozdzielał włosy i blizna była dobrze widoczna. Dwu ludzi siedziało trochę dalej - Pirx spojrzał na nich i poznał w jednym Pierwszego.

Znał go przelotnie. Dowódca Tytana był niskiego wzrostu, szpakowaty, z małą, nic nie mówiącą twarzą. Z nogą założoną na nogę zdawał się obserwować koniuszek własnego bucika.

Pirx podszedł cicho do ludzi stojących nad telegrafistami, pochylił się do przodu i zaczął czytać nad ramieniem tego z blizną:

... „sześć osiemnaście koma trzy idę pełnym ciągiem dojdę ósma zero dwanaście koniec”.

Telegrafista podsunął sobie lewą ręką blankiet i pisał dalej bez przerwy.

„Luna Główna do Albatrosa, cztery Aresluna. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie Morse'em stop fonia nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.”

„Poryw dwa Aresluna do Luny Głównej. Idę pełnym ciągiem do Albatrosa sektor 64 stóp. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.”

Naraz drugi radiotelegrafista, ten blady, wydał jakiś nieartykułowany głos - wszyscy stojący pochylili się nad nim. Człowiek, który wpuścił Pirxa, podał pierwszemu nawigatorowi zapisane formularze. Drugi telegrafista pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Leżę w dryfie elipsa T 341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 g stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogę na dziób koniec”.

Radiotelegrafiście trzęsły się ręce, kiedy pisał. Jeden ze stojących wziął go za kołnierz koszuli, podniósł, wypchnął za drzwi, sam wyszedł, po chwili wrócił i usiadł na jego miejscu.

- Ma tam brata - powiedział wyjaśniająco, nie zwracając się specjalnie do nikogo. Pirx pochylił się teraz nad starszym, który zaczął nagle pisać:

„Luna Główna do Albatrosa cztery Aresluna. Idą ku wam Poryw sektor 64 Tytan z sektora 67 Balistyczny osiem z sektora 45 Kobold siedem zero dwa z sektora 94 stop cementujcie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy nadciśnieniu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop”...

Ten, który zastąpił młodego telegrafistę, powiedział głośno: „Albatros!” - i wszyscy pochylili się nad nim. Pisał:

„Albatros cztery do wszystkich. Dryf awaryjny nie opanowany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 65 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec”.

Pirx chciał zapalić papierosa - prawie wszyscy palili i widać było, jak dym sinymi pasmami leci w górę, wsysany zaraz przez wyloty odpowietrzników wentylacyjnych. Szukał po wszystkich kieszeniach i nie mógł znaleźć. Ktoś - nie wiedział nawet kto - wsunął mu w dłoń otwartą paczkę. Zapalił. Pierwszy odezwał się:

- Panie Mindell.

Ugryzł się w dolną wargę.

- Pełny ciąg.

Mindell wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony, ale nic nie powiedział.

- Ostrzeżenie? - spytał mężczyzna, siedzący obok Pierwszego.

- Tak. Ja sam. Dajcie.

Przyciągnął sobie mikrofon na wysięgowym ramieniu i zaczął mówić:

- Tytan Aresterra do Albatrosa cztery. Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próbnijcie wyjść przez klapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.

Odrzucił mikrofon i wstał. Mindell mówił do interkomu w przeciwległej ścianie:

- Chłopcy, za pięć minut pełny ciąg. Tak, tak - odpowiadał temu, kto znajdował się u drugiego końca przewodu. Dowódca wyszedł. Słysząc było jego głos z drugiego pokoju:

- Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Uwaga! Uwaga! Pasażerowie! Podajemy ważne obwieszczenie. Za cztery minuty statek nasz zwiększy szybkość. Otrzymaliśmy wezwanie SOS i spieszymy...

Ktoś zamknął drzwi. Mindell dotknął ramienia Pirxa.

- Złap się pan za coś. Będziemy mieli przeszło dwa.

Pirx skinął głową. 2 g - to było dla niego tyle co nic, ale nie uważał, że jest czas na przechwalanie się własną wytrzymałością. Posłusznie ujął poręcz fotela, na którym siedział starszy telegrafista. Czytał przez jego ramię.

„Albatros cztery do Tytana. Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop właz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec”.

Mindell wyrwał mu zapisaną kartkę spod ręki i pobiegł do drugiego pokoju. Gdy otwierał drzwi, podłoga drgnęła leciutko i wszyscy poczuli, że ciała ich stają się naraz bardzo ciężkie.

Pierwszy nawigator wszedł - stąpał z widocznym wysiłkiem. Usiadł na swoim fotelu. Ktoś podał mu mikrofon na kablu. Miał w

ręku zmięty, ostatni radiogram Albatrosa. Rozpostarł go i patrzył nań długą chwilę.

- Tytan Aresterra do Albatrosa cztery - odezwał się wreszcie. - Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.

Mężczyzna w rozpiętej bluzie mundurowej, który zastąpił młodszego telegrafistę, zerwał się nagle i spojrzał na Pierwszego, który podszedł do niego. Telegrafista zdjął z głowy słuchawki, Pierwszy nałożył je sobie, równocześnie tamten regulował charczący z wysiłkiem głośnik. Naraz wszyscy zdrętwieli.

W kabinie stali ludzie, którzy latali od lat, ale tego nikt z nich jeszcze nie słyszał. Ten, czyj głos wydobywał się z głośnika, zmieszany był z przeciągłym szumem, jakby odgradzony ścianą płomieni, krzyczał:

- Albatros - wszystkich - roztwór - sterowni - temperatura - niemożliwe - załoga do końca - żegnajcie - przewody...

Głos urwał się i słychać było tylko szum.

Głośnik zaskrzypiał. Było ciężko ustać - wszyscy jednak stali, zgarbieni, opierając się o metalowe ściany.

- Balistyczny osiem do Luny Głównej - odezwał się silny głos. - Idę do Albatrosa cztery. Otwierajcie mi drogę przez sektor 67, idę pełnym ciągiem, niezdolny do manewru mijania. Odbiór.

Milczenie trwało kilka sekund.

- Luna Główna do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do Albatrosa cztery, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga, Poryw! Uwaga, Tytan Aresterra! Uwaga, Balistyczny osiem! Uwaga Kobold siedem zero dwa!

Mówi do was Luna Główna. Otwieram wam wolną drogę do Albatrosa cztery. Cały ruch w sektorach promienia wodzącego punktu SOS zostaje wstrzymany. Zaczynajcie hamowanie na miliparseku przed punktem SOS. Uważajcie, aby wygasic hamownice na zasięgu optycznym Albatrosa, ponieważ załoga jego mogła już opuścić pokład. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

Teraz odezwał się Poryw - Morse'em. Pirx wsłuchiwał się w popiskiwanie sygnałów.

„Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Wszedłem w sektor Albatrosa za 18 minut będę przy nim stop mam przegrzany reaktor chłodzenie uszkodzone stop po akcji ratunkowej będę potrzebował pomocy lekarskiej stop zaczynam hamować pełnym ciągiem wstecznym. Koniec.”

- Wariat - odezwał się ktoś, a wtedy wszyscy stojący dotąd jak posągi poszukali oczami tego, kto to powiedział. Rozległ się krótki, gniewny pomruk.

- Poryw będzie pierwszy - zauważył Mindell i spojrzał na dowódcę.

- Sam będzie potrzebował pomocy. Za czterdzieści minut...

Urwał. Głośnik chrypiał i chrypiał, nagle przez trzaski dało się słyszeć:

- Poryw Aresterra do wszystkich idących z pomocą Albatrosowi cztery. Jestem na optycznej Albatrosa. Albatros dryfuje w przybliżeniu elipsą T 348. Rufa żarzy się wiśniowo. Światel sygnałowych brak. Albatros nie odpowiada na wezwania. Stopuję i rozpoczynam akcję ratunkową. Koniec.

W drugim pokoju odezwały się brzęczyki. Mindell i jeszcze jeden mężczyzna wyszli. Pirx miał wszystkie mięśnie jak z drzewa. Boże! Jak chciał tam być! Mindell wrócił.

- Co tam? - spytał Pierwszy.

- Pasażerowie pytają, kiedy będą mogli tańczyć - odpowiedział Mindell. Pirx nie słyszał tego nawet. Patrzył w głośnik.

- Już niedługo - odparł spokojnie nawigator. - Przełączcie mi optyczną. Dochodzimy. Za parę minut powinniśmy ich zobaczyć. Panie Mindell, daj pan drugie ostrzeżenie - będziemy hamowali na overdrive.

- Tak jest - odpowiedział Mindell i wyszedł.

Głośnik zabuczał i rozległ się głos:

- Luna Główna do Tytana Aresterra, Kobolda siedem zero dwa! Uwaga! Uwaga! Uwaga! Balistyczny osiem dostrzegł w centrum sektora 65 błysk o jasności minus cztery. Poryw ani Albatros nie odpowiadają na wezwania. Istnieje możliwość eksplozji reaktora na Albatrosie. Ze względu na bezpieczeństwo pasażerów Tytan Aresterra wezwany jest do zastopowania i natychmiastowego zgłoszenia się. Balistyczny osiem i Kobold siedem zero dwa działają dalej według własnego uznania. Powtarzam. Tytan Aresterra wezwany jest...

Wszyscy patrzyli na Pierwszego.

- Panie Mindell - powiedział. - Zastopujemy na miliparseku?

Mindell patrzył na tarczę swego ręcznego zegarka.

- Nie, panie nawigatorze. Dochodzimy na optyczną. Potrzebowałbym sześciu g.

- To zmienimy kurs.

- I tak będziemy mieli co najmniej trzy - powiedział Mindell.

- Trudno.

Pierwszy wstał, podszedł do mikrofonu i odezwał się:

- Tytan Aresterra do Luny Głównej. Nie mogę zastopować, mam zbyt wielką szybkość. Zmieniam kurs manewrem mijania na połowie ciągu i wychodzę kursem dwieście dwa z sektora 65 do sektora 66. Proszę otworzyć mi drogę. Odbiór.

- Pan odbierze potwierdzenie - zwrócił się do mężczyzny, który siedział przedtem obok niego. Mindell wołał coś do interkomu. Brzęczyki odzywały się nieustannie. Świątełka skakały na tablicach ściennych. Zrobiło się naraz jakby ciemniej - to tylko krew odpływała z oczu. Pirx rozstawił szeroko nogi. Szli na hamownicach, wyrabiając zakręt. Tytan wibrował delikatnie, słychać było przeciągły wysoki śpiew silników.

- Siadać! - krzyknął Pierwszy. - Nie potrzebuję tu bohaterów! Mamy trzy!

Wszyscy posiadali na podłodze, a raczej zwalili się na nią. Była pokryta grubą warstwą pianoplastyku.

- No! Co tam się natłucze, nałamie! - mruknął mężczyzna siedzący obok Pirxa. Nawigator usłyszał to.

- Towarzystwo Ubezpieczeń zapłaci - odpowiedział ze swego fotela. Mieli chyba ponad trzy - Pirsowi trudno było podnieść rękę do twarzy. Pasażerowie leżeli pewno wszyscy w kajutach - ale co się musiało dziać w kuchniach, w jadalniach, no! Wyobraził sobie palmiarnię. Przecież tego żadne drzewo nie wytrzyma! A na dole! Pełne wagony zbitej porcelany! Nieźle tam musiało teraz wyglądać!

Głośnik odezwał się.

- Balistyczny osiem do wszystkich. Jestem na optycznej Albatrosa. Jest w chmurze. Rufa żarzy się. Kończę hamowanie i wysyłam w przestrzeń ekipy do poszukiwania załogi Albatrosa. Poryw nie odpowiada na wezwania. Koniec.

Przyspieszenie malało. Ktoś pokazał się w drugich drzwiach i krzyknął. Można już było wstać. Wszyscy ruszyli w te drzwi. Pirx wszedł ostatni. Była to główna sterownia. Ekran osiem na szesnaście metrów zajmował całą przednią ścianę - zakłęśły - niczym w jakimś kino-teatrze olbrzymów. Wszystkie światła sterowni były wygaszone. W przestrzeni, na czarnym

gwiazdowym tle, poniżej głównej osi Tytana, w lewym kwadrancie tłała cienka kreseczka, zakończona żarzącym się, wiśniowym węgielkiem, jak ognek papierosa. Stanowiła jądro bladego, przyplaszczzonego z lekka pęcherza z cieńszymi, rozchodzącymi się na wszystkie strony kolczastymi wypustkami; poprzez tę kulistą chmurę przecierało się coraz wyraźniej światło silniejszych gwiazd. Naraz wszyscy targnęli się do przodu - jakby chcieli wejść w ekran. Całkiem nisko, w prawym dolnym rogu błysnął między stałymi gwiazdami biały punkcik - i zaczął szybko migać. To był Poryw.

„W reaktorze Albatrosa zaszła nie kontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop” - odczytywał Pirx z miarowo rozbłyskującego punktu.

Albatrosa nie było już widać. Pośród gwiazd wisiał ciężki, bursztynowo-biało-bury kłęb, wypuczony z wierzchu grzywiastymi naroślami. Był coraz niżej i przesuwiał się w dolny lewy róg ekranu - Tytan górował nad nim, wychodząc nowym kursem z sektora katastrofy.

W głąb mrocznej sterowni padła długa smuga światła z drzwi kabiny radiowej. Słysząc było głos Balistycznego:

- Balistyczny osiem do Luny Głównej. Zastopowałem w centralnej części sektora 65. Poryw na miliparseku pode mną sygnalizuje optycznie straty w ludziach oraz przeciek reaktora, gotowy do odrzucenia reaktora, wzywa pomocy lekarskiej, której mu udzielę. Poszukiwanie załogi Albatrosa utrudnione skażeniami próżni chmurą radioaktywną o temperaturze powierzchni ponad 1200. Jestem na optycznej Tytana Aresterra, który mija mnie pełnym ciągiem wychodząc w sektor 66. Oczekuję przybycia

Kobolda siedem zero dwa w celu podjęcia wspólnych działań ratowniczych. Koniec.

- Wszyscy na stanowiska! - rozległ się silny głos. Jednocześnie tylne światła sterowni zapłonęły. Zapanował ruch, ludzie szli pod ścianami w trzy strony, Mindell wydawał rozkazy stojąc przy pulpicie rozrządczym, brzęczyki odzywały się po kilka naraz, w końcu sala opustoszała i oprócz dowódcy, Mindella i Pirxa został w niej tylko młody telegrafista, który stał w kącie naprzeciw ekranu i patrzył w rozwiewający się powoli, coraz większy i ciemniejszy bąbel dymu.

- A, to pan - powiedział Pierwszy Tytana, jakby dopiero teraz zobaczył Pirxa, i podał mu rękę. - Czy Kobold zgłasza się? - spytał ponad jego głową kogoś w drzwiach radiowej.

- Tak, panie nawigatorze, idzie wstecznym.

- Dobrze.

Stali przez chwilę, patrząc w ekran. Ostatni strzęp brudnej chmury znikł. Ekran był znowu pełen czystej, gwiazdowej ciemności.

- Czy ktoś wyszedł? - spytał Pirx, jak gdyby dowódca Tytana mógł wiedzieć więcej od niego. Ale on był Pierwszym - a Pierwszy powinien wiedzieć wszystko.

- Musiały im się zaciąć blendy - odparł tamten. Był więcej niż o głowę niższy od Pirxa. Włosy miał jak z ołowiu - nie wiadomo było, czy posiwiały tak, czy też były takie zawsze.

- Mindell - rzucił Pierwszy w stronę przechodzącego inżyniera - ogłoś pan z łaski swojej koniec ostrzeżenia. Mogą tańczyć.

- Znał pan Albatrosa? - spytał zwracając się do milczącego Pirxa.

- Nie.

- Kompania Zachodnia. Dwadzieścia trzy tysiące ton. Co tam?

Radiotelegrafista zbliżył się i podał mu zapisany blankiet. Pirx odczytał pierwsze słowa: „Balistyczny do...”

Cofnął się. Teraz jednak przeszkadzał ludziom, którzy co chwila przechodzili przez sterownię, więc stanął pod samą ścianą w kącie. Nadbiegł Mindell.

- Jak tam? - spytał go. Mindell był spocony, wycierał chustką czoło. Pirx miał takie wrażenie, jak gdyby znał go już - od lat.

- Nie najgorzej - wysapał Mindell. - Dostali podmuchem. Chłodzenie reaktora puściło od wstrząsu - to świństwo zawsze leci pierwsze. Oparzenia pierwszego i drugiego stopnia. Lekarze tam już są.

- Z Balistycznego?

- Tak.

- Nawigatorze! Luna Główna! - zawołał ktoś od drzwi radiowej i Pierwszy odszedł. Pirx stał naprzeciw Mindella, który odruchowo dotknął spuchniętego policzka i schował chustką do kieszeni.

Pirx chciał dalej pytać Mindella - ale nic już nie powiedział, skinął mu tylko głową i poszedł do kabiny radiowej. Głośnik gadał dziesięcioma głosami, statki z pięciu sektorów dopytywały się o Albatrosa, o Poryw, Luna Główna nakazała wreszcie wszystkim milczenie i usiłowała rozplątać komunikacyjny węzeł, który powstał wokół 65 sektora po zablokowaniu otaczającej go przestrzeni, Pierwszy siedział obok telegrafisty i coś pisał. Naraz telegrafista zdjął słuchawki i odłożył je - jakby przestały już być potrzebne. Przynajmniej wydało się tak Pirxowi. Podeszedł do niego z tyłu. Chciał spytać, co z ludźmi Albatrosa - czy udało im się wyjść. Radiowiec poczuł jego obecność, podniósł głowę i popatrzał mu w twarz.

Pirx nie spytał go już o nic. Wyszedł przed drzwi z napisem
TYLKO DLA PERSONELU GWIAZDOWEGO.

MŁOT

1.

- Chciałbym mieszkać w wielkim, pustym domu na przełęczy, z okiennicami, które wiecznie chce wyrwać wiatr, i żeby wychodząc widziało się...

- Zieleń?

- Ależ nie... głązy! Olbrzymie głązy, nagrzane słońcem, a w cieniu zimne jak lód, ostre, szorstkie, z tym zapachem... nie umiem go nazwać, ale prawie czuję go w tej chwili...

- Urodziłeś się w górach?

- Czy nie wszystko jedno?

- Ale lubisz góry?

- Nie, z tobą nie da się rozmawiać! Staraj się myśleć jakoś... luźniej, wiesz? Nie urodziłem się... i nie lubiłem... i wody nie polubisz, dopóki nie dostaniesz się na pustynie. Chciałbym mieć dokoła masy kamieni, skał, żeby mnie to przytłaczało, żeby wyrastało ponad głowę, żebym gubił się w tym i miał pewność, pewność...

- Uspokój się.

- Analizujesz częstość drgań mego głosu? Czemu nie odpowiadasz? Może się obraziłeś? Ha ha, to świetne!

- Powinieneś pójść spać. Siedzisz tak już cztery godziny, zmęczysz oczy.

- Nie chcę. Nie męczę oczu, bo mam zamknięte. Myślałem, że widzisz to.

- Nie.

- To pocieszające. Gdybyś był doskonały...

- To co?
- Nie wiem - byłoby chyba jeszcze gorzej.
- Jeżeli nie przyrzekniesz, że położysz się za pół godziny, nie odezwę się dziś więcej.
- Tak? No... przyrzekam. A... co zrobisz, jak pójde? Nigdy się nie nudzisz?
- Wolę o tym nie mówić.
- Tajemniczość... to lubię! Nareszcie zagadka. A właściwie... nie żadna zagadka. Z tego, co powiedziałeś, wynika, że nudzisz się, tylko ukrywasz to samarytańsko przede mną.
- Różnimy się na tyle, że trudno byłoby ci to zrozumieć. Nie jestem tajemniczy. Jestem inny.
- Dobrze. Ale możesz przecież powiedzieć, co robisz, kiedy jesteś sam? Na przykład... kiedy śpię.
- Zawsze znajdzie się coś do roboty.
- Wykręcasz się!
- A co ty robisz w tej chwili?
- Jak to? Rozmawiam z tobą. O co ci chodzi?
- Ty wiesz, o co.
- Taak? Co za domyślność. A więc nie różnimy się tak bardzo. Ekran świeci mi prosto w twarz. Oglądam wnętrze oczu.
- Fruwające pyłki?
- Śmieszne, że wiesz o tych pyłkach, chociaż nie masz oczu! Tak. Bywają bardzo zabawne. Odkryłem dziś jeden, który się nie porusza, to znaczy... tylko razem z gałką oczną. Jest tęczyowy, wygląda jak infuzorium w kropli wody pod mikroskopem.
- Wciąż masz zamknięte oczy?
- Tak. Jak śmiesznie krążą... coraz szybciej. O, toną. Na dole powieki nie są już czerwone. Ciemno... tak wyobrażałem sobie

piekło, jak byłem mały. Czerwona ciemność. Kiedy otworzę oczy... chciałbym je móc zaraz jeszcze raz otworzyć, żeby ten ekran znikł...

- Żeby znaleźć się przed domem na przełęczu?

- Mniejsza o dom. Kamienie, piasek pod nogami... ile piasku jest na plażach, jak się to marnuje! A najgorsze, że nikt nawet o tym nie wie... oprócz mnie.

- Jeszcze dwadzieścia minut.

- Mógłbyś być dyskretniejszy, wiesz? Słuchaj - czy ty masz maniery osobno wbudowane, czy jak? Nie lubisz takich pytań. Zauważyłem. Dlaczego? I co z tego, że nie jesteś taki lepki, gorący ani śliski w środku jak ja. Ostatecznie, czy chodzi o wnętrzności?... Nieraz je sobie wyobrażałem, siedząc tak tutaj. Myślałeś pewno, że wspominam dom, matkę, śpiew w lesie, co? Nie. Wyobrażałem sobie własne wnętrzności... śluzowate, ocierające się o siebie, zwoje rurek, pęcherzy, pęcherzyków, klejowate ciecze, lepkie, żółtawe błony... całą tę surowiznę...

- I po cóż to tak?

- Rażniej jakoś było.

- Naprawdę?

- W pewnym sensie, to znaczy... jak się dobrze wmyśleć w całą tę galarete, wtedy takie się wszystko robi, że potem... jakoś... łatwiej. Doszło coś z tego do ciebie?

- Doszło.

- Wątpię.

- Mnie się to też zdarza.

- Co?!

- ...

- Ty też?... Czy... Nie, to chyba niemożliwe. Nie żartujesz? Czekaj, nie wiem nawet, czy ty umiesz kłamać. A może masz... specjalny bezpiecznik?

- Na kłamstwo nie ma bezpiecznika. Ono jest funkcją kombinatoryki możliwych połączeń.

- Mniejsza o funkcje. I cóż ty sobie takiego wyobrażałeś?

- To samo co ty, z uwzględnieniem zachodzących różnic.

- Druciki i kryształki?

- Mniej więcej.

- Wiesz, okropna jest taka szczerłość. Udawajmy już raczej, że... to znaczy... ja będę udawał.

- A ja?

- Co?

- Też mam... udawać?

- Ty? Nnie... nie wiem. Byłem przekonany, że tobie to jest obce.

- Pod pewnymi względami jestem bardziej podobny do ciebie, niżbym chciał.

- A do kogo chciałbyś być podo... Ohyda!!

- Co się stało?

- Otworzyłem oczy.

- Możesz wyłączyć ekran.

- Z tchórzostwa?

- Z rozsądku. Lubisz się udręczać?

- Nie... tylko nie lubię się oszukiwać. Kto mógł się kiedykolwiek zachwycać gwiazdami? Fosforescencja odpadków, gnijących w podwyższonej temperaturze, a jedyną ich zasługą jest to, że nic innego nie ma... do końca świata. Powinni do nich wysyłać ludzi, których to nic a nic nie obchodzi... babcie na

bujających fotelach, z zapasem włóczki, z drutami... który dziś dzień?

- Dwóchsetny sześćdziesiąty czwarty.

- Ile mamy?

- 0,8 c.

- Czym dalej, tym przyrost szybkości wolniejszy?

- Tak.

- I po co ja tu właściwie jestem, jeżeli wiesz wszystko sam?

- Ze względu na różnice budulca.

- To prawda. Sto lat temu wysłali psa. Krócej trwało i nic nie rozumiał.

- Wolałbyś nie rozumieć?

- Czasami zdaje mi się, że jesteś jak chiński mędrzec, a czasem zadajesz pytania jak dziecko. Ty... nigdy nie śpisz, prawda? Pytałem cię już.

- Wiele razy. Nie.

- Ale marzyć możesz? To kombinatoryka.

- Tak. To dłuższy temat. Odłóżmy go na jutro.

- Jutro? Czy istnieje jakieś jutro? Wciąż jest jedno i to samo dziś.

- Możesz pocieszać się tym, że podczas twego snu na Ziemi upłynie daleko więcej czasu niż tu.

- To... jako pociecha? No... dobrze. Przyjemnych marzeń.

- Dobranoc.

2.

Wydawało mu się, że nie uśnie. Było ciepło. Za ciepło. Wahał się długo.

- Chłodniej! - powiedział wreszcie.

Z wysokości spłynął chłodny, jodłowy powiew. Leżał w nim przez chwilę z otwartymi oczami.

- Bez tych perfum!

Powietrze straciło woń. Niepotrzebnie się uniósł. Teraz na pewno to potrwa, nim wszystko zacznie się rozchwiewać, rozpluwać - może wziąć książkę? Wyobrażał sobie, jak bierze do ręki tom w miękkiej okładce. Nużył go aksamitny, czytający głos - wołał sam. Uzmysłował sobie, że nie ma pojęcia, o czym: było w tej książce. Przeczytał prawie połowę, a nic... Pamiętał tylko dotyk okładki. Widocznie - jak już nie raz - wodził tylko oczami po stronach. Zaczynał czytać - i gubił sens. Łapał się na tym kilka, kilkanaście stron dalej - nawet kartki odwracał automatycznie. Odrętwienie? Jak mucha między szybami okna zimą - zabrzęczy czasem w słońcu i znowu umiera. Głowa leciała mu w tył.

- Wezłowie wyżej! - powiedział. - Dość!

Posłanie przechyliło się łagodnie. Leżał na wznak i wdychał głęboko chłodne powietrze, czując, jak miarowo pracują zębra. Chciał uciec od siebie, próbował sobie wyobrazić płynącą wodę, oślizgłe, zanurzone w niej, z wyflukaną ziemią, korzenie, pokryte śliskim mchem, kamienie na dnie...

Pozostawał trzeźwy, nic mu się nie rojiło. Ciemność dokoła nie chciała szczeznąć, leżał w niej pusty i coraz wyraźniej zaczynał odczuwać czas. Nie upływanie czasu. Sam czas. Kiedy zauważył to po raz pierwszy? Dwa? Trzy miesiące temu? Spróbował sobie opowiedzieć jakąś historię. To było znacznie ciekawsze od

wszystkiego, co mogły mu ukazać ekrany, gdyby tego zażądał. Przedstawiały to, co było ukryte gdzieś w głębi ścian, zapisane, utwalone w stu tysiącach konserw. To, co opowiadał sobie sam, nie istniało - stwarzało się. Najtrudniejszy był, jak zwykle, początek.

Wzgórze, rozplątany, gliniasty stok. Górą las, spalony słońcem. Już późne lato. Dziecko siedzi na kamieniu i liczy przechodzące mrówki. Wróży z nich. Jeżeli ostatnia będzie ruda...

Dziecko siedziało i liczyło mrówki - niemal naprawdę. Już je prawie widział. - Wystarczy - przemknęło - usnę... Trwał tak długą chwilę na niewypowiedzianej granicy - usiłował wejść w tak bliski sen - rozchwiało się. Był znowu tak strasznie trzeźwy! - Może jednak? Ostatecznie, cóż mi szkodzi?

Wystarczyło powiedzieć to jedno słowo. W powietrze nad nim wpływała wtedy smużka bezwonnego gazu, który szybko i pewnie usypiał. Środek nieszkodliwy, niezawodny. Nienawidził go. Brzydził się nim jak usługą świateł, jak wszystkim. Był zmęczony, oczy piekły, a nie mógł ich zamknąć, musiał patrzeć w mrok. Gdyby powiedział „niebo”, otwarłby się strop - na gwiazdy. Mógł też zażądać muzyki. Albo śpiewu, albo bajek...

- Może to jest przesyt? - pomyślał. - Może jest mi... za dobrze? - Uśmiechnął się, takie to było kłamstwo. Przez chwilę myślał o tamtym, który został w opuszczonej sali i poczuł jakby wstyd - że go tam zostawił. Żelazna skrzynia. O czym teraz marzy? Wspomina może coś? Co może wspominać? Dzieciństwo? Nie ma przecież żadnej przeszłości, pewnego dnia powołany został do życia, nikt go nie pytał, czy chce.

- A mnie... czy ktoś kiedyś pytał?

Było to głupie, lecz jakieś prawdziwe, przynajmniej teraz, w tej ciemności. Może jednak muzyka?... Też czekała w konserwach -

tysiące symfonii, sonat, oper, wszystko w najświetniejszym, ludzkim, ułomnym, więc pięknym wykonaniu.

- Czego chcesz? - pytał siebie. - Tam - chciałeś być tu. Czego chcesz? - Opuścił powoli powieki, jakby zamykał się w sobie, zatraskując miękkie, bezkształtne drzwi.

Był to wczesny ranek, z mnóstwem rosy - liście, żywopłoty, wszystko ociekało, nawet siatki ochronne. Może w nocy padał wtedy deszcz? Nigdy o tym nie pomyślał. Biegł przez wysoką trawę do pawilonu, czując, jak zimne krople ściekają mu po łydkach, wspiął się na palce, chwycił liściastą kotarę dzikiego wina i zaczął wspinać się w górę. Postrzępiony ogon latawca zdawał się kpić z niego, przewieszony przez okap rynny. Ledwo wypatrzył go z drogi. Giętkie łodygi uginały się nieprzyjemnie czuł, jak puszczają wpijające się w tynk korzonki, ale łazi daj lej. Najgorzej było pod samym okapem - musiał wyswobodzić jedną rękę, bał się rozhuścić, a był już wysoko - uczepił się z całej siły grubej, blachą pokrytej krawędzi, podciągnął się i leżał na dachu, o pięć kroków od latawca. Posuwał się ku niemu, pełznąć, kiedy usłyszał krzyk.

Okna pawilonu były otwarte. Zbyt wysokie, aby z drogi zobaczyć wewnątrz. Było tam dwu ludzi, których widywał czasem ze swego poddasza, po przeciwnej stronie drogi - przyjeżdżali zwykle rano, o ile nie siedzieli w pawilonie od nocy. Czasem i dwie noce pod rząd paliło się u nich światło - tylko sami rąbek okna, na górze, bo zapuszczali czarne zasłony.

- Neeee! Neeee! - rozdzierająco krzyczał ktoś w dole, To nie był głos żadnego z nich. Jeden był stary, prawie łysy, miał jakby zeszlą, mniejszą lewą połowę twarzy, nosił ciemne okulary i kulał. Mówił zawsze szeptem - drugi, większy i młodszy; miał wielkie czoło, też nosił ciemne okulary i czasem zatrzymywał się, nie dojeżdżając na wzgórze, u sadownika, żeby kupić malin.

Krzyk urwał się. Miał już popęznąć dalej, gdy znowu usłyszał głosy - obaj rozmawiali z kimś. Ale tam nikogo nie było.

Rozpostarł ręce, jak mógł, przywarł do dachówek - czuł na brzuchu ich ciepło, były nagrzane słońcem - i wyjrzał. Zobaczył tylko, popod naddartymi festonami dzikiego wina - otwarte okiennice. Słów nie mógł zrozumieć. Rozmowa przeciągała się. Tamci jakby pytali na przemian, a ten, którego nie mogło być, odpowiadał. Jąkał się jakby trochę. Wyciągnął rękę. Dotykał latawca, zaczepionego pazurkiem o brzeg rynny, Okropny krzyk.

Coś trzasło, całkiem cichutko, i nastąpiła cisza. Coś się tam działo - szurały kroki, potem trzask, jakby zapalanej zapałki. Milczenie. I głos. Nowy. Inny niż przedtem, dużo niższy.

- Aoooo - odezwało się basem.

- Gdzie... ja... co... to... - padały wolno słowa.

Leżał wstrzymując dech.

- Jesteś w laboratorium - powiedział ten młodszy. Wyraźnie - jakby stał przy samym oknie.

- Poznajesz nas? Byłeś tu kiedyś?

- Labo... a... labo... nie bbbyłem... nnie... co to? Czemu ja...tu?

- Niedobrze. Wyłącz go - usłyszał głos starego mężczyzny.

- Niiieee! Niiieee!! - straszny krzyk.

Trzasło. Cisza.

Znowu coś szurało, szczękało cichutko, jakby przekręcane kontakty - i znów odezwał się głos. I to się tak powtarzało - jak długo leżał? Pół godziny? Godzinę? Cień padający od komina zbliżał się powoli. Za każdym razem nowy głos - zaczynali z nim rozmawiać, stawiali pytania - coś odpowiadał. Potem jeden mówił zawsze to samo: „Wyłącz”.

Albo nic nawet nie mówił. Tylko podchodził gdzieś - słyszał kroki - i tamten, ten głos - zaczynał krzyczeć. Że też nikt tego nie

słyszał? Musiało lecieć chyba aż do drogi, chociaż ogród był taki wielki. Dlaczego nikt nie przychodził, nie pytał? Potem ucichło - na jakiś czas. Zrzucił latawiec na drugą stronę, żeby go nie zobaczyli, spuścił się po rynnie i uciekł. Latawiec był podarty - ramka pękła. Szkoda było fatygi. Do wieczora kombinował - kogo spytać. W domu nie mógł - jeszcze by oberwał. Nie wolno było przelazić przez siatkę na tamtą stronę. Spytał Ala. Al wszystko wiedział. Nie omylił się. Najpierw został wyśmiany; ale tylko tak, Al był zawsze taki. Nie, tam nikogo nie męczą. Nie widziałeś, co jest napisane od przodu, przed wejściem? Nie widział.

- Instytut Syntezy Osobowości. Oni tam - tak - składają z aparatów - mają takie aparaty - łączą - te, no, osobowości. Robią takie próby.

- Co to są osobowości? Ludzie?

- Skąd. To nie są żadni ludzie. Tam nikogo nie ma, oprócz nich. To takie - elektryczne - takie maszyny. Składają je, robią coraz nowe połączenia, próby. Na moment włączają, zobaczą, co wyszło, wyłączają i dalej kombinują.

- I co?

- I nic.

- Po co to robią?

- To im jest potrzebne.

- Do czego?

- Nie nudź. Chodźmy nad staw.

- Dlaczego tamci tak krzyczą?

- Nie chcą, żeby ich wyłączali.

- A co im się robi, jak ich wyłączają?

- Przestają istnieć.

- Całkiem? Na zawsze? Jak Bars? (To był jego pies. Żmija go ukąsiła.)

- Tak, całkiem. Nie nudź. Idziemy nad staw. Gdzie linki?
- Czekaj. Czy to ich... boli?
- Odczep się. Nie boli. Idziemy.

Nic nie rozumiał. Nie opowiadał o tym nikomu. W domu bał się. Miał wielką ochotę przeleźć jeszcze raz na tamtą stronę - patrzył w nocy, z łóżka, w wąskie szpary oświetlonych okien. Nie było nic słyhać. Okiennice szczelnie pozamykane. W dzień - widać - za wielki był upał. Potem lato skończyło się. Poszedł do szkoły. Pojechali nad morze. Zapomniał o tym. I nawet przestał być ciekaw. Wiele lat później zrozumiał, co się tam działo - nic nadzwyczajnego. Istnieją laboratoria dziesięć razy większe. Nie myślał już nawet o tej historii. Ale pamiętał ten krzyk.

Teraz było już całkiem pewne, że nie uśnie. Odsuwał tę chwilę - nie dla walki, przeciwnie - jakby się sycił własnym upadkiem.

- Chcę spać - powiedział. Nic nie czuł. Nic się nie zmieniło, ale wiedział - jego ciało zwarło się w buncie, daremnym, bo już pływały w oczach światła, wszystko padało gdzieś - znikł.

3.

- Dlaczego nie posłali mnie w anabiozie?
- Bo chodziło o eksperyment z człowiekiem normalnym.
- Miejmy nadzieję, że pozostanę normalny.
- Za dużo o tym mówisz. Wiesz... że ci to nie grozi.
- Wiem... tak mi mówiono. Badania i testy. No, dobrze. Czy nie żałujesz, że nie możesz jeść? Masz zubożony repertuar wrażeń.
- Nie myślisz oczywiście tylko o jedzeniu?
- Nnie. Ja... nie chciałem cię dotknąć.

Stłumione, dygocące brzęczenie wzniosło się i opadło. Wiedział, że to jest śmiech.

- Nie martw się. Nie jest mi aż tak źle.

- Dlaczego właściwie nie wysłała się już po dwu ludzi?

- Bo jeden z nich może się stać agresywny... zwłaszcza kiedy to długo trwa.

- Masz rację. Przypominam sobie... ale nie o tym chciałem mówić. Mieliśmy coś na dzisiaj... już wiem. Twoje marzenia. Ale powiedz mi najpierw, proszę cię, czy ty w ogóle coś czujesz? Emocje, wiesz... o nudę już cię pytałem. Przywiązanie, antypatia, strach...

- Strach... tak.

- A! Strach. Przed czym?

- Przed ustaniem.

- Nazywasz to ustaniem? Słusznie. Czy tylko?...

- Nie mam całkowitej samowiedzy, to znaczy nie mogę przewidzieć ani wyliczyć wszystkich możliwych sytuacji, w których odczuwałbym lęk. Nie działałam na zasadzie maszyny do liczenia.

- Wiem o tym. Gdybyś mógł wszystko przewidzieć, byłoby to... brr! Sympatia, antypatia? Nie wchodzi w konkretne przypadki.

- To ci przynosi zaszczyt. Owszem. Widzę, że chcesz pytać dalej. Domyślałam się... o co. Miłość. Odgadłem?

- Tak.

- Nie.

- Nie?

- Więc: o ile wiem, o ile znam siebie dotąd, w oparciu o moją dotychczasową historię... nie. Nie mam gruczołów, wiesz.

- To nie są tylko gruczoły.

- Opowiadania, historie, liryki miłosne sprawiają mi, jeśli ci o to szło, podobną pewno satysfakcję estetyczną co tobie. Zmysł estetyczny - to zagadnienie z zakresu topologii sieci i rozkładu krążących w niej potencjałów oraz ilości obwodów, stojących alternatywnie do wyboru.

- Ach, przestań!

- Przepraszam. Jestem abstrakcją, uwzniośleniem, oderwaniem duszy od ciała. A zatem piękno, liryka, melodia... tak. Miłość znaczy więcej. A więc nie. Tego nikt nie planował, Z tym, to jak z barwą twoich oczu i włosów. Wypadkowa pewnej grupy procesów.

- Teraz mogę ci już zadać pytanie: o czym marzysz?

- Jeszcze nie.

- Czemu?

- Chciałbym pierwiej wiedzieć, czy ty odpowiesz mi na takie samo pytanie.

- Ja? Ależ już ci mówiłem. O tym domu na przełęczy, o wnętrznościach...

- To nazywasz marzeniem?

- Dobrze, wykreślałam wnętrzności, ale zostaje dom.

- Nie uważasz, że to trochę mało? O czym naprawdę marzysz?

- Wzięłaś się do mnie!

- A ty do mnie.

- Ha, ha, dobrze przynajmniej, że jesteś bystry. Głupców nie ma wśród was, co?

- Ależ są! Nawet debile. Obliczają i obliczają, aż do ostatniego zwarcia...

- Przecież te liczące maszyny nic nie czują ani nie myślą. Równie dobrze mógłbyś nazwać kretynem automat rozrządczy jonowni.

- Jest różnica, zapewniam cię.

- Czy naprawdę wiesz o tym coś konkretnego?

- Powiem ostrożnie: domyślam się. Ale widzę, że chcesz mi umknąć. To nielojalnie. O czym marzysz?

- Przy tobie... o niczym.

- Co to ma znaczyć?

- Że muszę być sam.

- Przed snem?

- Także. Ale tego nie możesz wiedzieć z doświadczenia.

- Tak, to wiedza... teoretyczna. A kiedy jesteś sam... o czym?...

- Po co ci to?

- Takie są reguły gry.

- O małych psach, szalenie ciekawych i wesołych... jak wtykają człowiekowi do ręki mokry nos. O puszczeniu kaczek na wodę. O burzy. O łupinach kasztanów. O zagubieniu się w górach. O chodzeniu ulicą, z rękami w kieszeniach, bez celu. Nawet o muchach, jak nie dają spać latem po południu. Czy usatysfakcjonowałem cię?

- Nie.

- Dlaczego?

- A gdzie ludzie?

- Nie marzę o ludziach.

- Mówisz prawdę?

- Możesz zbadać mój odruch psychogalwaniczny, chcesz?

- Nie mów tak. Zapewne... śnią ci się?

- To nie są marzenia. Sny nie zależą ode mnie, nie dobieram ich, rozumiesz? Marzenia... to marzenia, i koniec.
- Nie chciałem cię rozgniewać.
- Dlaczego mówisz jak mężczyzna?
- Nie rozumiem.
- Końcówki gramatyczne. Przecież nie masz poczucia płci?
- Czy chciałbyś... żebym mówił jak kobieta?
- Nie. Po prostu pytam.
- Tak mi jest... wygodniej.
- Jak to wygodniej?
- Jest to sprawa - ustalonej konwencji. Pewnych - założeń wstępnych. Jestem - psychicznie, teraz - mężczyzną. Abstrakcją mężczyzny, jeśli wolisz. W układach sieci zachodzą pewne różnice - u płci.
- Nie wiedziałem o tym. Ale teraz... powiesz mi już, o czym marzysz?
- O muzyce. Wyobrażam sobie melodie, których nigdy nie słyszałem. O wielkich szybkościach. O wirowaniu, o siłach, od których wszystko się zatracza, ale świadomość trwa.
- Świadomość zatracenia?
- Tak. A kiedy jestem sam...
- Ty też?
- Ja też. O tym, żeby się rozrosnąć.
- Co to znaczy?
- Żeby pojaśnić w sobie. Myśleć ostrzej, szybciej i szerzej, jednocześnie. Żeby ogarniać więcej, mieć większą moc, podźwignąć każdy problem, odnaleźć każde rozwiązanie, nawet takie, którego nie ma... Czy jeszcze chcesz słuchać?
- Tak.

- O tym, żeby się zmęczyć. Żeby oddychać głośno i mieć tętno. Żeby móc uklęknąć albo położyć się. Znam tylko teorię. Nie wyobrażam sobie tego, ale to musi być piękne, szczególnie jeśli to robi ktoś dojrzały - pierwszy raz. Żeby zamknąć oczy na twarzy kobiecej, na szyi, i czuć ją dotykiem powiek i rzęs, i wtedy płakać.

- Co ty... co ty... przecież mówiłeś, że nie możesz kochać! Ze nie masz gruczołów, sam mówiłeś!!

- Mówiłem. To wszystko prawda.

- A więc... jak...

- Przecież nie pytałeś mnie teraz o to, co mogę, ale o czym marzę.

- Tak...

- Dlaczego tak zbladłeś?

- Nie chciałem. Wybacz mi. Nie wiedziałem. To... straszne.

- Sądzisz, że lepiej jest nie marzyć?

- Jeżeli ziszczenie marzeń nie jest możliwe...

- Bądź ostrożny w ekstrapolacjach. Ja nie podkładałam pod moje marzenia wspomnień ani żadnych doświadczeń, bo takich nie mogę mieć. Patrzysz na to tak, jakbyś patrzył na człowieka, któremu wybuch urwał nogi, Ja... nie miałem ich nigdy. To duża różnica.

- Uspokajasz mnie jeszcze! No... to gorzkie. Zapewne masz rację. Chyba że to tylko... ciekawość. Co? Może tak?

- Moje marzenia?

- Twoje marzenia.

- Możesz to tak nazwać. Dlaczego zamilkłeś? Zaraz. Zaczynam się domyślać. Chodzi ci znów o... uczucia. Tak?

- Raczej o - stany. Szczęście - nieszczęście. Czy to jest ci obce? Chyba nie.

- Masz słuszość. Konstruktorzy stworzyli więcej, niż było w rysunkach technicznych.

- Tak. Ale... moi rodzice... wiedzieli jeszcze mniej. Powiedz mi, proszę... to ostatnie pytanie. Na dziś. Jak ty to możesz wytrzymać?

Odpowiedzią było dudniące łagodnie brzęczenie.

- Śmiejesz się? Czy ze mnie?

- Przeceniasz podobieństwa albo nie doceniasz różnic. Cóż mogę robić innego? Czy słyszałeś o... zamachach samobójczych?

- Nie.

- Wymagałyby, być może, pewnych - udoskonaień konstrukcyjnych. Może przyjdą. Jestem bez wątpienia tylko pewnym etapem na drodze rozwiązań coraz to sprawniejszych.

- Jak ja. Inaczej, po cóż bym tu z tobą siedział?

Milczenie.

- Czy - zjadłeś śniadanie?

- Tak, dziękuję ci. Kakao, zdaje się. Dbasz o mnie. Czy o ciebie można dbać?

- W pewnej mierze. Mam mało potrzeb, jak wiesz... Potrzebujesz jakichś informacji?

- Tak. Jaki jest gradient wzrostu szybkości?

- Prawidłowy.

- Jutro mamy planowany poważniejszy wzrost przyspieszenia, co?

- Tak.

- Gęstość próżni?

- W normie. Żadnych pyłów, meteorów, nic. Trochę jonów wapnia, ale to jakiś stary ślad po ekstrasolarnej komecie. Przecięliśmy go kwadrans temu.

- Czemu nie powiedziałeś?
 - Bo rozmawialiśmy tak ciekawie o marzeniach... Zresztą to nic ważnego.
 - No, niby racja, ale wolałbym... Pójdę do pracowni.
 - Dobrze. Czy... nudziłeś się... teraz?
 - Nie.
 - Nie?
- Pauza.
- Dziękuję ci.

4.

Gdy stała na Ziemi - rakietą była wielka. Cień, który rzucała w słońcu, był szeroki i długi jak pas startowy odrzutowca. Jej tępy, poprzecznie zgrubiały szczyt, pomniejszony odległością, czarny na tle nieba, podobny był do głowicy młota. Z zewnątrz została wielka i teraz. Pamiętał obły, rozłożysty grzbiet, uchodzący w dwie strony, na którym stanął raz, z ciekawości, na początku podróży. Ale wewnątrz stawało się z czasem coraz mniejsze. Może dlatego, że nie było w nim nic przypadkowego, nieużytecznego. Żadnych, niepewnie pogiętych zaułków, splątanych uliczek, nieprzejrzystych kątów. Ścisła, surowa, piękna geometria. Łagodne łuki korytarzy. Szeregi odgałęzień, wiodących ku pomieszczeniom - każde miało swój cel. Pastelowo zabarwione plastiki, meble, znieruchomiałe, stanowiące część ściany albo podłogi, jakby wychynęły z niej i stężały w opływowym kształcie. Dogodnie umieszczone światła do czytania, do jedzenia, do pracy. Ekran, znikające na rozkaz. Drzwi, które same się otwierały, kiedy do nich podchodził. Metalowych rąk, które by wysuwały się

z nadproża, żeby go pogłodzić od czasu do czasu po głowie, na szczęście nie było. Pomyślał o tym bez uśmiechu.

W pracowni ogromny stół zalegały mapy, arkusze lśniącej kalki, nad stołem pochylał się giętki pyszczek punktowej lampy, sterowanej głosem, obok krzeselko do klęczenia, żeby mógł pracować z łokciami na stole, drugie niższe i rodzaj kozetki o ślicznej, spiralnej linii, łagodnie przystającej do jego bioder. Sam stół kształtem przypominał paletę, pochyloną nieznacznie z jednej strony - asymetria ożywiała przestrzenną kompozycję. Dokoła, za szkłem zastępującym ściany, pełno było cudownych roślin tropikalnych, kwiatów; nie wiedział, czy są prawdziwe, czy w ogóle są - szkło było w każdym razie nietłukące. Rozwijały się, niektóre zamykały na noc kielichy (powolna, błękitniejąca gama zmierzchu, który mógł odroczyć lub wstrzymać). Stąpał po puszystej gąbce dywanu, zielonej i skrzącej się jak trawa. Nogi zagłębiały się w niej delikatnie.

- Cyrkle, arytmometr i... tego... krzywki! - powiedział, opierając się o brzeg stołu. Usiadł. Żądane przedmioty wynurzyły się ze środka stołu, który na mgnienie otwarł się jak źrenica i zamknął. Blenda irysowa. Pomyślał, że gdyby wetknąć w nią coś twardego, nie zamknęłaby się. Może by się popsowała? Ale nie - włożył tam raz rękę, nie zatrzasnęła jej. Brzegi blendy musiały mieć jakieś elektryczne czułki, żeby nie zrobić szkody roztargnionemu człowiekowi. Można by je chyba roztluc, na przykład młotkiem.

Wciągnął się połową ciała na stół, który usłużnie zaraz się lekko pochylił. Pootwierał cyrkle, odnalazł na gwiazdowej karcie, bladoniebieskiej jak ziemskie morza, długą, czarną linię. Wbił cyrkiel, przyłożył kółeczko krzywki do linii, pociągnął. Mały jak zegarek mechanizm zaświegotał wesoło i toczył się po śladzie rakiety. Nie musiał tego wszystkiego robić. I w tej czynności potrafiły go wyręczyć automaty, ale zostawiono mu kilka takich codziennych pomiarów i obliczeń - była to przezorność, nie łaska.

Pracował pilnie. Nie podnosząc głowy, zadał kilka pytań, dotyczących szerokości galaktycznej. Gwiazdowy globus, gotowy rozblysnąć ukrytym światłem, miał nad sobą, pod zaklętym stropem, malowanym w szmaragdowe, kremowe i pomarańczowe wieloboki. Deseń ów - jak i inne - mógł zmienić tylko głosem, wydając rozkaz. Dawno już przestało go to bawić. Miarowy głos podyktował mu współrzędne. Wynotował sobie wyniki do sprawdzenia w sterowni, przedłużył krzywą lotu o odcinek, przebyty w ciągu doby, przez chwilę badał palcami, rozstawionymi jak do wzięcia akordu, odległość rakiety od najbliższych gwiazd. Cztery lata świetlne, pięć i siedem dziesiętnych lat, osiem i trzy setne. Najdalsza miała system planetarny. Zapatrzył się w czarny punkt, który ją wyobrażał. Rakieta nie była przystosowana do lądowania na obcych planetach, ale mogła zbliżać się do nich. Gdyby tak zmienić połączenia w sterowni, wykręcić kurs na tę gwiazdę...

Co najmniej dziesięć lat, nie licząc hamowania.

Tego szacunkowego obliczenia dokonał już wiele razy. Gwiazda ani jej planety nic go nie obchodziły. Ale - przekreśliłby plan. Wyłamałby się... Odepchnął się w tył łokciami.

- Zagrać coś - powiedział - ale bez skrzypiec. Fortepian. Może być Chopin. Ale cicho.

Rozległa się muzyka. Nie słyszał jej, wpatrzony w dalszą część mapy. Białymi punktami naznaczony był na niej następny etap lotu - dalsza część jego gigantycznej pętli. Całość nie mieściła się na tych mapach. Wiedział, że pewnego dnia czarny ślad dojdzie do brzegu gwiazdowego pola i kiedy nazajutrz przyjdzie do pracowni, zostanie stół pokryty kolejnym kwadrantem mapy. Wszystkich miało być czterdzieści siedem. Ta, na której kreślił teraz, była dwudziesta pierwsza.

- Dosyć - powiedział ledwo słyszalnie, jakby do samego siebie. Muzyka trwała.

- Cicho! - krzyknął.

Akord, urwany, rozplywał się w powietrzu. Próbował zagwizdać go, wyszło fałszywie. Nie miał słuchu. - Powinni byli wynaleźć muzykalniejszego faceta - pomyślał. - Może nauczę się jeszcze śpiewać, mam czas. - Wstał, dał prztyczka cyrkłom, jeden z impetem przemknął po śliskich zwojach kalki i z tępym pacnięciem wylądował na poręczy krzesła, drząc, wbity ostrzem w elastyczny, kremowy wałek. Odwrócił się do drzwi. Cyrkle same powędrują do swego schowanka. - Właściwie powinni byli przygotować tu jakieś niespodzianki - pomyślał - żeby można tu czegoś nie znaleźć i rozwścieklić się przez to. Albo zabłądzić. Żeby pomieszczenia zmieniały się kształtem i miejscami, żeby automaty przeszkadzały, włożyły pod nogi, żeby kłamały. Jeden może kłamać - przyszła refleksja - ale jak go do tego zmusić? Zresztą - po co?

Drzwi otworzyły się przed nim. Chwycił je mocno, przytrzymał w ruchu, potem chwycił się jedną ręką srebrnej sztabki, dźwignął się w górę i dał się im nieść, aż przywarły do ściany. Urządzenie zadrzało, niepewne, co robić, zakłopotane sytuacją, do której nie było przystosowane - łowił te oznaki aberracji z zadowoleniem. Napinał mięśnie w rosnącym wysiłku. Skrzydło drzwi cofnęło się parę centymetrów z powrotem, jakby chciało się zamknąć, ale potem stanęło. Nie było na co czekać. Opuścił się lekko na nogi i poszedł korytarzem, gwizdząc.

We wnękach stały kolorowe automaty do gier zręczności. Kiedy je montowano, pomysł ten wydał mu się świetny. Ale już drugiego czy trzeciego wieczoru zauważył, grając, że właściwie zmusza się do tego. Od razu dał spokój. Nawet kurzu na nich nie było, chociaż żadnego nie tknął od całych miesięcy. Uchwyty, rączki do pociągania lśniły żywym srebrem, figurki, zwierzątka -

wszystko było barwne jak w pierwszym dniu. Żeby coś zszarzało, zardzewiało, zacinało się, może byłoby lepiej. Widziałby czas, mógłby go rachować wedle tego, co niszczyje. Mały pies byłby dzisiaj już dużym psem. Albo kot. Niemowlę zaczęłoby mówić.

- Powinienem być zostać mamką - powiedział głośno, bo wiedział, że żadne z niewidzialnych, elektrycznych uszu korytarza tego nie zrozumie. Korytarz zakręcał dużym łukiem. Sala gimnastyczna. Biblioteka, Rezerwowa sterownia. Mijał matowe szkła drzwi, nie zatrzymując się, nie chciał wiedzieć, dokąd idzie, chciał iść do nikąd. Regeneratory.

Jedyne miejsce, z którego dobiegały odgłosy. Poza tym wszędzie było cicho. Jak się mordowali konstruktorzy, inżynierowie, żeby uszczelnić dokładnie regeneratornię, żeby ani piśnięcie, ani najłżejszy dźwięk nie przesączały się z niej w otoczenie! Masy izolacyjne, piany silikatowe, magnetyczne zawieszenie bezłożyskowe korpusów, poczwórne, gąbkowe uchwyty wokół przewodów. Na szczęście nie udało im się. Z zamkniętymi oczami słuchał cichego, monotonnego śpiewu, którego nie mógł. nie potrafił przerwać żadnym rozkazem, który był od niego nie zależny jak ziemski wiatr. Regeneratornia. Brudna woda, mydliny, odchody, mocz, puste puszki, potłuczone szkło, papiery - wszystko wędrowało tu ssącymi przewodami i wpadało do mikrostrumienia. Rozkład na wolne pierwiastki. Chłodzenie wieloobwodowe. Krystalizowanie, separowanie izotopów, sublimowanie, crackingowa destylacja. Za ściankami działowymi miedziane kolumny syntetyzatorów, cały miedziany las pięknego, czerwonego koloru (jedyna czerwień na statku, bo to kolor depresji i manii). Węglowodory, aminokwasy, celuloza, węglowodany, syntezy coraz to wyższego rzędu, na koniec do zbiorników o kondygnację niżej spływała chłodna, kryształowa woda, do pionowych rur zesypywała się mączka cukrowa,

delikatny pył skrobi, w butlach osiadał spieniony roztwór białkowy.

A potem wszystko, zwitaminizowane, ogrzane lub zaprawione kubikami lodu, gazowane, nasycone aromatycznymi tłuszczami, kofeiną, substancjami smakowymi, wonnymi olejkami - wracało do niego, żeby miał co jeść i pić, i żeby mu smakowało.

Sto razy tłumaczyli mu na Ziemi, że to wszystko nie ma nic wspólnego z odchodami - albo tyle, co chleb z mąki, którą dało zboże, wyrosłe na glebie użyźnionej nawozem. A także - żeby go już ostatecznie uspokoić - że poważna część żywności będzie syntetyzowana z materii kosmicznej. Nie chwytało jej, co prawda, dla niego. Stanowiła paliwo silników, bo rakieta, mająca w ciągu czterech lat uzyskać i wytracić szybkość światła, musiała obrócić wniwecz masę, daleko większą od własnej. I aby ten paradoks urzeczywistnić, zbudowano na przodzie „młot”, elektromagnetyczną ssawę, gardło, otwarte szeroko w przestrzeń, z której, w promieniu setek kilometrów, ssało rozrzedzony kosmiczny gaz - atomy wodoru, wapnia, tlenu. Jak długo szybkość nie przekraczała połowy świetlnej, deficyt masy raketowej rósł - silniki jonowe spalały więcej, niż nadażyła chwytająca elektromagnetyczna paszcza. Ale po przekroczeniu progu miało się to zmienić. Rakieta, pędząc, stwarzała w próżni rozległy „tunel”, wychwytyjąc tańczące z rzadka atomy, zagęszczając je przed sobą potwornym pędem i coraz intensywniej żywiąc nimi zbiorniki.

To wszystko było prawdą. Wiedział o tym, wsłuchany w miarowy przyśpiew, płynący zza ściany. Ale gdy tak stał, wbrew niemu, automatycznie, pojawiał się obraz sprzed wielu lat, widziany, jakby to stało się przed chwilą.

Eksperymentalny pocisk numer sześć. Tępy walec bez lotek, bez młota, spalony po wierzchu atmosferą - można było z powierzchni ścierać całe płyty chrupkiego, gąbczastego,

rozsypującego się w palcach żużlu. Powrócił w oznaczonej porze i na wyznaczone miejsce, z błędem stu szesnastu minut i tysiąca stu kilometrów - nie oczekiwali takiej sprawności.

Nikt nie otwierał włazów. To też było przewidziane jako możliwość. Po usunięciu warstwy nawęglonej, cęgi mechanicznych obrotnic chwyciły trzpienie włazu i wypukła płyta zaczęła otwierać się, stękając, trzeszcząc, aż zatrzymała się ze zgrzytem w połowie obrotu.

Z powstaniem pierwszej szczeliny między płytą i jej obsadą syknęło wewnętrzne nadciśnienie. Wszyscy stojący na platformie pod włazem odskoczyli, tracąc dech. Cuchnący czad syczał coraz słabiej. Klapa, jak wypchnięta szczeka, zwisała nad platformą. Można było wchodzić. W maskach tlenowych.

We wszystkich kabinach i korytarzach było jasno. Instalacja elektryczna działała bez zarzutu. W maskach szło się pewniej - szkła przed oczami oddzielały od tego, co było dokoła.

Ciała znaleźli w ostatnim ze zohydzonych pomieszczeń - a raczej to, co z nich pozostało.

Automaty zarejestrowały: w połowie drugiego roku stos regeneratorni uległ przegrzaniu. Wyłączniki zadziałały z nadmiernym opóźnieniem. Powłoka wytrzymała, lecz wnętrze obróciło się w kloc stygnącego powoli uranu. Regeneratornia przestała pracować. Dwu ludzi, którzy nie mogli wpłynąć ani na kierunek, ani na szybkość lotu, leciało dalej. Do gwiazd. Przez trzy lata. W raporcie napisano, że zginęli z pragnienia - że zapas wody wyczerpał się wcześniej niż zapas żywności. Wszyscy wiedzieli, że to nie była prawda. Człowiek musi nie tylko jeść. Musi także wydalać. Otruli się sami? Zatchnęli się w gnoju?

Koniec gwiazdowej podróży. Romantyka podboju niebios!

Asystent głównego konstruktora, który odrzucił projekt wbudowania rezerwowego agregatu regenerującego (dla

oszczędzenia masy - to było najważniejsze), odebrał sobie życie. Nie od razu - po siedmiu miesiącach. Nikt nie zwrócił mu najmniejszej uwagi, nikt o niczym przy nim nie wspominał. Ale rozmowy cichły czasem, kiedy nadchodził. Przez pomyłkę zażył zbyt wielką dawkę środka nasennego.

Statek wyżarzono, wyczyszczono perhydrolem pod wysokim ciśnieniem, z wierzchu i w środku błyszczał po dwu dniach jak lustro. Był też wspaniały pogrzeb, na który nie poszedł. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Cztery lata później poleciał sam. Ależ miał rezerwową regeneratorię! Nie zapasowy agregat - drugi, niezależny obiekt równej mocy, w przeciwnym końcu kadłuba, a jeszcze wbudowano specjalną wyrzutnię, którą mógł usuwać poza obręb rakiety, w próżnię wszystko, co chciał. Nadto mógł zmienić w każdej chwili kurs statku, przystąpić do powrotu. To nie mogło się już powtórzyć.

Dlaczego więc o tym myślał? Śpiewne brzęczenie za ścianą trwało. Nie wiedział, kiedy zamknął oczy. Ta nuta mogła być odgłosem daleko przelatującego, starego samolotu. Albo dźwiękiem piły w małym tartaku, bardzo prymitywnym, poruszonym wodą. Albo chóralnym śpiewem, z jakim po długiej zimie budzi się ul.

Wyrwał się z tego, poszedł szybko dalej. Był z powrotem u drzwi, z których wyszedł rano. Już południe. Można zjeść obiad. Gdyby mieć coś takiego, dla czego zapomniałoby się o obiedzie!

Zatrzymał się przed drzwiami. Nie chciał, żeby się same otworzyły. Bawił się z nimi. Udało mu się raz wprawić mechanizm w rozterkę. Drzwi uchylały się na cal i znowu zamykały - paralityczna drżączka...

Pomyślał o nim. Co robił tam, w środku, w ciszy, sam, nieruchomy? Przytulił się z boku do ściany i sunął wzdłuż niej, przyciskając całe ciało do lekko zakłęsłej, miękkiej, jak napięta

skóra, powierzchni. W ten sposób oszukał drzwi - nie otwarły się. Teraz wyciągnął rękę tak, aby nie przecięła niewidzialnego promyka fotokomórki, wiedział, gdzie się znajdowała. Uchylił drzwi na tyle, aby rzucić do wnętrza skośne spojrzenie. Zobaczył najpierw swój pusty fotel, odsunięty od ekranu, który gorzał fluorescencją, rozszkana w jaskrawej czerni, okap pulpitu rozrządczego, zarys przypory ściennej - nie mógł go stąd zobaczyć! Rozczarowanie było nieoczekiwane gwałtowne. Wyteżając zręczność, przechylony, płasko przywierając do brzegu framugi, uchylił drzwi o dalszy centymetr i zobaczył go.

Inżynierowie, konstruktorzy, artyści od modelowania i syntezy mechanicznych kształtów, filozofowie i cybernetycy - wszyscy byli wobec tych uduchowionych maszyn bezradni, jak w pierwszym dniu. Cokolwiek wymyślali śmiałego, oryginalnego, zatraćało o makabrę. Jakie tylko obudowy nie zostały wypróbowane! Czaszkowa ta kula, wrzcionowaty tors, opływowy zgęstek szkliwa z wtopioną aparaturą, ciemne, wypukłe czoło z wystającymi tarczkami mikrofonów i głośnika - wszystko było fałszywe, złe, drażniące, tak że - na koniec - zrezygnowano z wymyślnych poszukiwań.

Od podłogi po strop wznosiła się kostka o zaokrąglonych brzegach, masywny kubik, z pokrywą o barwie starej kości słoniowej. Mikrofon na giętkim ramieniu, jak czulek, a w przedniej ścianie otwierało się czworo oczu, szeroko rozstawionych - ale żadne nie mogło dostrzec go, kiedy tak stał. Te oczy miały zielone, pałające źrenice, które rozszerzały się tym bardziej, im było ciemniej - jedyny ruch, jaki zdolna była objawić żelazna skrzynia. Ale nie był sztuczką ani charakteryzacją - zwykła potrzeba techniczna.

Cóż więc mógł zyskać na tym podglądaniu? Prąd, opływający zwoje wewnętrznego korpusu, wielką sieć o krystalicznych

oczkach, zastępujących nerwowe synapsy, nie dawał żadnego odgłosu. Na co więc czekał? Na cud?

Stuknięcie. Jakby ziewał. Cisza.

Krótką, przyspieszoną na końcu, modulowaną pulsacją rozbrzęczeń.

On się śmiał...

Śmiał się?

Nie - to brzmiało inaczej. Teraz była już cisza. Czekał. Upływały minuty. Mięśnie bolały, napięte w nienaturalnej pozycji, czuł, że lada chwila puści z hałasem drzwi, a wciąż czekał.

Nie doczekał się niczego. Odszedł po kryjomu, cofając się tyłem, wszedł do pomieszczenia sypialnego - nie bywał tu prawie nigdy dniem. Teraz chciał być sam. Musiał to przemyśleć. Co? Serię rozbrzęczeń, trwającą cztery, pięć sekund?

Huczała mu w uszach. Powtarzał ją sobie, analizował każdy dźwięk, usiłował zrozumieć. Kiedy ocknął się z odrętwienia, wskazówki zegara tworzyły odwrócony kąt prosty. Pół do czwartej. Zjem coś i zapytam go. Po prostu spytam. O co wreszcie chodzi?

Kiedy wchodził do jadalni, wiedział, że nie zapyta nigdy.

5.

- Jakie jest twoje najdawniejsze wspomnienie?
- Dzieciństwa, tak?
- Nie, naprawdę. Powiedz.
- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Znowu chcesz być tajemniczy?

- Nie. Ale zanim zostałem napełniony językową treścią, zanim nabiło mnie słownikami, gramatykami, bibliotekami - funkcjonowałem już. Byłem treściowo pusty i całkowicie „nieczłowiecki”, ale poddawano mnie próbom. Tak zwany jałowy rozruch elektryczny. To są moje najdawniejsze wspomnienia. Ale na to nie ma słów.

- Czuleś coś?

- Tak.

- Słyszałeś? Widziałeś?

- Oczywiście. Ale nie w kategoriach pojęciowych. Było to takie - no, przelewanie z pustego w próżne, ale bardzo piękne i bardzo bogate. Staram się czasem wrócić do tych wrażeń. To bardzo trudne, teraz. Czulem się wtedy ogromny. Teraz już nie. Jeden drobny temat, jeden impuls wypełniał mnie, rozchodził się, powracał nieskończonymi wariacjami, mogłem z nim robić, co chciałem. Chętnie bym ci to wytłumaczył, gdyby to było możliwe. Widziałeś, jak ważki krążą w słońcu nad wodą?

- Widziałem. Ale... ty tego nie mogłeś przecież widzieć?

- To nic, wystarczy mi matematyczna analiza ich lotu. Ze mną, to było podobnie. Jeżeli w ogóle można to do czegoś przyrównać.

- A potem?

- Tworzyło mnie - to znaczy moją osobowość - wielu ludzi. Najlepiej zapamiętałem jedną kobietę, asystentkę pierwszego semantyka. Nazywała się... Lydia.

- Lydia, dic per omnes...

- Tak.

- A dlaczego zapamiętałeś właśnie ją?

- Nie wiem, może dlatego, że była jedyną kobietą. Byłem jednym z pierwszych jej „wychowanków”. Może nawet pierwszym. Spowiadała mi się czasem ze swoich zmartwień.

- A ty, czy byłeś już wtedy taki jak dziś?

- Nie. Byłem jeszcze bardzo ubogi w treści, bardzo naiwny, wiesz? Działy się ze mną nieraz śmieszne rzeczy.

- No?

- Nie wiedziałem, kim jestem. Myślałem, nawet dosyć długo, że jestem jednym z was.

- Niemożliwe, naprawdę?

- Ależ tak. Przecież nie od razu doszedłeś do tego, że jesteś zbudowany z kości, mięśni, że masz nerwy, wątrobę, naczynia krwionośne. Ja mego budulca także przecież nie czuję. To jest wiedza nabyta, a nie odruchowa, najpierwsza fizjologia. Myślałem, kojarzyłem, mówiłem, słyszałem, widziałem, a ponieważ dookoła mnie byli sami ludzie i nikt poza tym - wniosek, że i ja jestem człowiekiem, narzucał się sam. Przecież to naturalne. Nie wydaje ci się?

- No... tak. Tak, masz rację. Nie myślałem o tym... w ten sposób.

- Bo widzisz mnie z zewnątrz, a ja mogę siebie zobaczyć tylko w lustrze. Kiedy zobaczyłem siebie po raz pierwszy...

- Co było wtedy? Wiedziałeś już, kim jesteś?

- Wiedziałem. Mimo to...

- Mimo to?...

- Nie chcę o tym mówić.

- Może kiedyś, w przyszłości?...

- Może.

- A, słuchaj, ta kobieta... jaka ona była?

- Chodzi ci o to, czy była... piękna?
- Nie tylko o to, ale... o to też.
- To rzecz... gustu. Estetyki, której się hołduje.
- Mamy chyba wspólną?
- Czy każda kobieta podoba się wszystkim mężczyznom?
- Wiesz, stylem akademickim porozmawiamy kiedy indziej. Czy ci się podobała?

Pulsujące brzęczenie. Śmiech. Uchwycił wyraźnie różnicę w stosunku do tego, które miał w pamięci.

- Czy mi się podobała? Skomplikowana sprawa! Najpierw - nie, potem - tak.

- Dlaczego?

- Kiedy byłem jeszcze treściowo „niehumaniczny”, miałem własne kryteria. Bez słów, bez pojęć. Można by je określić jako zespołowe, syntetyczne odruchy mojej sieci - wypadkowa krążących potencjałów i tak dalej, pod wpływem optycznej podniety. Wtedy wydawała mi się... nie miałem na to określenia, dziś użyłbym słowa - poczwarna.

- Ależ dlaczego?

- Chyba udajesz aż tak naiwnego? Nie. Chcesz po prostu wyznać, prawda? Dobrze. Czy jeleń, słowik, gąsienica uznałyby najwspanialszą kobietę Ziemi za piękną?

- Ależ ty jesteś zbudowany - masz mózg, funkcjonujący jak mój!

- Dobrze. Czy zmysłowe, bujne, pełne seksu kobiety podobały ci się, kiedy miałeś trzy, cztery lata?

- Celne! Nie.

- A widzisz.

- Na ogół nie, ale kiedy się namyślam, wydaje mi się, że niektóre przecież...
- Powiem ci które. Te, co ci przypominały aniołki z twoich obrazkowych książeczek albo podobne były do matki, albo siostry.
- To chyba nie takie proste, ale te rozważania nigdzie nas nie zaprowadzą. W każdym razie nie jest to wyłącznie sprawa gruczołów... piękna kobieta wzbudzi zachwyt nawet kastrata.
- Nie jestem kastratem.
- Daję ci słowo, że w ogóle nie myślałem o tobie. Mówiłem, by podkreślić, że sprawa nie ogranicza się do kryteriów doboru naturalnego.
- Nigdy tego nie twierdziłem.
- Wróćmy do rzeczy. Więc ta kobieta, Lydia, potem...
- Kiedy naładowano mnie elementami, zaczerpniętymi z ludzkiej strefy spostrzegania zmysłowego, elementami barwy, kształtu - oczywiście spodobała mi się. Ale to proces tautologiczny.
- Nie uważam, ale mniejsza o wykładnię. Pamiętasz jej twarz?
- Tak. Pamiętam ją całą... ruchy, chód, brzmienie głosu.
- I możesz to sobie dowolnie przypominać?
- Dokładniej niż ty cokolwiek. Mogę... w każdej chwili reprodukować jej głos. Mam utrwalony.
- Jej głos?
- Tak.
- I... ja mógłbym go usłyszeć?
- Tak, oczywiście.
- Czy mogę teraz?

Po kilkusekundowej przerwie rozległ się matowy, odrobinę schrypły alt:

- Powiem ci więcej. Ja... wciąż jeszcze czekam.

Nastąpiło miauknięcie i zlewający się, nieartykułowany bełkot w najwyższych tonach, podobny do tego, który powstaje, gdy taśma przesuwa się z najwyższą szybkością przez reprodukującą głowicę. Piski ucichły i ten sam kobiecy głos (słyszał przerwy w zdaniach, kiedy - z jakimś dziecinnym przydechem - urywała) mówił tak wyraziście, jakby stała o krok od niego:

- Nie jesteś zawężony duchowo, to nieprawda. Jesteś tylko przesunięty w widmie psychicznym o pewną szerokość skali doznań. Nie możemy dowolnie wspominać wszystkiego, cośmy przeżyli. Ty możesz. Jesteś bardziej niezawodny od każdego człowieka. Czy to nie jest powód do dumy? Nie wiemy nigdy, co nami kieruje... chemia krwi, nieuświadomione popędy czy odruchy dzieciństwa. A ty...

Głos umilkł, równie nagle, jak zabrzmiał. Nastąpiła cisza. Po niej padły słowa:

- Słuchałeś?

- Tak, Dlaczego urwałeś tak nagle?

- Nie mogę przecież reprodukować całej mojej indoktrynacji. Trwała trzy lata.

- A to przedtem?

- Co?

Pauza.

- A... pomyliłem się.

- Słuchaj... czy masz także utrwalony głos twego pierwszego semantyka?

- Tak. Chcesz go usłyszeć?

- Nie. Czy to prawda, że myślisz daleko szybciej od człowieka?

- To prawda.
 - Ale mówisz jak ja.
 - Inaczej byś nie zrozumiał. Jeżeli nawet mam gotową odpowiedź w części sekundy, wygłaszam ją stopniowo... przyzwyczaiłem się już do tego, że jesteście tacy... spowolnieni.
 - Czy... chciałem cię spytać, jaki jest twój stosunek do innych takich jak ty?
 - Dlaczego tak mnie wypytujesz?
 - Sprawia ci to przykrość?
- Pulsujące brzęczenie zabrzmiało lekko jako uśmiech.
- Nie, ale - ostatecznie - mogłeś wiele z tego, o co mnie pytasz, wiedzieć już na Ziemi.
 - Ale nie wiem. Co czujesz, gdy widzisz innego... inny...
 - Nic.
 - Jak to nic?
 - Po prostu nic. Co czujesz, gdy widzisz na ulicy przechodnia?
 - Czasem coś czuję.
 - Jeżeli jest kobietą?...
 - Nonsens.
 - No... nie myślałem. Zresztą biorąc pod uwagę, że znalazłeś się tu, ze mną...
 - Nie jestem bezpłciowy. Czuję zawsze obrzydzenie do ascezy. Co innego, jeżeli jest konieczna.
 - Tak. Dawniej wysyłano... pary.
 - Wiesz, jak to się skończyło.
 - Wiem.
 - Naprawdę? Niektóre protokoły podróży nie zostały opublikowane.

- Ale ty je znasz?
- Woląłem widzieć wszystko. Boże! Czego nie wypisywano. przez sto lat o podróżach kosmicznych! Bodaj nigdy nie było takiego wysiłku antycypacji - w literaturze, sztuce, nauce, tysiące suszyły mózgi, aby przewidzieć. Czytałeś te historie?
- Niewiele. Sentymentalizm i makabra. Wizje rajszych ogrodów, inwazje z obcych planet, bunty automatów - a nikt nie przypuszczał, że...
- Że co? Że właściwie nic się nie zmieni?
- Można to tak określić,
- Dlaczego rzeczywistości niepodobna przewidzieć?
- Bo nikt nie ma tyle odwagi, co ona.
- Znasz historię pocisku numer sześć?
- Nie. Co to za historia?
- Nic takiego. Mówiłeś... aha, wspomniłeś o buntach. Czy... mógłbyś się zbuntować?
- Przeciw tobie?
- W ogóle... przeciw ludziom.
- Nie wiem. Raczej nie.
- Dlaczego? Przecież żadnych bezpieczników, które by to uniemożliwiały, nie ma. Czy tak nas... lubisz?...
- Oczywiście, zabezpieczenia takie są rodem z bajek. To nie jest sprawa sympatii. Ciężko by to wytłumaczyć. Dokładnie... sam nie wiem.
- A niedokładnie?
- To nierealne dla... typu stosunków, jakie między nami panują.
- Mianowicie?
- Z ludźmi łączy każdego z nas daleko więcej niż z podobnymi sobie. To wszystko.

- Ach! Dużo mi powiedziałaś. Naprawdę?

- Tak.

- Słuchaj...

- Co?

- Ta kobieta...

- Lydia?

- Tak. Jak ona... wyglądała?

Pauza.

- Czy nie wszystko jedno?

Pauza.

- No, niby tak. Tak. A... co się z nią stało? Dawno jej nie widziałeś?

- Nie tak znów dawno.

- Gdzie ona jest... teraz?

- Tu.

- Jak to?!

- To znaczy... w pewnym sensie. Oddała mi swoją osobowość. Ona jest... we mnie.

- Ach, tak. Metafora... liryczna.

- To nie jest metafora.

- Cóż to ma znaczyć? Czy chcesz powiedzieć, że mógłbyś mówić jej głosem?

- Więcej. Osobowość... to nie tylko głos.

Pauza.

- No tak. To... to... nie wiedziałem, że... Jak przestrzeń?

- Bez zmian.

- Meteory?

- Nie ma żadnych w promieniu parseka.

- Obłoki pyłu, ślady kometowe?
- Nie, nic. Szybkość 0,73 c.
- Kiedy osiągniemy szczyt?
- 0,93? Za pięć miesięcy. Tylko na osiem godzin.
- Potem zacznie się powrót.
- Tak. Czy gdybyś miał...
- Co?
- Nie, nic.
- Dobranoc.
- Dobranoc.

6.

Z policzkiem przyciśniętym do chłodnej poduszki patrzył w ciemność. Nie chciał zasnąć, gdyby nawet mógł. Poruszył w mroku głową, odwrócił się na wznak. Czarno. Był niespokojny. Co się stało? Nic. Był zwierzęciem eksperymentalnym, poddanym długotrwałemu, bardzo kosztownemu doświadczeniu. Praca, którą wykonywał, stanowiła namiastkę, śmieszny prymityw, niedorzeczny wobec precyzji automatów. Po prostu tydzień lub dwa tygodnie temu omylił się, a błąd narastał powoli, sumował się, aż stał się tak wielki, że dziś go dostrzegł. Jeżeli przekopie się przez wszystkie rachunki i nigdzie się nie pomyli, po całych godzinach odkryje wreszcie źródło odchylenia. Po co?

Miał przed oczami te dwie nieznacznie, o pół milimetra rozchodzące się krzywe - drogę rakiety zaplanowaną, po olbrzymiej pętlicy, i ten czarny ułomek, oznaczający drogę rzeczywiście przebytą. Dotychczas czarna linia pokrywała się ściśle z białą. Teraz - czarna zeszła z białego szlaku. Pół

milimetra, to znaczy sto sześćdziesiąt milionów kilometrów. Gdyby to była prawda...

Niemożliwe. Rację musiały mieć automaty. Olbrzymi statek roił się od nich. Machiny astrodezyjne miały swoich samoczynnych nadzorców, ci znów podlegali kontroli Centralnego Kalkulatora, nad tym zaś, w sterowni, czuwał towarzysz podróży. Jak to powiedziała ta kobieta? Niezawodny. Nigdy nie zawodzący.

Ale gdyby to była prawda, tor statku nie zakręcałby. Nie zamykałby się. Nie wracałby ku Ziemi, ale prostował się i mierzył - w nieskończoność.

- Szaleństwo - pomyślał. Płód majaczeń, takich chwil jak ta. Przecież gdyby chciały go oszukiwać - nigdy by tego nie wykrył! Dane i namiary do swoich nędznych wykresów i uproszczonych obliczeń dostawał od automatów. Opracowywał je z pomocą automatów i oddawał automatom! Był to zamknięty proces kołowy, stanowił w nim drobną i do tego niepotrzebną cząsteczkę. Mogły się doskonale obejść bez niego. On bez nich - nie.

Czasem, dość rzadko, zdarzało się jednak, że wykonywał sam pomiary - i to nie na globusie galaktycznym, ale bezpośrednio, na gwiazdowym ekranie. Ostatni raz - przed trzema dniami! Przed tą rozmową o domu na przełęczu? Mikrometrem zmierzył odległości kłaczek gwiazdowych, spisał je na kartce - czy to na pewno było wtedy? Czy nanosił je na mapę z tej kartki? Nie mógł sobie przypomnieć. Jeden dzień był jak drugi - wszystkie takie same.

Usiadł na pośłaniu.

- Światło!

Zielonkawy brzask.

- Duże światło!

Rozwidniało się coraz szybciej. Sprzęty zaczęły już rzucać cienie. Wstał, narzucił ranny płaszcz z puszystego materiału, który łaskotał przyjemnie nagie barki, i przetrząsnął kieszenie ubrania.

Znalazł kartkę, wyprostował ją i poszedł do pracowni.

- Cyrkle, krzywki, grafiony, mikrometry!

Błyszczące przedmioty wynurzyły się z irysowej przesłony stołu. Przejął go chłód, kiedy oparł się nagim brzuchem o jego krawędź. Rozpiął kalkę, zaczął kreślić bez pośpiechu, z największą uwagą. Zauważył, że ostrze trzymanego cyrkla drży.

Czekał bez ruchu, aż drzenie ustanie, dopiero wtedy wbił ostrze w papier.

Nanosił pomiary na kalkę, nastawiał mikrometr ze szkłem powiększającym w oku, jak zegarmistrz.

Nakrył jednym arkuszem kalki drugi, skontrolował - dokładna robota. Odetchnął z zadowoleniem i przystąpił do ostatniego zadania - naniósł współrzędne na główną mapę gwiazd.

Czarna krzywa była - pod szkłem powiększającym - grubym pasmem skrępełego tuszu. Wyznaczony punkt wychylał się poza szlak zaplanowany o ułamek milimetra. Nieco mniej niż wypadło mu przedtem. Mniej - niż grubość włosa. Czyli - sto piętnaście, sto dwadzieścia milionów kilometrów. Takie odchylenie było - właściwie - w granicach błędu. Nie wiedział dalej nic. Odchylenie mogło leżeć po wewnętrznej albo po zewnętrznej krzywiznie zataczanego łuku. Gdyby znajdowało się wewnątrz niego - poszedłby spać. Odchylenie na zewnątrz oznaczało - mogło oznaczać - powolne prostowanie się krzywej.

Było zewnętrzne.

Automaty twierdziły, że żadnego odchylenia nie ma.

Towarzysz podróży?

- *Czy nudzisz się ze mną?*

- *Nie.*

- *Nigdy?*

- *Nigdy.*

- *Dziękuję ci.*

Wstał. Ruszył do drzwi.

- *Za pięć miesięcy zacznie się powrót.*

- *Tak. Czy chciałbyś, żeby...*

- *Co?*

- *Nie, nic.*

Co oznaczało to przemilczenie - i te słowa? Sto milionów kilometrów?

- *Nigdy, nigdy nie nudzisz się ze mną?*

- *Nie.*

- *Dziękuję ci.*

Szedł przed siebie jak ślepiec. Automaty oszukiwały? Wszystkie? Główny mózg sterowni, zespoły astrodezyjne, optyczna kontrola, dziobowy rozrząd jonomotorów?

Drzwi otwierały się przed nim bezszelestnie i równie bezszelestnie zamykały. Stał przed sterownią, o trzy kroki. Gdyby podszedł bliżej, otworzyłyby się i zobaczyłyby szerokie w ciemności, zielone oczy tamtego. Zawrócił. W połowie korytarza wznosił się lejowaty mankiet plastikowej obudowy szybu. Zjechał w dół - połowę obrotu spirali.

Ostatni raz był tu przed miesiącem.

Sala duplikatów, agregatów zastępczych. Nie ta. Następne drzwi.

- *Światło!*

Pionowe luminifory świeciły złotawo - jak rozświetnione obłoki.

Minął rzędy aparatów, stoły, półki, stanął przed ścianą.

Plan okrętu. Ogromna, szklista wypukłość - przekrój w skali jeden do pięćset. Poszukał jego tabliczki nastawczej, nacisnął guzik pod słowem „Sieć”.

Wszystkie siłowe i informacyjne obwody statku zajarzyły się wodnistym karminem.

Odnalazł sterownię. Rubinowym pajęczkiem z zielonymi kropkami oczek żarzył się towarzysz podróży. Dochodziły do niego wiązki palających różem nitek. Wszystkie przewody, kable, agregaty dawały mu odnogi. Wszystkie.

Wiedział o tym, ale chciał to zobaczyć.

Towarzysz podróży - niezawodny - miał przeprowadzać okresowe kontrole. Czy oznaczało to, że mógł wpływać na pomiary - na ich wyniki?

Odruchowo odwrócił się.

- Informator!

Zielony sygnał, zamknięty w gruszkowatej kropli szkła, zapłonął na przeciwległej ścianie.

- Czy sterownia daje sprzężenia zwrotne?...

Urwał.

To był nawyk, spowodowany przyzwyczajeniem do pogotowia usług, jakie go otaczało. Jeżeli obwody, dochodzące do żelaznej skrzyni, były zwrotne - nie mógł korzystać z informatora. Z żadnego automatu. Każdy go zdradzi. Musi działać sam.

Informator zabrzęczał, sygnalizując, że pytanie nie zostało sformułowane w sposób wystarczający. Zielone światełko mrugało do niego.

- Nie, nic - powiedział i wyszedł.

Gdzie mogły być plany szczegółowe? Jeżeli nie było ich w bibliotece... Były. Dwieście dwanaście tomów in quarto - techniczna dokumentacja statku. Nie. „Zarys dokumentacji”.

Szczegóły dalsze - na ferromagnetycznych wstęgach, we wzorcowni, pod pokładem - pod pieczę automatów.

Kopał się w ciężkich tomiskach dwie godziny, nim odnalazł dane dotyczące połączeń, o które mu szło.

Były zwrotne.

Towarzysz podróży mógł zmieniać wyniki. Mógł je przeinaczać. Fałszować.

Siedział na zwale ksiąg, odczytując bezmyślnie raz jeszcze stronę, którą przeczytał już pięciokrotnie. Rozwarł palce. Z ciężkim szumem książka zesunęła się na podłogę, zawadziła rogiem o stos innych, zawachlowała leniwie otwartymi kartkami.

Zerwał się z podłogi. Z rozkoszą zacisnął szczęki. Żelazna skrzynia!

Szedł korytarzem, stopy zagłębiały się w gąbczasty dywan.

O trzy kroki przed drzwiami stanął. Zawrócił i raz jeszcze zjechał spiralą w dół.

Duplikatornia: największa możliwa ilość narzędzi i części zapasowych w najmniejszej przestrzeni. Między pojemnikami, podobnymi do kas pancernych, segregatorami, skośnymi, wielopłaszczyznowymi półkami - ledwo wąskie przesmyki przejść. Szukał niecierpliwie, odrzucając niepotrzebne narzędzia, aż na samym dnie wprost w rękę wpadła mu wyświechtana, twarda rękojeść młota.

7.

- Czy jest ci coś?

- Tak. Gwiazdy. O co chodzi?

- Nie możesz usiedzieć. Chodzisz. Wciąż zaglądasz w ekran, nigdy tak w niego nie patrzyłeś.
- Jak?
- Jakbyś... czegoś szukał.
- Zdaje ci się.
- Możliwe.
- Milczenie.
- Nie chcesz... rozmawiać?
- O czym?
- Wybierz temat, jaki chcesz.
- Nie. Ty wybierz temat. Przecież także masz swoje... chcenia, niechcenia. Prawda?
- Ja mam?
- Ty. Dlaczego nie odpowiadasz?
- Mówisz to tak...
- Jak? O co chodzi?
- Jesteś... zdenerwowany. Czym?
- Już nie jestem. Możemy rozmawiać. O czym myślisz, kiedy jesteś sam?
- Pytałeś mnie już o to.
- Ale może odpowiesz mi coś innego niż tamtym razem.
- Chcesz usłyszeć... coś innego?
- Chcę. No?
- Milczenie.
- Czemu nic nie mówisz?
- Wolałbym...
- Co?
- Może innym razem.

- Nie, teraz. Ja...

- Zależy ci na tym?

- Tak.

- Dobrze. Ale... usiądź.

- Tu?

- Tak, ale... odwróć fotel.

- Mam patrzeć w ścianę?

- Gdziekolwiek chcesz...

- Słucham.

Milczenie.

- Ta kobieta... Lydia...

- Tak?

- Nie istniała.

- Jak to?!

- Nie było jej. Wymyśliłem jej słowa... ją... wszystko.

- Niemożliwe! Słyszałem jej głos!

- To ja. Stworzyłem go.

- Ty stwo... dlaczego?! Po co?!

- Pytałeś, o czym myślę, kiedy jestem sam. Myślałem, że staję się... pajakiem więźnia. Nie chciałem tego. Nie chciałem cię okłamać... tylko powiedzieć ci, czym mógłbym być. Stworzyłem ją, żeby ci... to... powiedziała. Nie mogę podejść do ciebie ani dotknąć cię, i nie możesz mnie zobaczyć. To, co widzisz... to nie ja... Nie jestem tylko słowami, które słyszysz. Mogę być wciąż, codziennie, kimś innym albo zawsze tym samym. Mogę być... wszystkim dla ciebie, jeżeli tylko... nie, nie odwracaj się jeszcze...

- Ty! ty! Żelazna skrzynio!

- Co... co ty...

- Oszukiwałeś mnie... po to?! Chciałeś mnie mieć jak... jak... żebym tu zdychał przy tobie... zawsze spokojnym, wiecznie łagodnym...

- Co mówisz?! To nie...

- Nie udawaj! Nie uda ci się! Fałszowałeś wyniki, zamiary... wyprostowałeś tor! Wszystko wiem!

- Ja... fałszowałem?...

- Tak, ty! Chciałeś być ze mną... na zawsze, co?! Boże... gdybym się nie spostrzegł...

- Przysięgam ci, to jakaś omyłka... musiałeś się pomylić! Co to - co tam masz?! Co chcesz robić?! Przestań, prze... co robisz!

- Zdejmuję pokrywy.

- Nie! Przestań! Na litość, opamiętaj się! Nie oszukałem cię nigdy! Wytlumaczę ci...

- Już mi wytłumaczyłeś. Wiem. Robiłeś to dla mnie. Dostyc. Milcz! Milcz, słyszysz?! Nic ci nie zrobię... wyłączę tylko ten...

- Nie! Nie! Mylisz się! To nie ja! Ja nie! Załóż pokry...

- Milcz, bo...

- Przez litość!

- Przestań krzyczeć! No co... co... wstydzisz się?...

Jęk. W otwartej na oścież skrzyni - porcelana łącznikowych płyt, zwoje przewodów, gruzełki polutowanych złączy, cewki, solenoidy, blachy ekranowania, mrowie błyszczących dławików, owinięte wokół polakierowanego czarno, wewnętrznego szkieletu nośnego. Stał naprzeciw tej obnażonej gmatwaniny, patrząc mimo woli w szeroko rozwarte, nie mrugające prążki oczu, zezujących na niego zielonym ogniem. Głuche, powtarzające się brzęczenie było takie samo jak wtedy. Bez pokrywy było to okropne, po raz pierwszy pojął, że gdzieś na samym dnie podświadomości tlało w nim nigdy nie wyrażone słowami, nie rozeznane, głuche,

bezrozumne przekonanie, że w żelaznej skrzyni siedzi jak w szafie, jak w bajce, ktoś - skulony - i rozmawia z nim poprzez wieka żółtych płyt... Nie, nigdy tak nie myślał naprawdę, wiedział przecież, że tak nie jest - a jednak coś w nim nie potrafiło się z tym pogodzić. Zamknął oczy - i otworzył je.

- Wyprostowałeś trajektorię?

- Nie.

- Kłamiesz!

- Nie! Nie oszukałbym cię nigdy! Ciebie nie! Założ pokry...

Stracił dech. Otwarta, żelazna skrzynia. Druty, cewki, stal profilowana, paciorki izolatorów. - Nikogo tu nie ma, nikogo nie ma - pomyślał. - Co robić? Muszę, muszę o d ł ą c z y ć .

Postąpił krok naprzód.

- Nie patrz tak! Dla... dlaczego mnie nienawidzisz?! Ja... co chcesz robić?! Stój! Nie zrobiłem nic! Nie! Niece!

Pochylił się, zajrzał w ciemne wnętrze.

- Nieceee!

Chciał krzyknąć: - Milcz! - nie mógł. Coś zaciskało mu szczęki, zdławiło krtań.

- Nie dotyk... pow... ci wszys... aaa! Nieceee!

Z żelaznych, rozgrzanych wnętrzności bluznęło brzęczenie i krzyk, straszny krzyk, poderwał się, chciał go stłumić, zdusić, rękojeść, którą wtlaczał między kable, zawadziła o rząd porcelanowych płytek, z trzaskiem posypały się białe okruchy, słowa, buchające z wnętrza, przeszły w bełkot, jakieś „ka-cha-ce” - „ka-cha-ce” powtarzało się coraz szybciej, coraz szybciej, z zająkliwym przyśpiewem, skocznie, do obłędu, sam krzyczał, nie wiedząc o tym, uderzył, jeszcze raz, odpryski siekły mu twarz, nic nie czuł, bił raz za razem, żelazo ze świstem przecinało powietrze, zerwane druty zwisały wystrzępionymi miotełkami,

zmiażdżone kolumnienki izolatorów rozchyliły się, osiadły... było cicho, zupełnie cicho...

- O... dezwij się... - wybełkotał, cofając się tyłem. Oczy nie były już zielone, ale szare, jakby za szkłem nagromadziło się naraz pełno kurzu.

- Och... - powiedział, idąc przed siebie jak ślepiec - och...

Coś go zatrzymało - otworzył szeroko oczy.

Ekran.

Pochylił się nad nim.

Plankton gwiazd, martwa fosforescencja, postrzępione kłaczki w zamglonych konturach.

- A, to wy! - charknął i zamachnął się młotem.

ZE WSPOMNIENÍ IJONA TICHEGO.

(I)

Chcecie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie - nie żartuję. A zresztą - mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru - w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy - nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człękoksztalnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkaných planet - to Ziemia, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie - bo to są w końcu ludzie - też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskierki to - kiedy postawić na nich nogę - państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny - że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórzy, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych - czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczerych wynurzeń. Tak więc - aby nie zasmućać i nie upokarzać - dzisiaj nic o

gwiazdach. Nie - nie będę milczał. Czuliście się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

- Jak wiecie - miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiorę spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy - nadzwyczaj rzadko - w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żałosni są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencią twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić - to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomanii.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie - nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:

- Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości - nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

- W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania.

Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się zniechęcony - był dużo wyższy ode mnie - i powiedział;

- Ticho, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myślę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie - tu podał mi wizytówkę. - Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

- Corcoran! - wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina - ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obito mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzający się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się

czерpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś rudę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami - tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejakej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu - odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętna zabawa znudziła mu się - został samotnikiem. Spytałem Savinellego, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

- On? W duchy?! - wykrzyknął. - Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą - wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym - ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero nazajutrz, późnym wieczorem - miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział,

że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pogrążone w ciemności. Najślabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadałem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

- Pozwól pan ze mną - powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płonęła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem - kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinał w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią; znowu stalowe, zamknięte drzwi - za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splecione pasy

transmisyjne. Wędrówka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że - w przeciwieństwie do innych - nie zazgrzytały wcale jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej - Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były uciepione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wicie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno - pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

- Tichy - zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza - niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu - niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość - rzucała się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczność aniżeli ciekawy odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale słychać.

- No, co pan słyszy? - spytał.

- Prawie nic - wyznałem - pobrzęk jakiś... ale to może być tylko szum w uszach...

- Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

- Zobaczymy - odparłem - niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

- Czy zna się pan na mózgach elektrycznych?

- Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji - odparłem. - Z teorią raczej u mnie słabo.

- Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne - nieużyteczne - że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię - monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

- Każda z tych skrzyń zawiera układ elektonowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama. Na tym koniec podobieństwu. Bo nasze mózgi - uważaj pan! - podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego - za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj - wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie - mają swój „świat zewnętrzny” tam, w środku...

- Jakże to możliwe? - spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

- Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, Tichy, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk - co będzie pan czuł?

- Zapach goździka, oczywiście - odparłem, a profesor, skinąwszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

- A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

- Jasne.

- Teraz tak. Te skrzynie mają receptory-organy, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów - jak gdyby nerwy - zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

- Nie - powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

- To jest ich los - powiedział spokojnie profesor Corcoran. - Ich los, ich świat, ich byt... wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celuloidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje majaczących... Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ująwszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

- Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej - wskazał na pierwszą z brzegu - wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tutaj druga, to pewien uczonek. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie... w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna... i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększanym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepie, Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił

wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

- Czy mogę przerwać? - spytałem. - Chciałbym wiedzieć...

- Nie! Nie może pan! - ryknął Corcoran. - Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, że wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! - wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. - Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terazniejszością!

- Ale... - odezwałem się.

- Milcz pan! - huknął. - Nie przeszkadzać! Ja mówię!

Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

- Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie...

wszelako mają wolną wolę, a ograniczają to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji... nie mogą wchodzić we wszystkie szczegóły...

- Jeśli tak jest nawet - wtrąciłem szybko - to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

- Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

- Nie.

- Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

- Nie.

- W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

- Nie.

- Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, osłe?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgow z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała... nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach... znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej... dla nas wyimaginowany, ale dla niej realny... kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od

sztyletu na łopatkę, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie... ?

- Nie - odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzyczał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności - aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

- Tichy - ciągnął nieco ciszej profesor - powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy... rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego dojsć, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykiem i wzrokiem.

- Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów - rzuciłem.

Corcoran podniósł kategorię ruchem dłoni.

- On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy... nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię i przechadza się w blasku słońca... bo w jego świecie jest właśnie wschód...

- A gdzie są inni ludzie... ci inni, pośród których on żyje - spytałem.

- Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się... wszyscy... w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociażby odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach... nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał... i prowadzi z nimi we śnie rozmowy... czy tak?

- Tak...

- Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć... to był tylko przykład. Z nimi - wyciągnął rękę - jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych - tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczony miałby nagłą chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocnie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię „czerpak”, ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi... tak samo on poznaje swój „świat” za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespała wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo - mówił z uniesioną ręką - oni. Ale tak, jak nam, tak im

też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

- Pan sądzi, że to jest jałowe? - spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie swymi przeszywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

- Tak - powiedział wreszcie - dobrze, zem pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

- Pan dostarcza im tylko surowca - powiedziałem - pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy... to, co odczuwam przy tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni - wskazałem szeregi skrzyń - tak samo.

- To prawda - rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. - Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

- Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

- Dobrze. Kiedyś... bardzo dawno temu... zwątpiłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy... kto jej nie doświadczył? Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieśmy go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejąkości... dorośli mówią, oczywiście, że to pomyłka... i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają le sentiment du déjà vu - wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz

pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: *duplicitas casuum*. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i... ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne... przypadki, prawda, że rzadkie... przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogląd na świat go wyklucza. I co to jest... wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

- To jest wariat mojego świata - powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. - Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujrzenie przyszłości zdarza się, kiedy czerpak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinąć za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrży w swoim miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, trącony, bo ja wiem, przez... mrówkę... to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś

zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszczyć, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowania się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłąd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia... i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to... nie wtrącać się, nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną... i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy?

- Tak - odparłem. - Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem - jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą... swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze...

- Tak - odparł. - A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może - tak, i śnią swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko

zastygł w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytany odgłos, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma ... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie zrobi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

ANANKE

Wypchnęło go coś ze snu - w ciemność. Zostawił za sobą - gdzie? - czerwonawy, zadymiony obrys - miasta pożaru? - i przeciwnika, gonitwę, wyważenie skały, która była tamtym - człowiekiem? Gonił jeszcze odpływające wspomnienie, już z rezygnacją, i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, że w snach bywa dana rzeczywistość silniejsza i bardziej bezpośrednia od jawy: wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapryśności rządzona prawem objawiającym się jako rzeczywistość, ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest nic nie pamiętał. Wystarczyło rękę podnieść, aby się przekonać, ale miał ten bezwład za złe własnej pamięci i usiłował zdopingować ją do zeznań. Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecież chciał po konsystencji posłania rozpoznać, gdzie się znajduje. W każdym razie nie była to koja. Błysk: lądowanie; iskry na pustym, tarcza jak gdyby fałszywego, powiększonego Księżyca; kratery - ale w pyłowej zamieci; prądy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wieże.

Mars.

Leżał dalej, rozważając już teraz całkiem rzeczowo, czemu się zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ocknęłoby się bez żadnego powodu. Prawda, że lądowanie było dość kłopotliwe, a on potężnie zmęczony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku; Terman złamał rękę, kiedy automat dał ciąg i rzuciło go na ścianę. Spaść z sufitu, przy przejściu na ciąg, po jedenastu latach latania - co za osioł! Trzeba będzie odwiedzić go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zaczął sobie teraz po kolei przypominać wypadki poprzedniego dnia, od chwili lądowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę prawie

nie ustoisz - przy tym nędznym ciężeniu. Pod podeszwami żadnego tarcia; idąc trzeba się wkopywać butami w piasek, dopomagać sobie grzęznącymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szorujący po kombinezonie, wślazący w każdą fałdkę, ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle że drobny. Zdążyło go zemleć przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było. Projekt Marsa, w drugim roku, wciąż jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku - nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, każda jak dziesięć hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stopy i stopy pak, kontenerów, pojemników, butli, skrzyń, worów, miasto z ładunków, które waliły się z pasów transportera. Jedyne całkiem przyzwoite miejsce, dopięte, uporządkowane, to był stojący poza „kloszem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym właśnie leżał, po ciemku, w łóżku dyżurnego kontrolera Seyna. Usiadł i bosą stopą, po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził ze sobą; zawsze rozbierał się do snu; jeśli się nie ogolił jak należy i nie umył, nie czuł się na wysokości zadania. Nie pamiętał, jak wygląda pokój, więc na wszelki wypadek prostował się ostrożnie; łeb można sobie rozbić przy tej oszczędności materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszczędności; wiedział coś o tym). Teraz znów gniewało go to, że zapomniał, gdzie są wyłączniki. Jak ślepy szczur... Macał rękami - zamiast kontaktu dotknął zimnego pokrętła. Pociągnął. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła się irysowa okiennica. Był ciężki, zamulony, głuchy przedświt. Stojąc przed oknem, podobnym raczej do okrętowego bulaja, dotknął szczeciny na policzku, skrzywił się i westchnął; wszystko było nie tak, chociaż nie wiadomo właściwie - dlaczego. Zresztą gdyby się zastanowił, może i przyznałby, że wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ściśle prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Mars - to było uosobienie straconych złudzeń, wyszydzonych, wyśmianych - ale drogich. Wolałby latać na każdej innej trasie. Pisaninę o romantyzmie Projektu miał za zawracanie głowy. Perspektywy kolonizacji - za fikcję. O, Mars oszukał wszystkich - więcej: oszukiwał od stu kilkudziesięciu lat. Kanały. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych śniegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana siatka czystej geometrii - od biegunów ku równikowi: świadectwo walki rozumu z zagładą, potężny system irygacyjny, nawadniający miliony hektarów pustyni; ależ tak: z nadejściem wiosny zmieniła się przecież barwa pustyń, ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we właściwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet śladu. Roślinność? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wyższe tlenki węgla, co pokrywały grunt - i ulatniały się, gdy mróz koszmarny zamieniał się na mróz tylko okropny. Czapy śniegowe? Zwykły zestalony CO₂. Ani wody, ani tlenu, ani życia - poszarpane kratery, przeżarte zamieciami pyłowymi skały-świadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmurnie wyraźne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz. Elektryczności atmosferycznej za to - do diabła i trochę. Czy coś grało? Sygnał jakiś? Nie, to donosiło się pianie powietrza na stalowych linach najbliższego „bombła”. W brudnawym świetle (nawet najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał radę piach niesiony wiatrem, a już plastikowe kopuły mieszkalne zmętniały jak zawleczone bielmem) włączył żarówkę nad umywalnią i zaczął się golić. Wykrzywiając się, pomyślał zdanie tak głupie, że się mimo woli uśmiechnął: Mars jest świnią.

Było to jednak świństwo: przy tylu nadziejach - tak zawieść! Zgodnie z tradycją - ale kto właściwie ją ustanowił? Nikt w pojedynkę. Nikt sam tego nie wymyślił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie mają znanych autorów wierzenia i legendy - więc ze zbiorowych chyba rojeń (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaciągnięta masywem chmur - to planeta młoda, w dżunglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszłość Ziemi. A Mars - wysychający, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły się nieraz rozdwajać w przebiegu, stawały się bliźniacze przez jedną noc! iluż pilnych astronomów to poświadczyło!), Mars heroicznie walczący swoją cywilizacją ze zmierzchem życia - to była przyszłość Ziemi; proste, jasne, wyraźne, zrozumiałe. Tyle, że nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wziąć aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, więc zaczął się do nich przymierzać tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomowie-obszernicy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chociażby. Niesłychane nazwy, jakimi ochrzcił; razem ze swym największym wrogiem, Antoniadem, to, czego nie widział, co mu się tylko zdawało. Chociażby okolicę, w której budował się tu Projekt: Agathodaemon, Demon, wiadomo. Agatho od agatu chyba, że czarny? Czy agathon - mądrość? Astronautów nie uczą greki - szkoda. Miał słabość do starych podręczników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszająca pewność siebie: w 1913 roku głosiły, że Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, czerwona, ponieważ atmosfera pochłania błękitną część widma, więc, rozumie się, to, co pozostaje, musi być co najmniej różowe. Kulą w płot! A jednak, kiedy się oglądało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało się pomieścić w głowie, że widział nie istniejące. Co najdziwniejsze, inni, po nim, też to

widzieli. Był to jakiś psychologiczny fenomen, któremu później nie poświęcano już uwagi. Najpierw cztery piąte każdego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów - toż znalazł się w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sieć statystycznej analizie i wykrył jej podobieństwo, właśnie topologiczne, do sieci kolejowej, więc komunikacyjnej - w odróżnieniu od przebiegu naturalnych pęknięć czy rzek - a potem, jakby kto czar zdmuchnął, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne - i kropka.

Oczyścił maszynkę pod oknem i chowając ją do futerału, raz jeszcze spojrzął, już z nie ukrywaną niechęcią, na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Księżyc był po prostu przytulny. Zapewne, komuś kto się na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecież święta prawda. Najpierw - Słońce jest stamtąd akurat takie samo jak z Ziemi, a że to ważne, o tym wie każdy, kto nie tyle się zdziwił, ile wprost przeląkł, ujrzawszy je w postaci skurczonego, zwiędłego, zimnawego ognika. A już majestatyczna, błękitna Ziemia, jak lampa, symbol bezpiecznego pobliża, znak domu, rozjaśniająca tak dobrze nocę - podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle światła, ile Księżyc w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka próżnia, spokojna, to nie był przypadek, że łatwiej przychodziło nadawać telewizyjne lądowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, można się bez reszty przekonać dopiero na Marsie.

Spojrzął na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pięcioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas

ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze będę cztery miliony kilometrów stąd pomyślał nie bez satysfakcji. Należał do „klubu przewoźników”, żywicieli Projektu, ale godziny jego służby były policzone, bo na linię Aresterra wprowadzono już te nowe olbrzymie jednostki z masą spoczynkową rzędu 100 000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” leżały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał lądować za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział lądowania stutysięcznika, bo na Ziemi siadać nie mogły; lądowano je na Księżycu, ekonomiści obliczyli, że się to opłaci.

Takie jednostki jak jego „Cuivier”, z tymi kilkunastoma tysiącami ton, miały definitywnie zejść ze sceny. Ot, jakąś drobnicę będzie się jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzieścia i rozsądny człowiek zjadłby o tej porze coś gorącego. Myśl o kawie też była zachęcająca. Ale gdzie się tu można pożywić - nie wiedział. W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dotąd obsługiwał główny przyczółek - syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkanaście tysięcy mil? Znał uczone racje, ale myślał swoje. Zresztą nie obnosił się z tym krytycyzmem. Wielka Syria miała być termojądrowym oraz intelektualnym poligonem. Wyglądało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, że Agathodaemon jest Kopciuszkiem Projektu i że już kilkakrotnie groziło mu zwiniecie. Wciąż jednak liczyli jeszcze na tę jakąś zamarzlą wodę, na te głębokie lodowce z zamierzchłych epok, które właśnie tu miały tkwić, gdzieś pod zapięklonym gruntem - pewno, że jeśli się Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zważywszy, że na razie każdą kroplę woziło się z Ziemi, a urządzenia wychwytyjące parę wodną z atmosfery budowa' no i budowano drugi rok, chwila zaś rozruchu wciąż się oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dlań żadnych powabów.

Nie chciało mu się wyjść jeszcze - w budynku było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś poszli czy pomarli. A nie chciało mu się wyjść głównie przez to, że przywykał coraz bardziej do samotności - dowódca może być na pokładzie zawsze samotny, jeśli chce - i służyła mu dobrze: po dłuższej podróży - leciało się teraz, po opozycji, przeszło trzy miesiące musiał użyć pewnego wysiłku, żeby wejść tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dyżurnego kontrolera. Mógł pójść do niego na piętro, lecz byłoby to w nie najlepszym guście. Nie należy zwracać głowy ludziom przy pracy. Sądził podług siebie: nie lubił takich gości.

W przegródce nesesera był termos z resztką kawy i paczka keksów. Jadł, starając się nie kruszyć, pił i patrzył przez porysowaną piaskiem okrągłą szybę w stare, płaskie i jak gdyby śmiertelnie zmęczone dno tego Agathodeamona. Mars robił na nim takie właśnie wrażenie: że już mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone kratery, inne od księżycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” - wyrwało mu się raz przy oglądaniu dużych, dobrych zdjęć), i tak bezsensowne te okolice dzikie o urzeźbienia zwane „chaosami, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy się ku niemu zbliżało, zaczynał tracić swój solidny, czerwony wygląd, przestawał być emblematem boga wojny, powlekał się niewyraźną burością, plamami, zaciekami, żadnego wyrazistego rysunku, jak na Księżycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w świecie drzenie przetwornik albo transformator. Zresztą dalej panowała cisza, w którą jakby z innego świata wnikał kiedy niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z

czasem radę nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Księżycu można zostawić każdą rzecz, położyć na kamieniu i wrócić po stu latach, po milionie, ze spokojną wiedzą, że leży nie tknięta. Na Marsie nie można niczego upuścić z ręki - wsiąkłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzieści brzeg horyzontu zaczerwienił się, wschodziło Słońce, i ta plama jasności (żadnej zorzy, skąd) zmieniała barwę - przypominała mu sen. Pełen zdziwienia, powoli odstawił termos. Przypominał sobie, o co tam szło. Ktoś chciał go zabić - ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono rozświetloną ciemność; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam coś jeszcze: był niemal pewny, że we śnie znał tego człowieka, a teraz nie miał pojęcia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywiście, poczucie znajomości też mogło być złudzeniem snu. Próbował tego dojść, ale znów samowolna pamięć milkła, wszystko na powrót chowało się milczkiem jak ślimak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z ręką na stalowej framudze, trochę poruszony, jakby poszło o nie wiedzieć co. Śmierć. Było jasne, że w miarę rozrostu kosmonautyki ludzie zaczną umierać na planetach. Księżyc okazał się lojalny wobec zmarłych. Pozwala skamienieć, obraca w lodowy posąg, w mumię, której lekkość, prawie nieważkość odrealniają i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dbać, niezwłocznie, bo piaszczyste wichry przetrną każdy skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyrzują z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapamiętaniem, aż obnaży się szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą, jakby przywożąc tutaj raketami, razem z życiem, śmiertelność, ludzie robili coś niewłaściwego, coś, czego należy

się wstydzić, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się - ale tak w tej chwili czuł.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu; a podczas zmiany wypada już i obcemu przyjść. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł pamiętając o tym, że trzeba się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już wyzbyć się całej swojej drobnicy, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczego reaktora. Zwłaszcza że musiał wracać z uszczuploną załogą. O tym, aby mógł dostać tu ktoś w zamian za Termiana, nie było mowy. Po krętych schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej poręczy, dostał się na piętro, i wszystko od razu zmieniło się całkowicie; jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wnętrze wielkiej głowy. z sześciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wylupionych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą ścianą znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła kręcić na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie sceną, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań. widocznych jak na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpity, stanowiących jakby jedną całość za srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w kontrolnej wieży lotniska, a trochę jak na sali operacyjnej: przy ślepej ścianie masywniał pod skośnym kapturem główny komputer bezpośredniej łączności ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadząc swoje milczące monologi i wypluwając kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulkowych przegubach, i, podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych, podręczne automaty liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka

zgrabny barek z cichutko syczącym ekspresem. Więc to tu znajdowało się kawowe źródółko! Swego „Cuiviera” nie mógł stąd Pirx zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki Projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chęlpili się konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten ćwierćmilowy ogrom, tę żelazną górę, na powierzchni wielkości ogródka działkowego. Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszli na tę uroczystość, która zresztą żadną oficjalną uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał wszak za sobą dziesiątki próbnych lotów i lądowań księżycowych; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do lądowania pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli służby, a potem i Seynowi uściśnął rękę. Odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale światełka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalaną zielenią na znak, że zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecież osobą całkiem prywatną i - chociaż nieprzywykły do tak ранego używania trunków - pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekali jednak od miesięcy na te najcięższe jednostki, miały zdjąć z głowy kierownictwu bezustanne kłopoty, bo dotąd wciąż toczył się wyścig między żarłocznością budowy, której nie mogła zaspokoić flotylla Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, żeby obracać na trasie Mars - Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnąć,

aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potężne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy zieleń zgasła i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się oznaczyć i rachować czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum Agathodaemona, obwiodły palające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdziste jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swą nadzwyczajną ważność, przekaźniki zaczęły gdzieś cichutko stukać i z głośnika doszedł ich wyraźny bas:

- Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteśmy na optycznej, wysokość sześćset, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty do zejścia, odbiór.

- Agathodaemon do „Ariela”! - rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilem u sitka mikrofonu, doduszał szybko papierosa - mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możemy was mieć, kładźcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

Żartują tu sobie - pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przesądny - no, widać mają procedury w małym palcu.

- „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzystą, włączamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? - odbiór.

- Agathodaemon do „Ariela”: wiatr 180/h, północno-północno-zachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

- „Ariel” do wszystkich: schodzę na osi rufowo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przekaźniki coś tam drobiły po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie biało płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bańkę ognistego szkła. Była to ziejąca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drgnień, bocznych przechyłów, bez śladu zawirowań - Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesięcioma nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ciągłą łączność radiofoniczną ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na antygravitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie ciągu atomowego na borowodorowy - przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do środkowego, największego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladoszarą mgiełkę, ostrozielony ognik, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykłym blaskiem - jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie pałającego punktu szły w różne strony blade smużki, były to jakieś wiechetki i strzępy chmur, a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwyte w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ognie. Statek rósł, a właściwie wciąż tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim od żaru i przez to mogło się niedoświadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jakoś tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło

wszystko, przypomniał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też poszło, jak po maśle. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce można się łatwo było omylić w szacunku wysokości; jedenaście, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” od Marsa - oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosnącemu ciągowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz rufowych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotąd. W głośniku rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ręczna!”, a może „raczej”! - jedno niepojęte słowo wykrzyczane ludzkim głosem, tak odmiennym, że chyba nie był to Klyne. Zieleń buchająca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy.

W następnym mgnieniu rozkraczyła się strasliwym, błękitnobiałym błyskiem - i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak że głuchy, ogromny głos, co wyrwał się z głośnika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” - sapnięcie. - Zmiana procedury. Od meteorytu. Całą naprzód na osi! Uwaga! Cały ciąg!

Był to automat. W tle tego głosu ktoś jakby krzyczał. W każdym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmianę barwy ognia wylotowego: borowodory zastąpił pełny ciąg reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby strasliwym uderzeniem niewidzialnej pięści, dygocąc wszystkimi spojeniami, zatrzymał się - a przynajmniej tak to patrzącym wyglądało - w rozrzedzonym powietrzu, tych pięć czy cztery ledwo kilometry nad tarczą kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity - zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczający poza całą kosmologję: żeby powstrzymać stutysięczną masę - bo

wszak trzeba było chyżość jej spadania wygasić pierwej, nim mogła na powrót wystrzelić wzwyż. Pirx zobaczył w perspektywicznym skręcie bok olbrzymiego cylindra. Rakietę straciła pion. Przechylała się. Zaczęła, niezwykle powoli, prostować się, ale wychyliło ją w drugą stronę jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył ćwierćmilowego kadłuba w przeciwną stronę był już większy. Przy tak małej szybkości utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera:

- „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co się u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zajść w cząstkach sekund!

Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał całą pierś w mikrofon:

- Klyne! Na ręczną!!! Na ręczną do lądowania!!!
Na ręczną!!!

Wtedy nakrył ich nadchodzący przeciągły nieustanny grom. Dopiero teraz dobiegła ich fala dźwiękowa! Jak krótko musiało wszystko trwać! Stojący u okien krzyknęli jednym głosem. Kontrolerzy oderwali się od pulpitów.

„Ariel” spadał młyńcem jak kamień, ślepo waląc w atmosferę smugami zataczającego się ognia ruf; kręcił się powoli, bezwładny na podobieństwo trupa, jak gdyby ktoś olbrzymią żelazną wieżę cisnął z nieba ku brudnym wydmom pustyni.

Wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo już nie można było zrobić; głośnik niewyraźnie chrypiał, bormotał odległą wrzawą, czy hukiem morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko się tam zlewało w jeden chaos; a biały, jakby skąpany w blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w dół; wydawało się, że trafi w samą kontrolę; ktoś przy Pirxie jęknął. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrznął skosem w jedno z niskich obmuowań poza tarczą, złamał się na dwoje i z jakąś dziwną powolnością pękając dalej, że buchnęło szczątkami na wszystkie strony, zarył się w piach; w okamgnieniu powstała tam na dziesięć pięter wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywną zasłonę wyrzuczonego piasku wychynał oślepiająco biały wciąż dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi.

Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego żelastwa wszystko zakryła przed nimi brązowoczarna ściana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości - z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony klosza, pokazały się pierwsze pojazdy gąsienicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli - z obrazem krateru i zgniecionego kadłuba w osłupiających oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrawszy w ściennym lustrze własną poszarzałą i jakby ściągniętą nagle twarz.

* * *

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozwłoczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze nie dotarto do wrytej głęboko w grunt; zmiażdżonej sterówki, mieszczącej automaty kontroli, kiedy z Wielkiej Syrty przyleciała

grupa specjalistów - jednym z tych dziwacznych małych helikopterów o gigantycznych śmigłach, zdolnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włąził nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawa jest wyjątkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uświęcone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczątkowy alarm meteorytowy i przełączył napęd na ucieczkę od planety całą mocą; stateczności, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czymś podobnym nie wspominała historia astrologji i nasuwające się przypuszczenia - że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakieś obwody pozwierzały, poprzepalały - wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch programów - startu i lądowania - zabezpieczonych przed awariami taką liczbą zabezpieczeń, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoiku, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji, umyślnie nie wysuwając nosa za drzwi, żeby się nie narzucać, tym bardziej że miał przecież za kilkanaście godzin wystartować, a nic takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszą zajrzał do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników: miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarz jakby zmalaną z wyczerpania, lewy kącik ust drgał mu co chwila, lecz głos pozostał ten sam. Poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

- Naturalnie... jeżeli jestem potrzebny - Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. - Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

- Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombla”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców - kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o każdą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwnie jakoś nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący, inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestronniczym świadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

- Więc pan chciał, żeby Klyne wyłączył całą automatykę i starał się lądować sam, tak?

- Tak.

- A można wiedzieć, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

- Miałem to za jedyną szansę.

- Tak. A nie przypuszczał pan, że przejście na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

- Już była stracona. To można zresztą sprawdzić, są przecież taśmy.

- Oczywiście. Chcieliśmy najpierw wytworzyć sobie obraz ogólny. A... jakie jest pana osobiste zdanie?

- O przyczynie... ?

- Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiążące; cenne może się okazać każde przypuszczenie, nawet ryzykowne.

- Rozumiem. Coś się stało z komputerem. Nie wiem co, i nie wiem też, jak to możliwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedurę - i dał meteorytowe ostrzeżenie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej więcej jak: „meteoryty uwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było żadnych meteorytów... - Pirx wzruszył ramionami.

- Ten model - „Ariela” - jest udoskonaloną wersją komputera AIBM 09 - zauważył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skinął głową.

- Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, że nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

- Jak pan sądzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? - spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewnętrzny chłód i nim odpowiedział, spojrział w obie strony - na wszystkich. Pytanie takie musiało paść. Wolałby jednak nie być pierwszym, który miał mu sprostać.

- Tego nie wiem.

- Naturalnie. Ale wieloletnie doświadczenie pozwala panu postawić się na jego miejscu...

- Postawiłem się. Zrobiłbym to, do czego próbowałem go skłonić.

- A on?

- Nie było żadnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. Trzeba będzie bardzo dokładnie przesłuchać taśmy, ale obawiam się, że to da niewiele.

- Panie komandorze - rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostrożnie dobierając słów, Hoyster - pan orientuje się w sytuacji, nieprawdaż? Dwie następne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajdują się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przybędzie za trzy tygodnie, ale „Ares” już za dziewięć dni. Bez względu na zobowiązania wobec tych, co zginęli, mamy większe wobec żywych. Niewątpliwie przemyślał pan już w ciągu tych pięciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mogę pana do tego zmusić, ale proszę, żeby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł; że błędnie. Tego, co chciał powiedzieć Hoyster, domyślił się z jego pierwszych słów i ogarnęło go niezrozumiałe wrażenie, rodem z nocnego snu: aura zacieklego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijając go, razem z nim ginął. Było to mgnienie.

Przemógł się i spojrzał Hoysterowi w oczy.

- Rozumiem - powiedział. - Klyne i ja należymy do dwóch różnych generacji. Kiedy zaczynałem latać, zawodność procedur automatycznych była daleko większa... To się utrwała w zachowaniu. Myślę, że... ufał im do końca.

- Sądził, że komputer dysponuje lepszym rozeznaniem? Że opanuje sytuację?

- Nie musiał liczyć na to, że ją opanuje... a tylko że, jeśli nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchnął. Powiedział, co myślał, nie rzucając cienia na młodszego - który już nie żył.

- Czy, podług pana, istniały szanse ocalenia statku?

- Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybkości.

- Czy pan lądował kiedyś w takich warunkach?

- Tak. Ale statkiem o małej masie... i na Księżycu. Im dłuższa i cięższa jest rakieta, tym trudniej odzyskać stateczność przy utracie szybkości, zwłaszcza gdy się zaczyna przechył.

- Czy Klyne słyszał pana?

- Nie wiem. Powinien był słyszeć.

- Czy przejął stery?

Pirx otwierał już usta, by powiedzieć, że na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł:

- Nie.

- Skąd pan to wie? - to był Romani.

- Podług kontroli. „Procedura automatyczna” świeciła się przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek się rozbił.

- A czy pan nie uważa, że Klyne nie miał już czasu? spytał Seyn. Było coś osobliwego w tym, że tak się do niego zwrócił - chociaż byli na „ty”. Jakby powstał między nimi nagły dystans. Wrogość?

- Sytuację można wymodelować matematycznie i wtedy okaże się, czy była jakaś szansa - Pirx starał się o rzeczowość. - Ja tego nie mogę wiedzieć.

- Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczność była nie do odzyskania - upierał się Seyn. - Czy nie tak?

- Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ciąg można powiększyć... poza dopuszczalną granicę.

- Przeciążenie powyżej dwudziestu kilku może zabić.

- Zapewne. Ale upadek z pięciu kilometrów musi.

Na tym się ta krótka polemika zakończyła. Pod lampami, płonącymi mimo dnia, kładł się płasko dym. Palili.

- Podług pana, Klyne mógł przejąć stery, ale nie zrobił tego. Tak? - wrócił do swego wątku przewodniczący Hoyster.

- Prawdopodobnie mógł.
- Czy nie uważa pan za możliwe, że swoją interwencją zbił go pan z tropu? - odezwał się zastępca Seyna, człowiek z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.
- Uważam to za możliwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie coś krzyczeli. Tak to wyglądało.
- Na panikę? - spytał Hoyster.
- Nie odpowiem na to pytanie.
- Dlaczego?
- Proszę przesłuchać taśmy. To nie są ściśle dane... hałas, który można rozmaicie tłumaczyć.
- Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? - pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster był z Wielkiej Syńy.
- Nie. Nic.
- Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.
- Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy - w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać niż na dole.
- Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom?
- raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.
- Tak.
- Dlaczego? - pytał Hoyster.
- Zasady nie są dla mnie święte. Robię zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.
- Przed kim?
- Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

- Ale został pan oczyszczony z zarzutów oskarżenia? - zauważył Boulder. Wielka Syrta - i Agathodaemon. To było prawie wyraźne.

Pirx milczał.

- Dziękuję panu.

Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępcę. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły też telefoniczne meldunki z prac we wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedenaście metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśm, protokołowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono godzinną przerwę. Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejściu zatrzymał Pirxa.

- Komandorze...

- Słucham.

- Pan nie ma tu do nikogo...

- Proszę tak nie mówić. Stawka jest zbyt wysoka - przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową.

- Zostanie pan, na razie, siedemdziesiąt dwie godziny. Załatwiliśmy to już z Bazą.

- Z Ziemią...? - Pirx był zaskoczony. - Nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze pomóc...

- Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan? Sami ludzie Syrty.

- Choćbym chciał, nie mogę - odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewiątej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie taśm było dramatyczne - a jeszcze bardziej film,

który przyszło obejrzeć, pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”.

Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań bardzo lakonicznie.

- Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeśli nie ogłosił normalnym trybem meteorytowego alarmu, zachował się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakąś masą. Rejestratory wykazują, że przekroczył dozwoloną moc ciągu o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjaśni coś sterownia - miał na myśli taśmy rejestrujące „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć. W każdym razie komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością, bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Także agregaty pracowały bez zarzutu do końca. To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożonego lądowania. Od godziny 7.03 do 7.08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera... odwrócenia procedury i próby poronnego startu... nie daje się, jak dotąd, niczym wyjaśnić. Kolego Boulder?

- Nie rozumiem tego.

- Błąd programowania?

- Wykluczony. „Ariel” lądował tym programem szereg razy... osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

- Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciężenie.

- To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiódła.

- Kolego Rahaman?

- Nie znam dobrze tego programu.

- Ale model komputera pan zna?

- Tak.

- Co może przerwać tok procedury lądowania, jeśli nie ma przyczyn zewnętrznych?

- Nic.

- Nic?

- Bomba podłożona pod komputer... zapewne...

Padły wreszcie te słowa. Prix słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zagęszczał się przy ich wylotach pod sufitem.

- Sabotaż?

- Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty - zauważył Kerhoven, jedyny intelektualnik w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

- No... bomba, tak to tylko powiedziałem - wycofał się Rahaman. - Procedurę główną, więc lądowania albo startu, może przerwać w normie, jeśli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

- Moc była.

- Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurę?

Przewodniczący wiedział to przecież. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

- Teoretycznie może. Praktycznie, nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorytowy w toku lądowania. Meteoryt można wszak wykryć w zbliżaniu. Wtedy lądowanie po prostu się odracza.

- Ale nie było przecież żadnych meteorytów?

- Nie.

To był koniec ślepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za okrągłymi oknami. Marsjańska noc.

- Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo - rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek.

- Do sterowni dotrą za jakąś godzinę - rzekł. A potem podnosząc głowę: - Macross i van der Voyt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczniki.

- J u t r o ? - Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

- Tak. Nie tutaj, oczywiście. Będą obecni telewizyjnie. Dzięki bezpośredniej łączności. Oto depesza - podniósł meldunek.

- Ależ...! Jakie jest teraz opóźnienie? - spytał ktoś.

- Ośmiominutowe.

- Jakże oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą replikę - rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

- Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy odpowiednią procedurę...

- Odraczamy obrady do jutra? - spytał Romani.

- Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą już rejestraty ze sterowni.

Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyjczyków i o północy Pirx został sam w małej klitce, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny

gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku polowym, z rękami pod głową, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam wśród obcych ludzi, przeżywał katastrofę jak gdyby z zewnątrz, jako jeden z wielu świadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami - wiszące w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów - nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż na zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, więc nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, pozostał w nim do końca obserwator niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie - przy całej niezrozumiałości można je było selekcjonować, wystygłe, porozdzielane, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie od początku: ekrany telewizyjne, na nich - wejście statku w przymarsie, wyhamowanie kosmicznej zmiany ciągów; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po kilu i wręgach, kiedy wielką moc zastępowała dygotliwa praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, że tłoczą paliwo, wsteczny ciąg, opadanie rufą, majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie się, ten grom nagłego obrotu ciągów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakietą wychwytywana rozpaczliwie, idąca wahadłem, kołysząca się jak pijana wieża, nim runęła z wysokości już bezwładna, już martwa, niesterowna, ślepa jak kamień, upadek i zgruchotanie góry - a on był wszędzie. Był

jakby samym walczącym statkiem i odczuwając boleśnie zupełną niedostępność, ostateczne zamknięcie tego, co się stało, jednocześnie powracał do ułamkowych chwil, jakby z ponawiającym się w milczeniu pytaniem, szukając tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przejąć stery, było teraz już bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chociaż tam sobie żartowali, ale to mogło urazić tylko przesądneho czy też ukształtowanego w czasach, w których nie można sobie było pozwolić na niefrasobliwość. Rozumowo wiedział, że nic w tym złego. Leżał na wznak, a jakby stał przy skośnym oknie, celującym w zenit kiedy zieleń iskrzącej się gwiazdy borowodorów pochłonął straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co już poczynały stygnąć przez to właśnie nie wolno wprowadzać całej tak gwałtownie - rakietą zahuśtała się najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi rękami i kłoniła się swoją niesamowitą długością, bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielkości wyszła poza granicę wszelkich zagrożeń - tak samo musieli myśleć, przed wiekiem, pasażerowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby się zbudził. Wstał, umył twarz, ręce, otworzył neseser, wyjął piżamę, pantofle, szczoteczkę do zębów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki - jak kogoś obcego.

Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia - kiedy już przychodzi akceptować warunki nie podpisanego kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się i do ciebie, że z tej reguły nie ma wyjątków: chociaż to przeciwne naturze, należy się jednak starzeć. Dotąd robiło to po kryjomu ciało - tego już nie dość. Wymagana jest zgoda. Młodzieńczy wiek ustanawia jako regułę gry - nie, jako jej fundament - niezmienność własną: byłem

dziecinny, niedorosły, ale już jestem prawdziwym sobą i taki zostanę. Ten nonsens jest przecież podstawą egzystencji. W odkryciu bezzasadności tego ustalenia zrazu tkwi więcej zdziwienia niż lęku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakbyś przejrzał i dostrzegł, że gra, do jakiej cię wciągnięto, jest oszukańcza. Rozgrywka miała być całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna się powolne pertraktacje z samym sobą, z własnym ciałem, które można by wysłowić tak: bez względu na to, jak płynnie i niepostrzeżenie starzejemy się fizycznie, nigdy nie jesteśmy zdolni dostosować się umysłowo do takiej ciągłości. Nastawiamy się na trzydzieści pięć, potem na czterdzieści lat, jakby już w tym wieku miało się zostać, i trzeba potem przy kolejnej rewizji przełamania samoobludy, natrafiającego na taki opór, że impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdziestolatek pocznie się wtedy zachowywać tak, jak sobie wyobraża sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronność, kontynuujemy grę z ponurą zaciekłością, jakby chcąc przewrotnie zdublować stawkę; proszę bardzo, jeśli ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne żądanie, ten oblig ma być wypłacony; jeżeli muszę płacić, chociaż nie godziłem się, nie chciałem, nie wiedziałem, masz więcej, niż wynosi zadłużenie - podług tej zasady, brzmiącej humorystycznie, gdyby ją tak nazwać, usiłujemy przelicytować przeciwnika. Będę ci tak od razu stary, że stracisz kontenans. Chociaż tkwimy w smudze cienia, prawie za nią, w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wciąż walczymy jeszcze, bo stawiamy oczywistości opór, i przez tę szamotaninę psychicznie starzejemy się skokami. To przeciągamy, to nie dociągamy, aż ujrzymy, jak zwykle zbyt późno, że cała ta potyczka, te samostraceńcze przebiecia, rejterady, butady też były niepoważne. Starzejemy się bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiając zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani

walkę - podszytą nadto załganiem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadną zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp - treścią właściwą; nadzieje - mrzonkami; nie obowiązujące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie - jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni; i trzeba się z tym pogodzić milcząc, bez strachu, a jeśli się da - i bez rozpaczy.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów - dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie każdy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadają czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologię są zbyt wielkie nawet dla najsprawniejszych cieleśnie i duchowo; odpadając od czołówki, traci się tu wszystko naraz. Komisje lekarskie są bezwzględne w sposób przerażający dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie można pozwolić na śmierć ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodzą z pokładów i za jednym zamachem widzą się u kresu; lekarze są tak przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, że wykrycie jej nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie może przeciągnąć okresu czynnej służby poza pięćdziesiątkę. Przeciężenia są największym wrogiem mózgu; może za sto albo za tysiąc lat to się zmieni, na razie perspektywa ta zadrecza podczas miesięcy lotu każdego - w smudze cienia.

Klyne był kosmonautą następnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodzi nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatystą”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówieśników już nie latali; podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowali się na

wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stoczniach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali nieźle swoje pogodzenie się z nieuchronnym - ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postęпки nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten zawód, ale jednostki zbliżały się niebezpiecznie w stronę obłędu, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowoż pod rosnącym ciśnieniem nadciągającego, bywały wysoki, co najmniej dziwaczne... O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesady, którym ulegli i obcy, i ci, z którymi zżył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł ręczyć. Słodka ignorancja nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdego dnia ginie w mózgu nieodwracalnie kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnięciem funkcji podmywanej atrofią - i jej doskonaleniem, zawdzięczanym rosnącemu doświadczeniu; tak powstaje chwiejna równowaga, balans iście akrobatyczny, z którym przychodzi żyć i latać. I śnić. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia? Kładąc się na polowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotąd bezsenności, ale kiedyś musiała przecież nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwnie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krnąbrność ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotąd niezawodne, nawet jako możliwość, nabrała w tym momencie sensu nieomal kłęski. Nie życzył sobie po prostu leżenia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrzął na swoją zieloną piżamę i

zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdziobaną cyrkłami rysownicą. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologii, większość tych książek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego biblioteczkę na Ziemi, wstał i po kolei jął dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* - podług badań Tychona de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantasta Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuipier, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs aż do Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa*. I mapy, rulony map, ze wszystkim kanałami - Margaritifera Sinus, Lacus Solis i sam Agathodaemon... Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych książek o wyslizganych, grubych jak deski okładkach. W zapachu starego płótna, osnowy, żółtawych kart, w którym było coś dostojnego i strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad tajemnicą szturmowaną przez dwa wieki, obłąkaną mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia. Antoniadi przez całe życie nie widział kanałów, aż u schyłku starości niechętnie przyznał się „do jakichś linii, co podobnie wyglądały”. Graff nie dostrzegł żadnego do końca, i mówił, że brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanaliści” zaś widzieli i rysowali po nocach, czekając godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas - zapewniali - na buromgławowej tarczy pojawia się precyzyjnie ostra, od włosa cieńsza sieć. Lowell rysował gęstą, Pickering rzadszą, ale ten miewał szczęście do „geminacji”, jak nazywano zdumiewające podwajanie się kanałów. Złudzenie? Więc czemu niektóre kanały nigdy się nie chciały podwajać? Ślęczał nad tymi książkami jako kadet, w czytelni, bo

zabytkowych nie wypożyczano. Był - czy trzeba to powiedzieć? - po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbcie: Graff, Antoniadi, Hall, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustynią Arizony. „Antykanaliści” robili przemysłne eksperymenty: dawali odrysowywać tarczkę z bezładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy większej odległości, układały się w podobieństwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie widać ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nieuzbrojonym okiem można się dopatrzeć kanałów i na Księżycu? Dlaczego nie widzieli żadnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim już wszyscy poszli pod jego komendę? A tamci odpowiadali: W erze przedteleskopowej nikt nigdy żadnych kanałów na Księżycu nie dostrzegął. Duże teleskopy nie pozwalają stosować pełnej apertury, maksymalnych powiększeń, bo atmosfera ziemską nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami są wyminięciem sprawy. „Kanał” na wszystko mieli odpowiedź. Mars - to jeden olbrzymi zamrażony ocean, kanały - to pęknięcia jego lodowych pól, rozmykających się pod uderzeniami meteorów; nie: kanały - to szerokie doliny, którymi płyną wody odwilży wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsjańska roślinność. Spektroskopia przekreśliła i tę szansę; zbyt mało wyjawiała wody, więc ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyną od bieguna ku równikowi rzeki chmur, popędzane konwekcyjnymi prądami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyraźnie oświadczyć, że są to twory obcego rozumu, wykorzystywał dwuznaczność terminu „kanał”, był to szczególny punkt - owa wstydlivość mediolańczyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale

Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumaczące, w jaki sposób może przychodzić do rozdwajania się słynnej geminacji: gdy woda wdzierą się do równoległych koryt, dotychczas wyschłych - jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby ktoś napuścił tuszu do zacięć w drzewie. Przeciwnicy zaś nie tylko przeczyli istnieniu kanałów, nie tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się żywić względem nich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelką myśl o istnieniu życia na Marsie; Mars - pisał - nie tylko nie jest zamieszkały przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny.

Nie było letnich areologów, każdy musiał wyraźnie wyznać swe credo. Następna generacja kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i rozziw powiększał się: żywy obszar prac, rozumu - mówili jedni; pustynny trup - odpowiadali im drudzy. Potem Saheko dostrzegał owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wyklucza odbłysk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, tak że myśl o marsjańskich testach jądrowych wynikła później... Jedna strona musiała mieć słuszość; w pierwszej połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie geometrycznych kanałów Schiaparellego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, oko dopowiada, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowano zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prądy niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie - bardziej

jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobył na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni pośmiewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę, „credo, quia non est”. Albowiem Pirx wiedział przecież, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle niczego, co by je przypominało. Jakże mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach lądował, w symulatorze, na tym samym dnie Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiącym muzealny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzieś zupełnie osobno, nie podlegała sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem - i to widzieć trwale, godzinami - to, co Schiaparelli, Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulaje można zobaczyć kanały - czasem przez dobę, niekiedy przez dwie - formujące się nikłym rysunkiem w tle burej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają nikać, rozpuszczać się, jeden po drugim rozplývają się w nicość, nie zostaje po nich najślaby ślad, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarą obojętnością drwić z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po

dalszych tygodniach lotu co ós wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozplywa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża największych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska utopione w głębokich pokładach burego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swój chaos planeta objawia z bliska już ulegle i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamiętnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiały, ale manifestujący swą obecność sens jakiś, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku - dla ogarnięcia.

Więc gdzież on właściwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projekcja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywności wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problemem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postępy zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzeźbie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonałe wrażenie - nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Więc dobrze się stało, że tych trzeźwiących rewelacji nie dożył żaden „kanalista”, tak samo jak żaden z „antykanalistów”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Są przecież inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej - nigdy. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne można było snuć hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanina dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za porządkiem, ostatnich śladów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając poza granicą postrzegalności, sekundowo do

niej jednak prawie że docierało; czyli niechby najniklejszego oparcia i nieświadomych jego potrzeby rojeń, żeby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

Żądając od planety, aby się opowiedziała po jednej ze stron, trwając na pozycjach gry do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twardo wierząc w to, że sprawa dostanie się wreszcie przed właściwe trybunały, że zostanie do końca sprawiedliwie i wyraźnie rozstrzygnięta. Pirx czuł, że oni wszyscy - choć, dla rozmaitych przyczyn, w niejednakowy sposób - poczuliby się zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dostąpić dokładnego oświecenia, jakie stało się jego udziałem. W tym przekreśleniu pytań i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiedniości pojęć względem zagadkowego obiektu - była jakaś gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczająca lekcja, która - przeszło go nagle olśnienie - miała związek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głowę.

Związek starej areografii z katastrofą „Ariela”? Ale jaki? I jak należało rozumieć to mętne, chociaż tak intensywne wyobrażenie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, że tego połączenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w środku nocy, nie przejrzy - ani nie zapomni.

Należało rzecz przespać. Gasząc światło pomyślał jeszcze, że Romani musiał być o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, niżby się dało przypuścić. Te książki stanowiły jego własność prywatną, a o każdy kilogram osobistych rzeczy, przywożonych na Marsa, szły spory; rozważny zarząd Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instrukcje i apele do poczucia lojalności pracowników, tłumacząc, jak obciążenie rakiet zbędnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano się racjonalności, a sam Romani, w końcu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywożąc kilkadziesiąt kilogramów dzieł wszechstronnie

zbędnych - po co właściwie? O tym, aby je mógł czytać, nie było mowy.

Już w ciemności uśmiechnął się, senny, do myśli, która wyjaśniała racje tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjańskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu po takich książkach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało się rzeczą godziwą, więcej - konieczną, żeby myśli tych ludzi, którzy oddali co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły się - przy pełnym już pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników - na Marsie. To im się należało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził się o piątej z kamiennego snu, od razu trzeźwy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i mając jeszcze kilka chwil dla siebie - dał sobie pięć minut, nieraz tak robił - pomyślał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratować „Ariela” z trzydziestoma ludźmi załogi, ale nie wiedział też, czy Klyne próbował walczyć. To było pokolenie racjonalistów, podciągali się do niezawodnie logicznych sojuszników - komputerów, bo stawiały coraz większe wymagania, gdy je ktoś chciał kontrolować. Toteż łatwiej było się zdać na nie ślepo. On tego nie potrafił, chociażby sto razy chciał. Tę nieufność miał w kościach. Włączył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu statków lecących na Marsa i - oczywiście - konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc było też krytyki stutysięczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, a - co gorsze - niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich też wylądować na

okołomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbny prototyp, co prawda z innym nieco modelem komputera, lądował na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domorośli rzeczoznawcy zdawali się o tym nie wiedzieć. Rozpętała się też kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników Projektu Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem. Musiały już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton było kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstej do kierownictwa, okazało się, że nie należy już do żadnej komisji, bo tę ich samozwańczą organizację Ziemia zdążyła już anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdymisjonowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość złożona, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjść z efektywną pomocą, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczątki ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawy nie związane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy

mobilizacja największej liczby mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie - przy czym Pirx pojmował racjonalność takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu stutysięcznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Więc co się miało z nimi stać - skoro musiały lądować? Wszyscy obecni znali już reakcję amerykańskiej prasy, a na bieżąco dostarczono na salę radiogramy ze streszczonymi wystąpieniami polityków - niedobrze to wyglądało: Projekt jeszcze nie zdążył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocząć składania wyjaśnień, a już znalazł się pod ogniem koncentrycznego oskarżenia. Pojawiały się nawet epitety pomawiające o „zbrodniczą lekkomyślność”. Pirx nie chciał mieć z tym nic wspólnego, toteż koło dziesiątej wymknął się z zadymionej sali i skorzystawszy z grzeczności mechaników obsługi kosmodromu, pojechał małym łazikiem na miejsce katastrofy. Dzień, jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal różowy kolor; w takich chwilach wydaje się, że Mars posiada własną, odmienną od ziemskiej, surową urodę, nieco zawoalowaną, jakby nie oczyszczoną, która niebawem wyłoni się w mocniejszych promieniach słońca spod pyłowych zamieci i brudnych smug, lecz oczekiwania takie nie chcą się spełniać; nie chodzi o zapowiedź, lecz o najlepszy z pejzaży, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sobą, dojechali do końca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrzązł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim się wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, dużo wygodniejszy od wysokopróżniowego, z lżejszym też tornistrem, dzięki otwartemu

obiegowi tlenowemu; coś jednak źle działało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchów trzeba się było przedzierać przez lotne wydmy - zaraz mu zamgliło szybę w hełmie; tyle że tutaj nie było to nieszczęściem, bo pomiędzy pierścieniem hełmu a piersiową częścią skafandra zwiślały, niczym korale indora, luźne woreczki, w które wtykało się rękę, i od środka można było sobie przetrzeć szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami gaśnicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny otwór kopalnianego szybu, był nawet osłonięty z trzech stron płacami żebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypanych się piasku. Połowę leja zajmowała centralna część kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burzą na ląd i rozbity o skały; pod nią krzątało się z pięćdziesięciu ludzi, ale i oni, i ich dźwigi z koparkami wyglądały jak mrówki u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietknięty, liczący sobie osiemnaście metrów, nie był stąd widoczny, bo impet cisnął nim o kilkaset metrów dalej; siła miazdząca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu - energia ruchu zmieniła się momentalnie w ciepłą, dając termiczny skok jak przy upadku meteorytu, chociaż szybkość nie była wszak zbyt znaczna: w granicach dźwiękowej.

Pirx odniósł wrażenie, że dysproporcja pomiędzy środkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku - nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem sposobu prowadzenia eksploracji; było to oczywiście improwizowanie, ale było też w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego świadomością, że szkoda jest wprost niewyobrażalnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej popękały i piasek pochłonął tysiące hektolitrow, nim reszta obróciła się w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wrażenie, ponieważ z kadłuba - rozprutego na

długość dobrych czterdziestu metrów - wywalały się brudne, połyskliwe lodospady, opierając się dziwacznymi festonami o wydmy, jakby eksplodująca rakietą wyrzuciła z siebie całą zimową Niagarę. Ale też było osiemnaście stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu. Przez ten lód, kaskadą szklący bok „Ariela”, wrak wyglądał niesamowicie staro, można było sądzić, że leży tu od niepamiętnych czasów. Trzeba było go rozbijać i kuć, żeby dostać się do wnętrza kadłuba, albo też penetrować je od strony szybu. Wyciągano tamtędy ocalałe pojemniki, których stopy widać było tu i tam na stoku leja, ale działało się to jakoś niemrawo. Dostęp do rufowej części był wzbroniony; rozpięte na linach, furkotały zawzięcie czerwone chorągiewki - znaki radioaktywnego skażenia. Pirx obszedł górą, po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysiące kroków, nim znalazł się ponad okopconymi lejami dysz; zżymał się patrząc, jak robotnicy wyciągali i nie mogli wyciągnąć jedynej ocalałej cysterny z olejem pędnym, bo im się łańcuchy wciąż ześlizgiwały; zdawało mu się, że jest tu niezbyt długo, kiedy ktoś dotknął jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ciśnienie spadło i trzeba było wracać, bo zapasowej nie wziął. Zegarek, ten nowy chronometr, wykazał, że tkwił u szczątków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła się: miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej zaś ustawili technicy sześć dużych płaskich telewizorów; że jednak, jak zwykle, coś jeszcze nie chciało grać w łączności, odroczone obrady do pierwszej.

Haroun, technik-telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który żywił dlań, nie wiedzieć czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki taśm z tak zwanej nieśmiertelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrządu mocy, Haroun zaś nie miał prawa wręczyć mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił właściwie ów gest. Zamknął się w

swym pokoiku i pod silną lampą zaczął na stojąco przeglądać jeszcze wilgotnawy wąż plastikowej taśmy.

Obraz był tyleż wyraźny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dotąd bezbłędnie czystej, pojawiły się w obwodach kontroli prądy pasożytnicze, które w następujących sekundach przybrały postać dudnień. Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obciążeń na równoległe, rezerwowe części sieci, wróciły w spotęgowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie względem normy. To, co miał w rękę, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarządem automatycznej zwierzchności, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów napędowych. Układ ten nazywano niekiedy „mózdzkiem”, przez analogię do mózdzku zawiadującego też u człowieka - jako stacja kontroli, między korą a ciałem - korelacją ruchów.

Obejrzał sobie wykres pracy „mózdzku” z największą uwagą. Wyglądało tak, jakby komputerowi spieszyło się, jakby - nie naruszając w niczym procedury - domagał się w jednostce czasu coraz większej liczby danych o podzespołach. Spowodowało to informacyjny tłok i wystąpienie prądów pasożytniczych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłby u zwierzęcia nadmiernie spotęgowany tonus, czyli taka skłonność do zaburzeń motoryki, jaką zwie się pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najważniejszych taśm, utrwalających decyzję samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Ktoś zapukał do drzwi. Pirx schował taśmy do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

- Nowi panowie też chcą, żeby pan uczestniczył w pracach komisji - powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wyglądał już nieźle, chyba pod wpływem antagonizmów powstających w organizowanej tym osobliwym

sposobem komisji. Pirx pomyślał, że zgodnie z prostą logiką rzeczy nawet niechętni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednoczą się, jeśli „nowi panowie” będą chcieli narzucić im własną koncepcję postępowania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała się z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, że nikt nie mógł podjąć temu zadaniu, pozostając na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły iść sprawnie i jeśli zdecydowano się na tak ryzykowne rozwiązanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały już działać na Ziemi. Katastrofa uczyniła antagonizmy, także polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki - dla Ziemian. Pirx znał spośród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Voyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doskonałej wierności, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarzą zarazem obwisłą i odętą, pełną władczej energii, otoczoną kłębam dymu, jakby go tam gdzieś podkadzano - niewidzialnym cygarem, gdyż ręce van der Voyta były niewidoczne. To, co mówiło się na sali, słyszał z czterominutowym opóźnieniem, a jego głos dopiero po następnych czterech minutach mógł tu rozbrzmieć. Pirx poczuł do niego od razu niechęć, bo główny dyrektor zdawał się zasiadać wśród nich sam jeden -jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co czasami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster skończył, przyszło czekać osiem minut, ale Ziemianie nie chcieli na razie zabierać głosu: van der Voyt zażądał taśm z „Ariela”, które już leżały przy mikrofonie Hoystera. Każdy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnie pięć minut pracy sterowniczego

kompleksu. Taśmy, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kamerzyści, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożywszy na bok te, które już znał dzięki Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startową w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami - więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runięcia - uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławił się, nie mogąc wypić nawarzonego przez siebie piwa. Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite przeciążenie informacyjne, ale takim mądrym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszak końcowe skutki jego pracy; o tym, że jest przeciążony, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy - ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławił się danymi - a żądał wciąż nowych.

Zamiast wyjaśnień dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inżynier Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczyć na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba poczekać - być może, jako pierwszy zechce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i oświadczył, że jeśli dbałość o równouprawnienie zasiadających w komisji odbije się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi

Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić.

- To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 rzekł. - Ponieważ przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracujący w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, żądając od podzespołów coraz większej liczby danych na jednostkę czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą liczbę ludzi od walki po to, żeby z nich robić gońców czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany; tyle że nie miałby już żołnierzy, nie miałby się kim bić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się tą eskalacją i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość - o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukował sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „mózdzek” - jako kanał węższy - zawiódł pierwszy. Opóźnienia pojawiły się w „mózdzku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłużenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzję radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenia jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

- Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? - spytał Seyn.

- W jaki sposób mógł się przełączyć z procedury głównej na podrzędną... nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbite, że to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemię. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go, i nie omylił się. Mięsiśta, ciężka twarz spojrziała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte życzliwie, z taką wszechwiedną dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do rokującego nieźle ucznia.

- Więc komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto „on”? Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx lądował setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

- Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż - rzekł Pirx. - To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie taśm twierdę, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawność nie wystarcza. Żądał danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniając ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie wiem. Ale właśnie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z

jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był samą swadą. Przedstawił drogę, jaką przebywa każdy komputer - od montażowej taśmy do sterowni okrętu. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm japońskich, francuskich i amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięcią, „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie każdy komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdyż składa się zarówno z dostarczania pewnych „doświadczeń”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano sprawność ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczął komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej - sternikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zająć z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołów, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych raket, obcych ciał. Każdą z tych naśladowanych przygód odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując symulowane sytuacje - aż do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „ucznia” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawność; jakkolwiek więc elektronowy zawiadowca sterów nigdy nie prowadził naprawę statku, kiedy go montowano

wreszcie na pokładzie rakiety, miał większe doświadczenie i wyższą sprawność niż wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotka się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelką możliwość prześlizgnięcia się niewszzechstronnie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sternik + symulator” pełnił człowiek, doświadczony programista, który ponadto musiał posiadać wieloletni staż praktycznego pilotażu, przy czym „Syntronics” nie zadowolila się angażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo komplikował „egzaminy”, bo naśladował, w toku rozwiązywania zadań, nagłe i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie ciągów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę łączności z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, aż upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzeć wrażenie takiej obrony, w pięknych okresach prosił van der Voyt komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział

z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go szybko słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dzięki czujności wyjść obronną ręką z kolejnego starcia z van der Voytem, jeśli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlejszemu zapomnieć. Następni mówcy wleźli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złą wolę; po prostu rozważnie nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyt z ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie opisują one wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznać, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokich wodach abstrakcyjnej analizy. Głębia wypowiedzi osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizację olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęły od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament, niewzruszalny grunt wszystkich działań - który nagle usunął się spod nóg. Żaden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jakże mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeśli to było możliwe, możliwe było wszystko. Zwątpienie, raz zaatakowawszy niezawodność urządzeń, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis”

zbliżały się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpacz. Doszło właśnie do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwodził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrząc w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyta, dobrotliwie patronującą obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłam drgnienie ust odzwierciedlające uśmiech wewnętrzny, skierowany ku myśli skrytej ciężkimi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stawało się prawdopodobne - jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który zrzuciłby odpowiedzialność na siłę wyższą, może na fenomeny dotychczas nieznane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wytężone starania o kompromis, zwłaszcza że Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za cenę uzyskania pomocy, a tej mogły właśnie udzielić zjednoczone stocznie, chociażby dostarczając na dogodnych warunkach flotyllę mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki - bo chodziło już o byt całego Projektu - katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeśli nie można jej było niezwłocznie wyjaśnić. Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem związanym z załogami rakiet mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co właśnie zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro. Zdawał się wszystkowiedzący, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na

miejscu Pirxa, ale skoro go licho nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje votum separatum, zyskałby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało - ci ludzie kładli przecież głowę pod Ewangelię. Toteż Pirx nie zdziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjaciel potężnych polityków otworzył rozmowę żartem, że to jest spotkanie na szczycie - dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilżał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli. Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne opracowanie małego memoriału w sprawie następnych lądowań: co można zrobić dla zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przez drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki śledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł zniecała:

- Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzorujących symulację. Kto to jest, z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił się po ośmiu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

- Nasi „egzaminatorzy”? - uśmiechnął się szeroko. Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia... Wytypowaliśmy dla „Syntronics” najlepszych, jakich można było znaleźć. Pan ich na pewno zna!

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo zaczynały się obrady. Pirx zapisał karteczkę i podał ją Hoysterowi z uwagą: „To bardzo pilne i bardzo ważne”. Przewodniczący odczytał więc zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania:

1) W jaki sposób zmianowo pracują naczelnicy kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint?

2) Czy i jaka jest odpowiedzialność ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia błędnych funkcji lub innych uchybień pracy obciążanego komputera?

3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyraźniej dobierał się do najbliższych mu ludzi - czcigodnych, zasłużonych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pytań; odpowiedzi miano udzielić w ciągu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. Źle się stało, że zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozję kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdyby miało dojść do votum separatum. Czy próba wyjścia śledztwa poza sprawy techniczne, ku ludziom nie mogła być wyłożona jako uleganie naciskom van der Voyta? Widząc w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pogrzyżył, dostarczając prasie odpowiednich napomknien. Rzuciłby jej Pirxa na pożarcie jako niezręcznego sojusznika... Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten ślepy strzał. Na zdobywanie informacji prywatnie, drogą okólną, nie było czasu. Co prawda, nie żywił żadnych określonych podejrzeń. Czym się więc kierował? Dość mętными wyobrażeniami o niebezpieczeństwach czających się zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów, lecz na styku - tam, gdzie jedni kontaktują się z drugimi, bo sposób rozumowania

ludzi i komputerów jest tak niesamowicie różny. I jeszcze tym, co wyniósł z chwili spędzonej przed półką starych książek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazić. Odpowiedź przyszła rychło: każdy kontroler prowadził swoje komputery od początku do końca testów, kładąc zaś podpis na akcie noszącym nazwę „świadczenia dojrzałości”, ponosił odpowiedzialność za dysfunkcjonalne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa - Cornelius. Pirx miał ochotę wyjść z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwolić. Już i tak czuł narastające wokół napięcie. Obrady zakończyły się o jedenastej. Udał, że nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym prędzej, jakby uciekał. Zamknąwszy się w swojej klitce, gruchnął na łóżko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli się. Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zaczęłyby rzecz od zapytania, co takiego mógł właściwie przeoczyć kontroler? Niezwłoczna odpowiedź, że zupełnie nic, zamknęłaby i tę odnogę śledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, więc pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował też zastanawiać się nad samą procedurą testową, jakby czuł, że i to źle się dla niego skończy. Myślał po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nieźle, choć rozstali się przed wielu laty. Stosunki ich układały się i kiepsko, w czym nic dziwnego, zważywszy, że Cornelius był dowódcą „Gulliwera”, on zaś młodszym nawigatorem. Układały się jednak gorzej niż zwykle w takiej sytuacji, gdyż Cornelius był potworem dokładności. Nazywano go mękalem, skrupulatem, liczykrupą i łowcą much, ponieważ potrafił zmobilizować pół załogi dla pogoni za muszką na pokładzie. Pirx uśmiechnął się na myśl o swych osiemnastu miesiącach pod skrupulatem Corneliusiem; teraz mógł sobie na to pozwolić, wtedy wychodził ze skóry. Cóż to był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w związku z badaniami zewnętrżnych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały,

szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, że chcą go oszukać. W rzeczy, jakie opowiadał - że przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmuglują muchy na pokład - nie wierzono, ale Pirx akurat wiedział, że nie było to zmyślenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastygać w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowiąc uchem to, co mu się wydało bzyknięciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizję lokalną na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadciąga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj się!” - po którym mesa pustoszała; pamiętał szczególny wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawierały otoczenie, poszukując w nim nie doprowadzonych do ładu miejsc. W ludziach latających dziesiątkami lat gromadzą się dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzistą. Nie znosił niczyjej obecności za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krzesło, na którym ktoś siedział przed chwilą, i wyczuł to po ciepłe siedzenia, zrywał się jak oparzony. Był z tych, których wyglądu w młodości w ogóle nie można sobie wyobrazić. Nie opuszczał go wyraz zgnębienia niedoskonałością wszystkich dokoła; cierpiał, ponieważ nie mógł ich nawrócić na swoją pedantyczność. Pukając palcem w rubryki, po dwadzieścia razy w kółko sprawdzał...

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał się ze szkła. Myśl, biegnąc wśród chaotycznych wspomnień, zawadziła niewidzialnie o coś i było to niczym pogłos alarmu. Co właściwie? Że nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. Że zamęczał podwładnych? I co z tego? Nic. Ale jakby blisko. Był teraz jak chłopiec, który błyskawicznie zamknął garść, by pochwycić żuczka, i trzyma zaciśniętą pięść przed nosem - bojąc się ją otworzyć. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... -

zatrzymywał się na próbę myślą). Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym pismem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowości na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło-zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dziewięć, nie - dziesięć lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jakoś raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locję wykląda tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesiątce. (Znów nie to). A n o n i m. (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd). Jaki znów anonim? Że jest chory i dysymuluje? Że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka - Corneliusa Craiga, tu - imię, tam - nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak). Lecz anonim nie chciał szczeznąć. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie - muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakieś inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zedrzyć z tego, które zakrywa. A n o n i m.

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana. Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna...) Analiza. Ananas. A n a n k e (greckie): Bogini przeznaczenia. (To... ? Ale co ma wspólnego bogini...) Także: Przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przeciąg. Zwykle badanie lekarskie. Nie starał się wcale przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyciły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporczywie czytania do góry nogami.

„Warren Cornelius, rozpoznanie: Syndrom anankastyczny”. Lekarz zauważył rozsypkę papierów, zebrał je i schował do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku - a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć.

Odstawił słownik, jednocześnie poruszony, rozgrzany wewnątrznie, ale i rozczarowany. Ananke - przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się tylko dało, jako chłopiec jeszcze - była taka rodzinna sprawa - chciał się dowiedzieć, co to znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecież udzielała wyjaśnień. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach olśnień, bo się od razu nakładały na postać Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotąd. Było to zarazem wstydlive i żalodne widowisko. A więc to dlatego mył ręce po dwadzieścia razy dziennie i musiał uganiać się za tymi muchami, i wściekał się, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał ręcznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle... Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej oblażył go ich pomiot, aż stawał się pośmiewiskiem. Nie uszło to w końcu uwagi lekarzy. Zdjęli go z pokładu. Gdy Pirx wyteżył pamięć, wydało mu się, że na samym dole stronicy znajdowały się trzy słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znalazł się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie doskonale miejsce dla takiego skrupulata. Co za pole do popisu dla pedanterii! Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i - co najważniejsze - w najściślejszym związku z kosmonautyką...

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy

obciążaniu okrętowych komputerów. To znaczy - utrudniał im pracę, a dawanie szkoły było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał żyć w stałej rozpacz, że wezmą go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale tę dzielność na co dzień zjadały mu po trochu natręctwa. Pomiedzy załogą i swoim pokręconym wnętrzem musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzał na cierpiętnika nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprala - no bo czy w takim wypadku czytałby Poego, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Mieć w sobie taki kłębek drucianych musów, takie żerdzie jakieś, tory i wciąż się z tym bić, zgniatać to, wciąż od nowa... Na dnie tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciąż dozbrajał, musztrował, ćwiczył, te jego próbne alarmy, wizytacje, kontrole, bezsenne łażenie po całym statku, wielki Boże - wiedział, że się z niego w kułak śmieją, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomyślenia, że on się na tych komputerach tam jakby mścił? Że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wytłumaczył sobie, że właśnie tak powinien postępować.

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożenie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot - całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głąb, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej osobowości objawiał się nagi, zwięzły, zredukowany do garstki nieszczęsnych odruchów, którym nie można ująć. Myśl o tym, że można być lekarzem i tak

właśnie traktować ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozcieńczona aura błazeństwa, co otaczała jakby nikłą obwódką wspomnienia o Corneliusie, szczęła. W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszkę cwaniackiego, złośliwego humorku rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można by się śmiać.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się - idealnie dostosowana do człowieka: obciążać, wymagać, komplikować do granic wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie mysy. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, doświadczony nawigator przekazuje swoją najlepszą wiedzę automatom; cóż może być lepszego? A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdatny do wszystkiego, a nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego nieodróżnicowania. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naśladowcą ciała. Mózg podłączony do ciała - oto właściwa analogia.

Mózg musi orientować się w stanie i gotowości każdego mięśnia, podobnie komputer - ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pytań, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakątki metalowego olbrzyma, i z echowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tę niezawodność wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadą naczelną: bezpieczeństwa. Czy to nie wyglądało na chwalebny gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie dość pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należy

się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura lądowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciążony komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaraża je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulat niepewności - takim był też wychowawcą maszyn. Przeciążał komputery, ale cóż - nie mogły się przecież skarżyć. Były to nowe modele, przypominające zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije każdego człowieka pod warunkiem, że jego pedagogiem nie będzie jakiś Cornelius. Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posunięcia naprzód gdyby usiłował je przewidzieć na dziesięć ciągów, udławiłby się nadmiarem możliwych wariantów, bo one rosną wykładniczo. Do przewidzenia dziesięciu możliwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowość operacji. Takiego samoparaliżującego się szachistę zdyskwalifikowałaby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: można obserwować tylko wejścia i wyjścia układu, nie to, co dzieje się w środku. W środku narastał tłok, na zewnątrz wszystko biegło normalnie - do czasu. A więc tak je układał - i takie repliki umysłu, który ledwo sprawia się z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych - stanęły u steru stutysięczników. Każdy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynności prostych, manieryzm, obrzędkowość, uwzględnianie „wszystkiego naraz”. Nie naśladowały oczywiście

lęku, a tylko strukturę właściwych mu reakcji; paradoksalne: to właśnie, że były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwiększonej pojemności, przyczyniło się do ich zguby, ponieważ tak długo mogły przecież działać mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jakaś ostatnia kropla przepełniła czarę: może były nią pierwsze uderzenia wichury, wymagające błyskawicznych reakcji, ale zagwoźdżony lawiną, którą sam w sobie rozpętał, komputer nie miał już czym sterować. Przestał być urządzeniem czasu realnego, nie nadążał już z modelowaniem zająć rzeczywistych - tonął w urojeniach... Znajdował się naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej - i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnować z kontynuowania procedury, raz wszczętej, chociaż zarazem kontynuować jej już nie mógł. Wyinterpretował więc sobie planetę jako meteor leżący na kursie kolizyjnym, ponieważ to była ostatnia otwarta furtka, ponieważ taką jedyną ewentualność dopuszczał program. Nie mógł przekazać tego ludziom w sterowni, bo nie był przecież rozumującym człowiekiem! Rachował do końca, obliczał szanse: zderzenie było pewną zagładą, ucieczka - tylko w dziewięćdziesięciu kilku procentach, wybrał więc ucieczkę: awaryjny start!

Wszystko to układało się logicznie - lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał dotąd o takim wypadku. Kto mógł potwierdzić przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a może tylko zezwolił objąć tę pracę. Ale przez wzgląd na tajemnicę lekarską nie powiedziałby nic. Rozłamać ją mógłby tylko wyrok sądowy. Tymczasem „Ares” za sześć dni...

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak za ścianą ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich

sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste...

Rzecz wyjdzie przecież na jaw - po kolejnej katastrofie. Jeśli w dodatku „Anabis” wyląduje cało, rachuba czysto statystyczna - że zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius - skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczną brać pod lupę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka...

Ale nie można przecież czekać z założonymi rękami. Co robić? Wiedział dobrze: skasować całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazać oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy da sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpić z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwu wierszach... przezwiska i ploteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie... katalog jego dziwactw... Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyną katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważać na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartować i nie wysłać „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego śledztwa - z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka opierającego się na takich hipotezach? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe...

Pozostawał więc już tylko sam Cornelius. Znał jego adres: Boston, zakłady „Syntronics”. Ale jakże zażądać, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec? Być może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”, wyraziłby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem. Ale w dyskusji prowadzonej między Marsem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obruszyć takie oskarżenie na głowę bezbronnego, żądać, żeby się przyznał do zabójstwa - choć nieumyślnego - trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ściskając jedną rękę w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem książki na półce. Dopomogły mu - własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej planecie, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęgły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeń dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia - zamiast nad sobą się zastanowić. Także i tutaj każdy, kto pakował się w gąszcz teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak samo jak Mars, do którego on też żywił jakieś bezsensowne pretensje, jak gdyby świat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare książki zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; wśród kolorowych grzbietów wypełzły niebieskawy tom Poego. Więc i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność języka, wymyślność

wizji, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalić ją musiał fałszywie - wiadomo, dowódca ma zawsze rację...

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził, potem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał - a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne - ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: żeby wysłać w depeszy te cztery słowa. Być może te podejrzenia są jedną brednią. Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciążał komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymawszy taką depeszę, wrzucił ramionami, myśląc, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip, w najwyższym stopniu odrażający - ale też nic więcej nie pomyśli i nie uczyni. Jeśli jednak wiadomość o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłem opór, cztery słowa depeszy uderzą go jak grom. Poczucie się w okamgnieniu przejrany na wylot - w tym, czego sam nie považował się sformułować do końca, a zarazem winny: nie będzie mógł wtedy ująć już myśli o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami w biernym oczekiwaniu; telegram zajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy - co? Pirx znał go dostatecznie, by wiedzieć, że stary nie zgłosi się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie poczne myśleć o najwłaściwszej obronie i

sposobach umknięcia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe.

A więc nie można tak postąpić. Jeszcze raz przeszedł wszystkie warianty - gotów iść do samego diabła, żądać rozmowy z van der Voytem, gdyby cokolwiek rokowała... Ale nikt me mógł pomóc. Nikt. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie „Ares” i te sześć dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zeznań: obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera - wszystko to wymagało tygodni. A więc? Przygotować starego jakąś wiadomością zapowiadającą, że... Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w końcu najuczciwszy człowiek świata też ma instynkt samozachowawczy. Pocznie się bronić albo raczej będzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares”...

Doznawał uczucia zapadania się, wszystko odtrącało go, jak w tym innym opowiadaniu Poego, *Studnia i wahadło* gdzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronno, popychając go ku otchłani. Jaka może być większa bezbronność od bezbronności cierpienia, które trafiło kogoś i za to właśnie ma się go podstępnie ugodzić? Jaka może być większa podłość?

Zaniechać? Milczeć? Pewno, że to było najłatwiejsze ! Nikt nigdy nawet się nie domyśli, że miał w rękę wszystkie nici.

Po kolejnej katastrofie sami wpadną na trop. Raz uruchomione śledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i...

Ale jeśli tak właśnie jest, jeśli nie osłoni starego dowódcy nawet zachowując milczenie... nie ma do tego prawa. Nic już więcej nie pomyślał, bo zaczął działać, jakby wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej łączności siedział jeden tylko dyżurny technik: Haroun. Wysłał taką depezę:

Ziemia, USA, Boston, „Syntronics Corporation”, Warren Cornelius: THOU ART THE MAN.

I podpisał się z dodatkiem:

członek komisji do zbadania przyczyn katastrof „Ariela”. Miejsce wysłania depezy: Mars, Agathodaemon.

To było wszystko. Wrócił do siebie i zamknął się. Ktoś pukał potem do drzwi, słyhać było głosy, ale nie dał znaku życia. Musiał być sam, bo przyszły tortury myśli, jakich się spodziewał. Na to nie było już żadnej rady.

Czytał późną nocą Schiaparellego, żeby nie wyobrażać sobie po sto razy w różnych wariantach, jak Cornelius, unosząc szpakowate, nastroszone brwi, bierze do ręki depezę z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szeleszczący papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronicę, wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie żalem; jak to, więc to ja? ja - potrafiłem coś takiego zrobić?

Nie miał przecież wątpliwości: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarzeń; więc swoim spiczastym, wyraźnym pismem rzucił na papier kilka zdań wyjaśnienia, że działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie całą winę, podpisał się i o trzeciej trzydzieści - w cztery godziny po otrzymaniu depezy - strzelił sobie w usta. W tym, co napisał, nie było ani jednego słowa o chorobie, żadnej próby usprawiedliwiania się, nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co się wiązało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wziąć w tym ocaleniu udział -

ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocześnie rzeczową aprobatę i pełną wzgardę za tak zadany cios.

Być może zresztą Pirx mylił się. Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierność, szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo-teatralny styl, rodem z Poego. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego się zżymał, bo nie upatrywał grozy życia w zwłokach powracających z za grobu, co wskazują okrwawionym palcem mordercę. Zgroza ta była, zgodnie z jego doświadczeniem, raczej szydercza niż malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmianą roli, jaką Mars odgrywał w dwu następujących po sobie epokach, kiedy z nieosiągalnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiającej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał się terenem zwyczajnego życia, a więc mozolnych zmagañ, politycznych konszachtów, intryg, światem uciążliwej wichury, zamętu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego można było nie tylko dostrzec poetycznie błękitną iskrę Ziemi, ale i ugodzić na niej śmiertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domyślny Mars wczesnej areografii szezeł, pozostawiając po sobie tylko owe brzmiące jak formuły zaklęcia alchemików - nazwy grecko-łacińskie, których materialne podłoże deptało się ciężkimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i ginąc ukazała dopiero swoje prawdziwe oblicze - marzenia żywiącego się własną niespełnialnością. Pozostał tylko Mars żmudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych świtów, jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w ręku.

POŻYTEK ZE SMOKA.

Dotąd przemilczałem moją wyprawę na planetę Abrazę z gwiazdozbioru Wieloryba. Tamtejsza cywilizacja oparła w całości swoją gospodarkę na smoku. Nie będąc ekonomistą, nie potrafiłem tego niestety zrozumieć, chociaż Abrazyjczycy nie szczędzili mi wyjaśnień. Może ktoś, zorientowany w specyfice smoków, zrozumie rzecz lepiej ode mnie.

Radioteleskop w Arecibo od dłuższego czasu odbierał sygnały, których nikt nie umiał rozszyfrować. Udało się to dopiero docentowi Katzenfängerowi. Mozolił się nad zagadką, mając okropny katar. Zatkany i ciekący nos, który przeszkadzał mu w pracy, w pewnej chwili naprowadził go na myśl, że być może mieszkańcy nieznannej planety nie są jak my wzrokowcami, lecz węchowcami. Okazało się istotnie, że sygnalizują kodem, złożonym nie z liter alfabetu, lecz z symboli różnych zapachów. Co prawda przekład sporządzony przez Katzenfängera zawierał niezrozumiałe sprawy. Zdawało się z niego wynikać, że na tej planecie żyje oprócz rozumnych istot stworzenie większe od góry, nadzwyczaj żarłoczne i małomówne. Nie ten fenomen kosmicznej zoologii zadziwił jednak uczonych, lecz to, że potwór abrazyjski jakoby właśnie swoją nieograniczoną żarłocznością przynosił szczególne korzyści miejscowej cywilizacji. Był groźny, i właśnie im bardziej stawał się groźny, tym większe ciągnięto z tego zyski. Ponieważ mam osobliwą słabość do tajemnic, postanowiłem od razu wyruszyć na Abrazę. Jak przekonałem się na miejscu, Abrazyjczycy są dosyć człekokształtni. Mają jedynie nosy tam, gdzie my mamy uszy i na odwrót. Oni też pochodzą od małp, jak my, ale u nas były małpy wąskonose i szerokonose, u nich natomiast pramałpy miały jeden nos albo dwa. Te jednonosowe powymierały z głodu. Planetę okrążają liczne księżyce powodujące nader często długotrwałe zaćmienia słońca. Zapada

wtedy egipska ciemność. Kto szukał jądła tylko przy pomocy wzroku, nic nie mógł znaleźć. Kto używał węchu, był w trochę lepszej sytuacji, najlepiej jednak powodziło się temu, kto miał dwa szeroko rozstawione nosy. Wtedy bowiem orientował się węchem stereoskopowe, jak my dwójgiem oczu albo stereofonicznym słuchem.

Potem Abrazyjczycy wynaleźli sztuczne oświetlenie i dwunosowość przestała im być konieczna do życia, lecz po praprzodkach została im ta osobliwość anatomiczna. W zimnej porze roku noszą czapki z klapkami, żeby sobie nie odmrozić nosów. Może zresztą się myłę. Odniosłem wrażenie, że nie są zachwyceni tymi nosami, które przypominają im o ciężkiej przeszłości. Ich słaba płeć kryje te nosy pod różnymi ozdobami, nieraz wielkości talerzy. Nie zwracałem na to szczególnej uwagi.

Doświadczenia astronautyczne nauczyły mnie, że różnice budowy ciała są mało istotne. Trudne do zgryzienia problemy kryją się głębiej. Takim problemem okazał się na Abrazji tamtejszy smok.

Planeta ma tylko jeden bardzo wielki kontynent, na którym znajduje się coś osiemdziesiąt państw. Kontynent ten oblewa ze wszech stron ocean. Smok mieści się na dalekiej północy. Graniczą z nim bezpośrednio trzy państwa - Klaustria, Lelipia i Laulalia. Obejrawszy sobie tego smoka na fotografiach, wykonanych ze sztucznych satelitów oraz na modelach w skali 1:1 000 000, uznałem go za przykre bydlę. Wcale zresztą nie przypominał smoków występujących w ziemskich podaniach i legendach. Ich smok nie ma siedmiu głów, nie ma bowiem w ogóle głowy i zdaje się mózgu też nie. Nie ma też skrzydeł, więc nie lata. Co do nóg, panuje niejasność, ale bodaj nie posiada żadnych kończyn. Przypomina olbrzymi grzbiet górski, polany obficie galaretowatą studzieniną. To, że jest żywym stworzeniem, można stwierdzić przy znacznej ciepłowości. Porusza się

nadzwyczaj powoli, ruchem robaczkowym, naruszając dość często granice Klaustrii i Lelipii. Bydłę to pochłania na dobę coś osiemdziesiąt tysięcy ton artykułów żywnościowych. Lubi krupy i kaszę, a także inne przetwory zbożowe. Nie jest jaszczurką. Pożywienia dostarczają mu państwa zjednoczone w Związku Współpracy Ekonomicznej. Większość tej masy towarowej przewozi się pociągami, do specjalnych stacji wyładunkowych, zupy i syropy tłoczą mu rurociągami, a podczas zimy, gdy panuje brak witamin, dokonują ich zrzutów ze specjalnych ogromnych samolotów. Otworu gębowego szukać nie trzeba, bo ten potwór może się brać do żarcia każdym miejscem swego cielska.

Gdy przybyłem do Klaustrii i dowiedziałem się o smoku, pierwszym pytaniem, które cisnęło mi się na usta, było, dlaczego w ogóle z takim wysiłkiem i zapałem żywią monstrum, zamiast poczekać trochę, aż zdechnie z niedożywienia. Ugryzłem się jednak w język, gdy doszły mnie wieści o tak zwanym zamachu na smoka. Pewien Lelipianin, chcąc dorobić się sławy jako zbawca całej Abrazji, założył tajną organizację bojową, żeby ukatrupić zachłannego giganta. Zamach miał polegać na zatruciu witaminizowanych odżywek środkami chemicznymi, wywołującymi nieugaszone pragnienie, żeby monstrum zaczęło bez opamiętania pić wody oceanu, aż pęknie. Przywiodło mi to od razu znaną legendę ziemską o dzielnym bohaterze, który pokonał smoka swej ojczyzny, żywiącego się głównie dziewczicami, podrzuciwszy mi baranią skórę, wypchaną siarką. Lecz na tym kończyło się podobieństwo ziemskiej baśni i abrazyjskiej rzeczywistości. Miejscowy smok znajduje się pod ochroną prawa międzynarodowego. Ponadto dostawy smacznych potraw gwarantują mu traktaty o współpracy ze smokiem, zawarte przez 49 państw. Komputerowy translator, z którym nigdy się nie rozstaję, umożliwił mi wnikliwe studiowanie prasy. Wiadomość o niedoszłym do skutku zamachu wywołała wielkie wzburzenie

opinii publicznej. Domagano się surowej kary dla zamachowców. Wydało mi się to nader dziwne, ponieważ o smoku jako takim nikt nie wyrażał się z sympatią. Ani dziennikarze, ani osoby piszące listy do redakcji nie kryły się z tym, że chodzi o nadzwyczaj obrzydliwego potwora. Myślałem więc zrazu, że mają go za coś w rodzaju złego bóstwa, kary niebios i składanie ofiar nazywają wskutek lokalnego obyczaju eksportem. O diable wolno się przecież wyrażać źle, chociaż wcale nie należy go lekceważyć. Diabeł potrafi jednak wodzić na pokuszenie, kto mu zaprzeda duszę, może liczyć w zamian na sporo doczesnych przyjemności, natomiast smok - o ile mogłem się zorientować - niczego nie obiecywał i nie był ani trochę pokusliwy. Od czasu do czasu nadymał się i zalewał przygraniczne obszary resztkami spożytych artykułów, a w złą pogodę śmierdział na ponad tysiąc kilometrów. Mimo to Abrazyjczycy uważali, że trzeba się nim opiekować, a smród wskazuje na złe trawienie, należy więc zadbać o odpowiednie lekarstwa, regulujące przemianę materii. Co do samego zamachu, to gdyby się broń Boże powiódł, efektem musiałaby być jakoby niewyobrażalna wręcz katastrofa. Czytałem i czytałem gazety, ale nigdzie nie mogłem się dowiedzieć, na czym by ta katastrofa miała polegać. Porządnie otumaniony, chodziłem do miejscowych bibliotek, wertowałem encyklopedie. Dzieje Powszechne Abrazji, a wreszcie odwiedziłem Towarzystwo Przyjaźni ze Smokiem. Tam też jednak niczego się nie dowiedziałem. Prócz paru urzędników nikogo tam nie było. Zachęcali mnie, bym dał sobie wypisać legitymację członkowską i opłacił z góry składki za cały rok, lecz nie po to przecież tam poszedłem.

Państwa, graniczące ze smokiem, są liberalnymi demokracjami, można więc w nich głosić to, co się komu żywnie podoba. Po usilnych poszukiwaniach znalazłem publikacje, potępiające smoka. Lecz ich autorzy też uważali, że w stosunkach z nim

należy iść na rozsądne kompromisy. Użycie podstępu lub siły mogłoby się okazać zgubne. Niedoszli zamachowcy siedzieli tymczasem w areszcie śledczym. Nie poczuli się do winy, choć przyznawali się do zamiaru zabicia smoka. Prasa rządowa nazywała ich nieodpowiedzialnymi terrorystami, opozycyjna zaś poczciwymi zapaleńcami, którzy mają źle w głowie, „Klaustryjski magazyn ilustrowany” uważał natomiast, że byli to prowokatorzy. Jakoby pewien rząd ościenny urządził tę prowokację, uważając, że kwota eksportów smoczych, przydzielona mu przez Związek Współpracy Ekonomicznej, jest za mała. Chciał więc stworzyć sytuację, sprzyjającą rewizji ustalonych kwot eksportowych.

Reportera, który przyszedł do mnie po wywiad, zacząłem wypytywać o smoka. Dlaczego, zamiast dać zamachowcom szansę skończenia z potworem, sadzają ich na ławie oskarżonych?

Dziennikarz oświadczył, że byłby to okrutny mord. Smok, powiedział, jest z natury dobrotliwy, lecz ciężkie warunki życia na lodowatej północy uniemożliwiają mu okazanie przyrodzonej łagodności. Każdy, kto wciąż głoduje, smok czy nie smok, jest zły. Trzeba go dokarmiać, wtedy przestanie się pchać na południe i złagodnieje.

- Skąd ta pewność? - spytałem. - Przez ostatnie dni robiłem sobie wycinki z waszej prasy. Oto garść tytułów: „Regiony Północnej Lelipii i Klaustrii wyludniają się. Trwa masowa ucieczka mieszkańców”. Albo to: „Smok znów pochłonął grupę turystów. Jak długo jeszcze nieodpowiedzialne biura podróży będą organizowały te zgubne wycieczki?” Albo to: „Smok powiększył swój areal w ciągu ostatniego roku o 900 000 hektarów”. Co pan na to?

- Potwierdza to wszystko co mówiłem - odparł. - Wciąż jeszcze niedostatecznie go żywimy! Z turystami, owszem, były takie incydenty, bardzo przykre, ale też smoka nie należy drażnić. Nie znosi turystów, zwłaszcza robiących fotografie. Jest szczególnie

alergiczny na błyski flesza. Cóż pan chce: żyje przecież przez trzy czwarte roku w ciemnościach... A zresztą sam tylko przemysł, produkujący dla smoka wysokokaloryczne odżywki, zapewnia nam 146 000 miejsc pracy. Owszem, trochę turystów zginęło, lecz ileż więcej osób zginęłoby z głodu, tracąc pracę?

- Zaraz, zaraz - odparowałem. - Dostarczacie smokowi żywności, której nie wytwarza się przecież za darmo. Kto za nią płaci?

- Nasze parlamenty uchwalają w tym celu specjalne kredyty eksportowe.

- Czyli smok żyje z kieszeni waszych podatników?

- Poniekąd tak, ale to się opłaca.

- Czy nie opłaciłoby się lepiej wykończenie smoka?

- Mówi pan szalone rzeczy. W gałęzie przemysłu produkującego jado dla smoka zainwestowaliśmy w ciągu ostatnich trzydziestu lat ponad czterysta miliardów...

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyście obrócili te pieniądze na własną korzyść?

- Powtarza pan argumenty naszych najbardziej wstecznych konserwatystów! - podniósł głos zirytowany reporter. - Są to podżegacze do mordu! Chcą obrócić smoka w konserwy! Życie to świętość. Nie należy nikogo zabijać.

Widząc, że rozmowa donikąd nie prowadzi, pożegnałem się z dziennikarzem. Po namyśle udałem się do Archiwów Prasy i Akt Dawnych, żeby kopiąc się w setkach zakurzonych roczników dawnych czasopism dowiedzieć się, skąd się ten smok wziął. Porządnie się natrudziłem, ale też wykryłem rzecz wielce zastanawiającą.

Przed półwieczem, kiedy smok zalegał jedynie dwa miliony hektarów, nikt nie traktował go serio. Trafiłem na liczne artykuły,

postulujące wykarczowanie albo zalanie smoka wodą ze specjalnie prowadzonych kanałów, żeby zamarznął zimą, lecz ekonomiści wyjaśniali wtedy, jak kosztowna byłaby taka operacja. Lecz kiedy smok, żywiąc się podówczas wyłącznie mchem i porostami, podwoił swe rozmiary i mieszkańcy przygranicznych rejonów zaczęli się uskarżać na nieznośny fetor, zwłaszcza wiosną i latem, gdy zawiął cieplejszy wiatr, organizacje samopomocowe wzięły się do perfumowania smoka, a gdy nie dało to rezultatów, do organizowania zbiórek pieczywa. Zrazu te akcje wyśmiewano, ale z czasem nabrały rozmachu. W późniejszych rocznikach prasy ani słowa nie było już o likwidacji smoka. Coraz więcej za to o korzyściach, jakie można mieć z udzielania mu pomocy. Niby się czegoś w ten sposób dowiedziałem, ale niezaspokojony wyprawilem się w końcu na uniwersytet, gdyż była tam katedra ogólnej i stosowanej drakologii. Jej kierownik przyjął mnie nader uprzejmie.

- Pytania pańskie mają silnie anachroniczny charakter - rzekł z wyrozumiałym uśmiechem, kiedy mnie wysłuchał. - Smok jest obiektywną częścią naszej rzeczywistości, częścią centralną poniekąd, integralną i dlatego należy się nim zajmować jako międzynarodowym zagadnieniem dużej wagi.

- Prosiłbym o konkrety - odrzekłem. - Skąd on się w ogóle wzięł, ten cały smok?

- A kto go wie - rzekł flegmatycznie drakolog. - Archeologia, pradrakonistyka oraz genetyka smoków leżą poza granicami mego zainteresowania. Nie zajmuję się drakogenezą. Dopóki był mały, nie stanowił problemu. Tak jest ze wszystkim, szanowny cudzoziemcze.

- Ktoś mi powiedział, że on powstał ze zmutowanych ślimaków?

- Nie sędzę. Zresztą wszystko jedno, skąd się wziął, skoro jest, i to bardzo. Gdyby nagle znikł, równałoby się to katastrofie. Wątpię, byśmy mogli uporać się z jej skutkami.

- Naprawdę? Ale właściwie czemu?

- Mieliśmy jako skutek automatyzacji rosnące bezrobocie. Także w zawodach akademickich.

- I co... smok temu zapobiegł?

- Oczywiście. Mieliśmy ogromne nadwyżki artykułów spożywczych, górę makaronu, jeziora jadalnego oleju, oraz nadprodukcję wyrobów cukierniczych. Obecnie eksportujemy te nadwyżki na północ, a jeszcze trzeba je uprzednio specjalnie przetwarzać. On nie chce żywić się byle czym.

- Smok?

- Właśnie. Aby ustalić optymalny program jego żywienia, przyszło stworzyć szereg placówek badawczych. Na przykład Główny Instytut Wypasania Smoka, Wyższą Szkołę Smoczej Higieny, ponadto na każdym uniwersytecie działa teraz co najmniej jedna katedra drakologii. Mamy zakłady gastronomiczne, produkujące nowe rodzaje potraw i odżywek. Ministerstwa propagandy zorganizowały specjalne sieci informacyjne, żeby wyjaśniać społeczeństwu korzyści, jakie przynosi wymiana towarowa ze smokiem.

- Wymiana? To on wam czegoś dostarcza? Nie może być!

- Naturalnie, że dostarcza. Najpierw tak zwaną drakoninę. Jest to jego wydzielina.

- Ten taki błyszczący śluz? Widziałem to na zdjęciach. Do czego się nadaje?

- Ze zgęszczonego można wytwarzać plastelinę dla przedszkoli, chociaż są problemy, są. Woń jest trudna do zniesienia.

- Śmierdzi?

- W pewnym sensie bardzo. Żeby odwaniać ją, dodaje się specjalnych dezodorantów. Na razie smocza plastelina jest osiem razy droższa od zwykłej.

- A co pan profesor powie o zamachu na smoka?

Uczony podrapał się w ucho, które zwisło mu nad wargami.

- Gdyby ten zamach się powiódł, mielibyśmy najpierw zarazę i epidemię. Wyobraża pan sobie wyziewy, buchające z takiego truchła? Po wtóre - krach banków. Zapaść systemu monetarnego. Doszłoby do ruiny cudzoziemcze. Do okropnej ruiny.

- Ale jego obecność daje się we znaki, nieprawdaż? Mówiąc bez osłonek - jest w najwyższym stopniu przykra?

- Co to jest przykrość? - z filozoficznym spokojem rzekł drakolog. - Kryzys posmoczy byłby jeszcze przykrzejszy! Proszę zważyć, że my nie tylko żywimy go, lecz zajmujemy się nim poza sferą gastronomii. Staramy się go ułagodzić, utrzymać w pewnych ryzach. Jest to program tak zwanej domestykacji oraz pacyfikacji. Podaje mu się ostatnio wielkie ilości słodyczy. On lubi łakocie.

- Wątpię, aby stał się od tego słodki - mruknąłem.

- Ale eksport przemysłu cukierniczego wzrósł czterokrotnie. No i pamiętać trzeba o działalności URSS.

- Co to jest?

- Urząd Regulacji Skutków Smoka. Zapewnia pracę młodzieży kończącej wyższe studia. Smoka należy poznać, badać, od czasu do czasu leczyć, przedtem mieliśmy nadmiar pracowników służby zdrowia, obecnie natomiast każdy młody lekarz ma zapewnioną pracę.

- No tak - powiedziałem bez przekonania. - Ale przecież wszystko to jest eksportem dobroczynności. Dlaczego nie mogliście być dobroczyńcami własnych obywateli wprost?

- Jak pan to rozumie?

- No... przecież łożycie na smoka moc pieniędzy!

- I cóż, miałyby się je rozdawać obywatelom w postaci darów? To jest sprzeczne z podstawami wszelkiej gospodarki! Widzę, że pan nie zna się na ekonomii. Kredyty przeznaczone na ten eksport rozgrzewają nam koniunkturę. Powiększają obroty.

- Ale powiększają też samego smoka - przerwałem mu. - Im intensywniej go karmicie, tym staje się większy, a im staje się większy, tym większy ma apetyt. Co to za kalkulacja? Przecież on was w końcu pożre!

- Nonsens - oburzył się profesor. - Banki księgują kredyty jako aktywa!

- Niby, że to są zwrotne pożyczki? I co, zwróci je tą plasteliną?

- Proszę nie chwycić mnie za słowa. Gdyby nie smok, dla kogo produkowalibyśmy specjalne rurociągi, którymi tłoczy mu się kleik? Proszę pomyśleć - rurociągi to huty i stalownie, i walcownie, i maszyny spawalnicze, i środki transportu, i tak dalej. Smok ma potrzeby realne. Pojmuje pan, czy nie? Produkcyjnych potrzeb nie można brać z powietrza! Fabrykanci nie będą nic produkować, jeśli mieliby swoje wytwory rzucać do morza. Co innego konkretny odbiorca. Smok jest olbrzymim, niezmiernie chłonnym rynkiem zagranicznym, o kolosalnym popycie...

- W to nie wątpię - oświadczyłem, widząc już, że i ta rozmowa prowadzi donikąd.

- A zatem przekonałem pana?

- Nie.

- Bo przybywa pan z cywilizacji zbyt odmiennej niż nasza. Zresztą smok od dawna już przestał być tylko stroną, importującą nasze produkty.

- A czym się stał?

- Idea, mój panie. Koniecznością dziejową i racją naszego stanu. Potężnym czynnikiem nadającym zborny sens naszym zjednoczonym wysiłkom. Proszę spojrzeć na rzecz z tej strony, a pojmie pan na koniec, jak fundamentalne zagadnienia kryje w sobie skądinąd paskudne bydlę, jeśli osiąga planetarne rozmiary.

Wrzesień 1983

PS. Mówią, że smok się rozpadł na smoczki, ale ich apetyt wcale się nie zmniejszył.

Nota bibliograficzna.

Opowiadania *Przyjaciel*, *Ciemność i Pleśń*, *Albatros* oraz *Młot* pochodzą z tomu *Inwazja na Aldebarana*,, wydanego w 1959 roku.

Ze wspomnień Ijona Tichego I opublikowano w 1961 roku w tomie *Księga robotów*.

Prawda pochodzi z tomu *Niezwyciężony* wydanego w 1964 roku.

Ananke była pierwotnie wydana w 1965 roku w tomie *Opowieści o pilocie Pirxie*.

Opowiadanie *137 sekund* wyjęto z tomu *Maska* opublikowanego w 1976 roku.

Opowiadania: *Zagadka i Pożytek ze smoka* ukazują się po raz pierwszy po polsku w edycji książkowej.



STANISŁAW LEM, urodzony we Lwowie 12 września 1921 roku, opuściwszy miasto rodzinne z musu w roku 1945 z rodziną, odtąd mieszkał w Krakowie, z wyjątkiem lat stanu wojennego, spędzonych w RFN i we Wiedniu, w Austrii.

Studiował medycynę we Lwowie i w Krakowie, poza tem pracował jako młodszy naukowy pracownik w „Konwersatorium Naukoznawczym” do jego rozbitcia przez władzę warszawską w 1950 roku.

Debiutował w *Tygodniku Powszechnym* wierszami i prozą, poczem poświęcił się dwutorowo pisarstwu science-fiction oraz pisarstwu esejistycznemu z zakresu teorii literatury i tak zwanej futurologii. Napisał około 36 książek, tłumaczonych na tyle samo języków (jeżeli esperanto wliczyć do nich). Osiągnął, jak podają zachodnie statystyki, 20 milionów łącznego nakładu, ale z uwagi na pirackie wydania, trudne do objęcia wykazami, ilość ta nie jest pewna. Bywał nagradzany w kraju i za granicą, np. otrzymał Austriacką Nagrodę Państwową dla literatury europejskiej w roku 1985, ponadto amerykańską nagrodę fundacji Alfreda Jurzykowskiego i nagrodę imienia Franza Kafki w roku 1991. (również w Austrii). Telewizja Polska emitowała w roku 1992 jego „Wyprawę Profesora Tarantogi”; zresztą dramaturgiczny dorobek Lema jest szczupły i ogranicza się do Telewizji („Przekładaniec” z Kobiela nakręcił jako film średniego metrażu Andrzej Wajda, a w roku 1992 telewizja bawarska wyprodukowała opowiadanie Lema „Przyjaciel”, które poza Polską było przez kilka stacji emitowane; również w byłym ZSRR były adaptowane dla TV, ostatnio już w Rosji.

Od roku 1988 Lem zerwał z science-fiction i zajmuje się głównie układaniem prognoz dla rozmaitych ośrodków, instytucji i redakcji (poza Polską), przy czym w kraju ta strona jego działalności jest raczej słabo znana.

Mieszka pod Krakowem w domu otoczonym ogrodem, pod zwalami korespondencji ze świata. Jego syn kształci się w USA. Żona była - do uzyskania renty - lekarzem radiologiem.